



# zupa z granatów

marsha

mehran



W  
ab

SERIA Z MIOTŁĄ

Marsha Mehran  
ZUPA Z GRANATÓW  
Przełożyła Jolanta Kozak



*dla Christophera, zawsze*

Wszyscy wiedzą,  
wszyscy wiedzą,  
znaleźliśmy własną drogę  
W zimny, cichy sen feniksów:  
znaleźliśmy prawdę w ogrodzie  
w zawstydzonej postaci bezimiennego kwiatu  
i znaleźliśmy wieczną trwałość  
w nieskończonym momencie,  
gdy dwa słońca wpatrywały się w siebie.  
Nie mówię o lęklwym szeptaniu  
w ciemności.

Mówię o świetle dziennym i otwartych oknach,  
i o świeżym powietrzu, i o piecu, w którym płoną rzeczy  
bezużyteczne,  
i o ziemi, która jest żyzna  
różnorodnością zasiewów,  
o narodzinach i ewolucji, i dumie.  
Mówię o naszych kochających dłoniach,  
które ponad nocami wzniosły most  
z wymownych aromatów  
i światła, i bryzy.  
Forugh Farrochzad, *Zdobycie ogrodu*

## PROLOG

Świt wstawał nad zatoką Clew i małym irlandzkim miasteczkiem Ballinacroagh. Gdyby Thomas McGuire zatrzymał się, zauroczony fanfarami szafranowych promieni, przegapiłby może początek końca swego panowania nad tą ospałą nadmorską miejsciną. Ale Thomas, jak większość ludzi o podobnym temperamencie, nie miał czasu na poetyckie mrzonki. Ów niezłomny człowiek interesu zerwał się tego dnia z twardego łóża o wpół do szóstej rano, jak zawsze gotów na inspekcję swojego rozrastającego się imperium, złożonego z trzech pubów, dwóch sklepów alkoholowych oraz gospody na Main Mall.

Wijąca się leniwie średniowieczna uliczka Mall zaczynała się Błękitnym Gromem – brudnym kioskiem z frytkami i burgerami – a kończyła poszarzałym czternastowiecznym kościołem i monumentalnym pomnikiem świętego Patryka na miejskim placu. Między tymi granicznymi obiektami mieścił się typowy ciąg pubów, sklep obuwniczy Clarka, sklep z dewocjonaliami oraz galeria regionalnych swetrów i pamiątek, jakiej zawsze należy się spodziewać w irlandzkim miasteczku, przycupniętym w cieniu rękodziela matki natury. Nie mogąc konkurować z chwałą tysiącletnich relikwów i celtyckich murowanych grobli z czasów starożytnych, miejsciny takie zadowolają się istnieniem na peryferiach,

obojętne na wszelką zmianę i postęp – no bo po co w ogóle próbować? Ponad zjawiskami naturalnymi Ballinacroagh góruje Croagh Patrick, czyli Skalnica, na której występie święty Patryk przesiedział czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Owa samotna góra z mniszą powagą ocienia stłoczone u swych stóp miasteczko, a jej znużonej duszy nie fascynuje już ani rozległa dolina, pocięta szachownicą pól, ani obrzeżone kamiennymi wałami drogi, ani głupstwa wyczyniane przez ludzi na biegnącej dołem ulicy Main Mall.

Pierwszy dzień wiosny roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego zastał Thomasa McGuire'a na głównej ulicy Ballinacroagh, gdzie ów zwalisty właściciel barów z wyszynkiem stał w gumiakach, dygocząc od przenikliwej porannej mżawki. Otworzył właśnie drzwi piwniczne do pełnego moli pubu U Paddy'ego McGuire'a, który to lokal przed dwudziestu z górą laty odziedziczył po ojcu. Niespodziewana śmierć Paddy'ego pod kołami traktora uczyniła dziewiętnastoletniego Thomasa najmłodszym w historii właścicielem pubu w Ballinacroagh, a może nawet w całym hrabstwie Mayo. Niestety, tak wcześnie zdobyte panowanie nad ulubionym miejscowym wodopojem ujawniło najgorsze cechy wybuchowego z natury temperamentu młodzieńca. Zły charakter Thomasa był wynikiem nieokiełznanej mieszanki *sard* (zimna) i *garm* (gorąca), na którą nie pomagało nic – nawet słynna receptura Mardżan na przywracającą równowagę gęstą zupę z owoców granatu. To zabójcze

połączenie humorów nie tylko stanowiło katalizator niezliczonych irracjonalnych zachowań Thomasa, lecz także czyniło go mało odpornym na zmysłowe aromaty kardamonu, cynamonu i wody różanej, które tego właśnie ranka napływały wraz z wiatrem w jego stronę.

Osobliwa woń pierwszy raz zaatakowała Thomasa McGuire'a, kiedy wpuszczał marnie opłacanego rozwoziciela guinnessa do czeluści lodowatej piwnicy pubu. Jej korzenne, grzeszne podteksty cuchnęły jakimś nieznanym złem, jakąś bezbożną obcością, która obudziła dzwonek alarmowy w wielkiej kartoflanej głowie Thomasa i unieruchomiła go w miejscu. Lecz dopiero gdy również rozwoziciel guinnessa, Conor Jennings, zawahał się zniecka i pociągnął nosem, Thomas pojął, że dziwny zapach jest jak najbardziej realny.

– Jezu, Maryjo, Józefie święty. Albo tu pachnie niebem, albo nie wiem czym – mruknął Conor, opierając się o platformę do przewożenia baryłek i sapiąc głośno perkaty nosem. Ów czterdziestoletni kawaler, który wciąż mieszkał ze skąpą matką, był świeżo po marnym śniadaniu, złożonym z wodnistej herbaty (saszetka wielokrotnego użytku) i kawałka wczorajszego chleba z masłem i plasterkiem bekonu. Gdy tak stał i węszył, z jego pękatego brzucha dobyło się przeciągłe, buntownicze burczenie.

Thomas skrzywił się.

– Zobaczysz niebo wcześniej, niż ci się zdaje, jak nie ruszysz zaraz tego tłustego tyłka i nie skończysz ładować

piwnicy! Do roboty, nie marnuj mi tu czasu. A może wolisz, żebym zadzwonił do Seamusa O’Grady’ego? Na pewno chętnie posłucha, jak się spisuje jeden z jego dystrybutorów.

Mocny był to policzek, nawet ze strony Thomasa McGuire’a, więc Conor zaczerwienił się jak burak i wytaszczył z furgonetki kolejną baryłkę. Pomstując pod nosem, zlął po schodkach w czeluść piwnicy, a pozostawiony sobie właściciel baru mógł wreszcie zająć się tropieniem źródła osobliwej woni. Rozbudzony węch zawiódł Thomasa pod sąsiednie drzwi, wiodące do podupadłego lokalu dawnej ciastkarni starego Delmonico, zwanej ciastkarnią U Papy. Państwo Delmonico sprowadzili się do miasteczka z Neapolu tuż po drugiej wojnie światowej i przez trzydzieści lat utrzymywali ten właśnie sklepik z pieczywem na Main Mall. Ale od śmierci Luigiego Delmonico, czyli od pięciu lat, lokal stał nieczynny, ogołocony i opustoszały, gromadząc tylko kurz. To znaczy, stał opustoszały do tej pory. Bo nawet Thomas swoim mętnym wzrokiem dostrzegł intrygujący poblask światła prześwitującego przez zaklejone gazetami witryny.

Im bliżej podkradał się do starej ciastkarni, tym blask był wyrazistszy, a gęsty, egzotyczny aromat wprawiał masywne kolana Thomasa w drżenie godne nieśmiałego uczniaka. Thomas zerknął do środka przez drobne rozdarcie w gazecie, oczekując niemal widoku samego diabła – zamiast diabła poraził go jednak złocisty błysk, jaskrawa obsceniczność, wypełniająca całe pole widzenia.



Pyskaty baron wyszynku burknął gniewnie i splunął na spękany chodnik przed czerwonymi drzwiami lokalu. Czarna magia, nic innego. Bez dwóch zdań. On jednak zamierzał dociec, kto się za tym wszystkim kryje.

## Dolme – gołąbki

*30-40 marynowanych liści winorośli*  
*2 cebule, drobno posiekane*  
*¼ kg mielonego mięsa, jagnięciny lub wołowiny*  
*oliwa z oliwek*  
*⅓ szklanki świeżego cząbrku*  
*½ szklanki świeżego koperku*  
*⅓ szklanki świeżego estragonu*  
*¼ szklanki świeżej mięty*  
*2 szklanki ugotowanego ryżu basmati*  
*½ szklanki świeżego soku z limony*  
*1 łyżeczka soli*  
*½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu*

Liście winorośli opłukać i odłożyć na bok. Cebulę z mięsem smażyć w oliwie na średnim ogniu, aż mięso zbrązowieje. Dodać posiekane zioła i smażyć jeszcze 3 minuty. Zdjąć z ognia. W dużej misie wymieszać usmażone mięso, cebulę i zioła z ryżem, sokiem z limony, solą i pieprzem. Liść winorośli ułożyć żyłkowaniem do góry na czystej powierzchni. Na środek nałożyć jedną łyżkę farszu ryżowo-mięsnego. Zwinąć, poczynając od nasady liścia i podwijając brzegi do wewnątrz, w szczelną kieszonkę. Nadziać w ten sposób wszystkie liście. Blachę nasmarować tłuszczem, ułożyć ciasno nafaszerowane liście, zalać  $\frac{3}{4}$  szklanki wody, przykryć folią i zapiekać w piekarniku o temperaturze 100°C przez 45 minut.

Dla Mardżan Aminpur aromaty kardamonu i wody różanej, podobnie jak woń basmati, estragonu i cząbrku, były zapachami codziennymi, równie pospolitymi jak, wedle jej wyobrażenia, woń kawy instant i ociekającej tłuszczem pieczeni w konwencjonalnej kuchni zachodniej.

Wychowana w krainie starożytnych pustyń, gdzie wyschła ziemia miesza się z okruchami szczątków kolumn Persepolis, Mardżan odznaczała się mimo to niebywałym talentem do hodowli roślin. Od najmłodszych lat potrafiła zachęcić do zakorzenienia się nawet najoporniejsze sadzonki, których nazw nie umiała jeszcze zapisać w języku perskim. Pod łagodnym nadzorem Baby Piruza, starego, brodatego ogrodnika, zatrudnionego przy jej rodzinnym domu, mała Mardżan hodowała w ciemnych kopczykach ziemi pierzaste baldachimy majeranku i złocisty dzięgiel. Ziemia czerpała wilgoć z topniejących śniegów, które spływały strumykami z pobliskich gór Elburs na zamożniejsze przedmieścia Teheranu, by w końcu znaleźć ujście w sporej ośmiokątnej fontannie Aminpurów. Bulgocząca w samym środku obmurowanego ogrodu sadzawka wyłożona była turkusowymi i zielonymi kafelkami z Isfahanu.

Podczas gdy Mardżan uczyła się wypatrywać pierwszych żółtych pączuszków estragonu i pędów chwastów, oplatających podstępnie łodygę kopru, Baba

Piruz recytował jej długą listę wybitnych ogrodników, zrodzonych na perskiej ziemi.

– Awicenna – zaczynał, poprzedzając wypowiedź chrząknięciem. – Nie było słynniejszego miłośnika roślin od Awicenny. Czy wiesz, Mardżan Chanoum, że to właśnie ten mądry lekarz pierwszy sporządził wodę różaną? Wycisnął olejki z miękkich płatków, a cenny płyn zapieczętował we flaszeczkach ku uciechu świata. To był Pers, to był człowiek! – wykrzykiwał stary ogrodnik, przerywając wykład, tylko aby zapalić gruzłową fajeczkę, w której kopał truskawkowy tytoń.

Dorośla Mardżan wszędzie zabierała z sobą ciepłe wspomnienie Baby Piruza i ogrodu lat dziecięcych. Nie było dnia, aby nie poszukała kopczyka ziemi, w którym można zagłębić palce. Gołymi knykciami, w które wżarł się terakotowy pył i torf, wmasowywała w fałdy gleby upatrzone zioło lub kwiat, szepcząc przy tym czułe słowa zachęty. A choćby miejsce było wcześniej całkiem jałowe, z chwilą gdy Mardżan obdarzyła je specjalną uwagą, zasilone energią ziemne komory stawały się płodne bez ograniczeń.

Gdziekolwiek mieszkała – a miejsc tych uzbierało się sporo w jej dwudziestosiedmioletnim życiu – zakładała ogródek ziołowy, sadząc w nim choćby po jednej kępcie bazylii, pietruszki, estragonu i cząbrku. Nawet w półmrocznych angielskich mieszkaniach, które od siedmiu lat, od wyjazdu z Iranu, dzieliła z siostrami, udawało się Mardżan wyhodować całą tęczę jadalnych

ziół w niebieskich ceramicznych doniczkach, ustawionych rzędami na parapetach. Takiej doświadczonej profesjonalistki jak ona żaden deszcz nie zniechęciłby do ogrodnictwa.

Teraz też, stojąc przy oknie kuchni starej ciastkarni i mieszając drugą porcję farszu na *dolme*, próbowała wskrzesić w sobie dawną nieustępliwość. Żal jej było, że nie miała dość czasu, by wyhodować zdrową mieszankę świeżego estragonu, mięty i cząbrku, które należałoby dodać do *dolme*, zwijanych właśnie przez dwie młodsze siostry Mardżan – Bahar i Lejlę. Może gdyby zasadziła coś tutaj, w Ballinacroagh, uniknęłaby dziwnego niepokoju, objawiającego się mrowieniem w krzyżu. Lepiej jednak, napomniała sama siebie, nie żałować tego, co się stało, zwłaszcza jeśli nic nie można na to poradzić. Do zrobienia została jeszcze jedna porcja faszerowanych liści winorośli – nie wspominając o pół tuzinie innych smakowitych frykasów – a Czas, ten zrzędlawy, stary błazen, nie był jej sojusznikiem.

Café Babilon miała zostać otwarta za niespełna pięć godzin. Pięć godzin! W tym nowym miasteczku, którego nazwy Mardżan nie umiała nawet porządnie wymówić, nie mówiąc o jej zapisaniu. Ballinacroagh. Ba-li-na-kro. Miasteczko pełne ludzi, którzy przyjdą skosztować jej potraw, zwabieni ciekawością własnych oczu i języków. A tym razem, w przeciwieństwie do swych poprzednich prac kucharskich, ona sama odpowiadała za wszystko.

Z coraz szybciej bijącym sercem mieszała

brązowiejące mięso z cebulą nad wolnym, tańczącym ogniem. Patelnia zasyczała z zadowolenia, gdy Mardżan dodała do farszu swoje ukochane zioła w postaci suszu – jedyne, jakie udało jej się kupić w tak krótkim czasie. Nawet w Iranie zdarzało się Mardżan z konieczności przyrządzać *dolme* z suszonymi ziołami. Odkryła, że po całonocnym namoczeniu dorównywały niemal świeżym. Angażując energię całej górnej połowy ciała, wymieszała następnie zawartość patelni z gotowanym ryżem, świeżym sokiem z limony, solą i pieprzem. Mieszała z całych sił, nie bacząc na uporczywy ból barków, bo energiczna rotacja składników stanowiła istotę harmonii *dolme*.

W krótkiej przerwie na masaż strudzonych ramion zerknęła w drugi koniec kuchni, na siostrę Bahar, która zwijała pierwszą partię *dolme*. Bahar, ze swoimi wielkimi, przenikliwymi oczami, miała zawsze wygląd nawiedzonej, gdy pracowała przy jedzeniu – jakby jej życie zależało od każdego warzywa i zioła złożonego w ofierze na desce do siekania. O dziwo, ze wszystkich trzech sióstr Aminpur to właśnie filigranowa Bahar miała najsilniejsze ręce. Mimo swej kruchości siłą barków i ramion dorównywała dwakroć potężniejszemu od siebie mężczyźnie, co bywało bardzo przydatne, ilekroć trzeba było otworzyć słoik albo wymieszać coś gęstego.

Mardżan podniosła drewnianą łyżkę i wzięła się z powrotem do *dolme*. Jej siostra Bahar była chwilowo zbyt zajęta, by dokończyć tę pracę, gdyż nie tylko w skupieniu zwijała własną porcję winnych liści, ale też

nadzorowała czujnie pracę Lejli. Spośród wielu sytuacji, które przypominały Mardżan o różnicach osobowości młodszych sióstr, prosta czynność zwijania *dolme* ilustrowała najlepiej, jak biegunowo odmienne od siebie były Bahar i Lejla.

Bahar, sterowana nieomylną wewnętrzną busołą, wprawnie ciskała rozpostarty liść winorośli (żyłkowaniem do góry) na deskę do krajania. Dalszy konsekwentny, metodyczny proces rozpoczynał się od zdecydowanego nałożenia porcji farszu lewą ręką, następnie prawa ręka zręcznie naciągała skraj winogronowego liścia, po czym obie dłonie błyskawicznie zwijały liść, począwszy od szypułki – i *dolme* kapitulowały z kretesem. Mimo swoistej obcesowości, praktykowana przez Bahar metoda zwijania *dolme* nie zawodziła nigdy: Bahar dbała o to, aby jej pakieciki przynoszące szczęście bezpiecznie przetrzymały dalszą drogę i aby nic się z nich nie wysypało.

Zwijanie było za to słabą stroną Lejli, która postępowała z większą swobodą i stanowczo przesadną ufnością. Chociaż Mardżan i Bahar niezliczoną ilość razy demonstrowały jej właściwy sposób, Lejla uparcie powierzała swoje *dolme* łasce żywiołów. Zawsze łatwo było wskazać, które zawiniątka są jej dziełem, bo jeśli żadna ze starszych sióstr nie zdążyła dojrzeć wyłaniającego się na zewnątrz farszu i kręcąc głową, zwinąć liścia na nowo, chwila prawdy następowała po czterdziestu pięciu minutach, wraz z otwarciem drzwiczek

piekarnika. Pośród schludnych, aromatycznych zielonych ruloników, upakowanych fachowo na blasze przez Mardzan i Bahar, wyróżniały się popękane, upačkane złocistym nadzieniem zawiniątka ich młodszej siostry. I z jakiegoś dziwnego powodu pachniały one zawsze charakterystyczną wonią Lejli – wodą różaną z cynamonem.

Ów delikatny aromat, towarzyszący każdemu poruszeniu Lejli, stał się już w domu czymś zwyczajnym, jednak osobliwe było, że unosił się z potrawy niezawierającej żadnego z tych składników. Siostry jednak nie dziwiły się zbyt cynamonowo-różanym *dolme* Lejli. Po Lejli bowiem zawsze należało się spodziewać czegoś niezwykłego.

W chwili gdy plwocina i przekleństwo Thomasa McGuire'a sięgnęły bruku przed starą ciastkarnią, Bahar wyciągała właśnie z piecyka blachę pełną *dolme*. Po czterdziestu pięciu minutach osiągnęły one idealną symetrię najwspanialszych perskich dywanów: nadziewane ruloniki z winnych liści wypełniały blachę niczym powierzchnię krosien bogactwem równiutkich skupisk i wzorów. Mimo iż kuchnia mieściła się na zapleczu lokalu, wulgarne pomstowania Thomasa dotarły z całą dosadnością do wrażliwych uszu Bahar. Oniemiała ze zdumienia, chwyciła gorącą blachę gołymi rękami i przyplącała ten moment nieuwagi dymiącymi pęcherzami na palcu.

– Szybko! Pod zimną wodę! Lejla – *aloe vera*! Bahar,



nie uciskaj kciuka! – krzyczała Mardżan, popychając ofiarę piecyka w stronę zlewu. Jako najstarsza przywykła do dyrygowania siostrami w nagłych wypadkach.

Bahar zadrżała, gdy zimna woda spłynęła na jej poparzony kciuk. W mieszkanku na górze, jednopokojowej klitce, którą państwo Delmonico wykorzystywali jako biuro i magazyn, Lejla przetrząsała tymczasem pootwierane kartonowe pudła w poszukiwaniu kojącego żelu.

– Nie mogę znaleźć aloesu! Jesteś pewna, że go zapakowałaś? – krzyknęła na dół.

– Tak! – odkrzyknęła zniecierpliwiona Mardżan. – Sprawdź w tym małym pudełku z napisem „Różne”!

– Nie przejmuj się. Już nie boli. Widzisz? Przyłożę teraz kostkę lodu i będzie dobrze – powiedziała Bahar, pokazując siostrze oparzony kciuk z nabrzmiewającymi bąblami.

Robiła dzielną minę, ale w istocie cała czuła się jak ten nieszczęsny palec. Urodzona, o czym świadczyło jej imię, pierwszego dnia perskiej wiosny, Bahar miała naturę przesadną, jak wszyscy ludzie przychodzący na świat na przełomie pór roku. Stale oglądała się za siebie, czy przypadkiem nie nastąpiła na szparę w podłodze albo nie przeszła pod drabiną. W ostatnich latach wrodzona nerwowość nasiliła się u niej znacznie, na skutek nieopisanie przykrych zdarzeń, które pozostawiły po sobie trwałe blizny. Neurotyczne skłonności siostry często irytowały trzeźwą nastolatkę Lejlę, ale Mardżan odnosiła

się w takich chwilach do Bahar z coraz większą czułością.

– Na pewno już wszystko dobrze? Zostaw te *dolme*, ja skończę. A ty za mnie wymieszaj ryż, dobrze?

Mardzan podała siostrze kostkę lodu, owiniętą w oddarty skrawek gazety, po czym przestawiła skwierczącą blachę *dolme* na niską drewnianą wysepkę pośrodku kuchni.

Ów prostokątny stół, wykonany specjalnie dla użytkownika o napoleońskich proporcjach, stanowił centrum królestwa Luigiego Delmonico: przy nim mistrz wałkował, podsypywał mąką, ugniatał i ubijał trzepaczką ciasto na swoje wyśmienite *panini* i briosze z czekoladowym nadzieniem, które później zdobiły witrynę jego ukochanej ciastkarni U Papy. Tam też Estelle (przeżył z nią czterdzieści pięć lat) znalazła małżonka martwego – trzy godziny po tym, jak pianka bezowa, którą mieszał w wielkiej misie, zastygła w różową, cukrowaną spódniczkę baletnicy.

Oczywiście, Estelle nie wspomniała o tym ostatnim incydencie, gdy przed pięciu dniami oprowadzała trzy siostry po lokalu – choć w gruncie rzeczy i tak pewnie niewiele by to zmieniło. Podniszczone kartony z dobytkiem dziewcząt dojechały już bowiem do Castlebar, gdzie czekały na odebranie. A poza tym lokal z pełnym, funkcjonującym wyposażeniem kuchennym (cóż, że nieco przestarzałym i pordzewiałym) był dokładnie tym, czego poszukiwała Mardzan. Zwłaszcza za tak okazijną cenę.

– Siostrzenica mówiła mi, że lepszej szefowej kuchni

od pani nie spotkała. Dobra dziewczyna z tej mojej Glorii, no nie?

Pani Delmonico stała w kuchni po obchodzie lokalu. Przez wąską witrażową szybę tylnych drzwi sączyły się leniwie ostatnie promienie popołudniowego słońca, iluminując drobinki kurzu dryfujące nad jej szpakowatą głową. Wszystkie powierzchnie, od blatów kuchennych po sterty garnków i naczyń, pokrywała gruba na dwa palce warstwa białego jak śnieg pyłu.

– Och, Gloria okazała nam wiele dobroci, kiedy przyjechałyśmy do Lewisham. To nasza wielka przyjaciółka – odparła Mardżan, a stojące za nią Bahar i Lejla pokiwały na potwierdzenie głowami. – Ale chyba trochę przesadziła z pochwałą moich umiejętności. Byłam u niej tylko wiceszefową kuchni. To Gloria błyszczała w tej restauracji prawdziwym talentem.

– Tak, Gloria umie przyrządzić *parmigiana* i *manicotti*, lecz kto tego nie potrafi? Może dla tych Anglików to delicje, ale trzeba było skosztować kuchni mojej babki! Ho, ho! Powiadam wam, gdyby doczekała dzisiejszych czasów, żyłaby ze swojego gotowania jak królowa!

Estelle Delmonico roześmiała się i ujęła pod boki pulchnymi rączkami. Przekrzywiając głowę, uśmiechnęła się dobrodusznie do wszystkich trzech młodych kobiet po kolei. Los chciał, że obdarzona bujnymi, gotowymi do macierzyństwa biodrami, nigdy nie dała Luigiemu dziecka. Był to jej jedyny powód do żalu w szczęśliwym poza tym

i barwnym życiu. Bezpłodność nigdy jednak nie przerodziła się w zgorzkniałość, za co Estelle często błogosławiła swoją siostrzenicę, na której ćwiczyć mogła wszystkie czułe połajanki, jakich nie szczędziła jej własna matka. Gloria była wielką pociechą dla Estelle Delmonico – a teraz przysłała jej jeszcze pod opiekę swoje trzy protegowane.

– No to co, podoba się? Bierzecie lokal?

Mardżan odwróciła się do Bahar i Lejli, które wydawały się spać na stojąco. Ich ściągnięte, zmęczone twarze przypominały *torszi* – marynowane cebulki, świeżo wyciągnięte z solno-octowej zalewy. Ale czy można było mieć im to za złe? Minęły cztery długie dni, odkąd siostry opuściły Londyn, nadając na bagaż pośpiesznie spakowane kartony, a nieliczne dobra osobiste uwożąc w dwóch wytartych kracziastych walizkach – tych samych, które dawno temu towarzyszyły im w przeprawie przez pustynię irańską. Lot z Londynu do Knock okazał się straszliwie męczący, a odprawa paszportowo-celna jeszcze gorsza. Znów trzeba było odpowiadać na te same pytania o religię i pochodzenie etniczne, po raz nie wiadomo już który. Potem dwa dni gnieźdzenia się w schronisku turystycznym pobliskiego miasta Castlebar, gdzie czekały na transport swoich kartonów, żywiąc się wyłącznie białym chlebem i żółtym serem, który Mardżan przynosiła z narożnego sklepiku. Lejla, oczywiście, narzekała bez przerwy (to cecha wieku), Bahar natomiast trwała w niemym przygnębieniu, a jej wielkie, sarnie oczy były zalęknione

i mokre od łez.

Mardżan uznała jednak, że najgorsze mają już za sobą. Czuła to zwłaszcza tutaj, w tej zakurzonej kuchence, do której wprowadziła je serdeczna Włoszka. Przyszedł czas, aby zacząć wszystko od nowa, zebrać całe oszczędności i osiągnąć coś wreszcie po latach trudów.

– Zostajecie tu, tak? – Estelle Delmonico wyjęła z ukrytej kieszeni czarnej sukni ciężki, pordzewiały klucz. Zębaty i archaiczny, wyglądał tak, jakby miał służyć do uwolnienia wszystkich demonów Pandory.

– Tak. – Mardżan skinęła głową i przyjęła klucz. – Zostajemy. Jak życzy sobie pani odbierać czynsz? Miesięcznie czy tygodniowo?

– Oj, tym się na razie nie przejmujcie. Zapłacicie, jak będziecie miały z czego, w porządku? W tej chwili najważniejsze, żebyście zjadły po dużej porcji mojej zupy *minestrone*. Zaraz trochę odżyje ta ładna buzia, no nie?

Pani Delmonico podeszła do Lejli i poklepała ją lekko po lewym policzku.

Mardżan postanowiła jednak nie tracić impetu, który przeniósł ją i siostry z Londynu przez Morze Irlandzkie do tej krainy zwariowanych owiec i zawrotnych serpentyn dróg, pokręciła więc głową, bardziej pod adresem Lejli i Bahar niż jowialnej wdowy.

– Dzięki – powiedziała – ale chyba nie możemy sobie na to pozwolić. Za dużo jest roboty. Bahar i Lejla muszą rozpakować rzeczy, a ja chcę się jak najszybciej dostać do Dublina i kupić, co trzeba. Podejrzewam, że zajmie mi to

mniej czasu niż poszukiwanie pewnych niezbędnych produktów tu w okolicy.

– Ha! Święta racja! Mój Luigi dostawał nieraz białej gorączki przez te wiejskie targowiska. „Minimarkety”, tak je tutaj nazywają! W przydomowym ogródku mojej mamy w Neapolu znalazłoby się więcej towaru niż na straganach tych „minimarketów”.

– Tak, Neapol... – westchnęła Mardżan. – Neapol... jak to pięknie brzmi. Słyszałam, że w tamtejszych erberiach rosną nadzwyczajne warzywa. Mam nadzieję, że przynajmniej w Dublinie znajdę wszystko do naszego menu. Chcemy otworzyć lokal w najbliższy poniedziałek. Pierwszego dnia wiosny.

– W poniedziałek? Już za pięć dni? Nie, nie. Dajcie sobie trochę więcej czasu. Po co ten pośpiech? Parę dni więcej nie zaszkodzi – doradzała pani Delmonico, kręcąc głową z matczyną dezaprobatą.

– W poniedziałek wypadają urodziny Bahar – oznajmiła Lejla, która nagle oprzytomniała.

– A także Nou Ruz, irański Nowy Rok. Właśnie wtedy, w pierwszym dniu wiosny, rozpoczyna się perski rok kalendarzowy – wyjaśniła Mardżan. Nou Ruz, czyli „Nowy Dzień”, pierwotnie święto wyznawców zoroastryzmu, otwierające trzynastodniowy okres uczt i zabaw, jest teraz obchodzone przez wszystkich Irańczyków. – To będzie dobry omen na nasz pierwszy dzień. I mam nadzieję, że zdążymy, jeśli szybko weźmiemy się do roboty – podsumowała energicznie.

– Ech, wy, młode dziewczęta. Pełne ambicji! W takim razie zostawiam was sam na sam z robotą. Może zajrzę tu w Nowy Rok, chcecie? Opowiem wam co nieco o miejscowych postrzeleńcach. Żeby was na nich przygotować. Zgoda?

Na pożegnanie Estelle Delmonico ucałowała każdą z dziewcząt w oba policzki, serdecznym włoskim gestem ujmując w dłonie ich twarze, czym szczerze zaskoczyła siostry Aminpur.

Minęło pięć pracowitych dni, odkąd korpulentna wdówka przekręciła klucz w drzwiach starej ciastkarni, a dziewczęta dokonały w tym czasie niemałych cudów. Podczas gdy Mardzan podmiejskim pociągami CIE pokonywała w żółtym tempie bezkresny obszar trawiastych wzgórz w drodze do Dublina, Bahar z Lejlą zaczęły wcielać w życie śmiały projekt przekształcenia ciastkarni U Papy w orientálną oazę. Na razie poszarzała biel ścian zdobiły łuszczące się plakaty, przedstawiające gondolierów, przepalony neon reklamowy kawy Lavazza, spłowiełe flagi i mapy kraju w kształcie buta – stary lokal zdecydowanie wymagał sporo roboty.

Większą część wyłożonego terakotową posadzką pomieszczenia zajmowały dwie wielkie, drewniane lady wystawowe. Gdy ciastkarnia U Papy otwierała się w roku czterdziestym szóstym, młoda jeszcze wtedy Estelle poprzykrywała lady i cztery stoliki kraciastymi obrusami. Przez kilkadziesiąt lat czerwień i zielen kratki spłowieła w barwy niezdrowej żółci i pomarańczy, a gdy Bahar

ściągała obrusy z blatów, zbutwiała tkanina rozpadała jej się w rękach. Estelle urządziła kącik ze stolikami z myślą o klientach, którzy zasiądą tam, maczając w cappuccino chrupkie brzegi wypiekanych z miłością przez Luigiego czekoladowych i anyżkowych *biscotti*, przy dźwiękach nastrojowych piosenek Billie Holiday, płynących ze starej victrolki. Jednak przez trzydzieści cztery lata działania ciastkarni Delmonico prawie nikt nie korzystał z czerwono-zielonych stolików – zmęczone gospodynie kładły na nich najwyżej torby z zakupami i sadzały umorusane dzieci. Znękanie, o zapadniętych twarzach, płaciły nerwowo za chrupiący wiejski chleb – z rzadka także za orzechowe ciasteczko dla zatkania buzi ślinińcemu się niemowlęciu – i wybiegały z powrotem na zalaną deszczem ulicę. Automat do cappuccino popsuł się zimą pięćdziesiątego szóstego roku – rurki mu pozamarzały od szalejącej na zewnątrz burzy gradowej – i Luigi nie zadał sobie nigdy trudu naprawienia go. Wolał użyć gargantuicznej instalacji jako dodatkowej powierzchni wystawowej na modele samochodów ferrari, które konstruował w wolnym czasie.

Modele dawno już zniknęły, ale machina do cappuccino pozostała. Bahar i Lejla demontowały ją przez blisko cztery godziny, zanim udało im się odkręcić automat od ściany. Dopiero po jego zdjęciu dziewczęta odkryły oryginalny kolor ścian wiekowego lokalu: brzydki, zielonkawy brąz, przywodzący na myśl przemarznięty torf. Lecz ta smętna barwa, podobnie jak późniejsza wapienna



biel, zniknęła już bez śladu: Bahar i Lejla wymalowały całe pomieszczenia farbą, którą im podarowała Estelle Delmonico w dniu prezentacji lokalu.

– Weźcie, weźcie. Pędzle i wałki też wam dam. Wszystko kupiłam tuż przed śmiercią mojego Luigiego. Sprzedał mi to ten nicpoń John Healy, co ma sklep przemysłowy koło kościoła. Co za typ! Mówię mu: „Panie Healy, ma być porządna biała farba. Nie kremowa, nie żółta”. Luigi lubił biel. Mówił, że jest czysta i wszystko powiększa. A ten cały Healy wcisnął mi farbę z wyprzedazy. Przynoszę ją do domu, otwieram – no i patrzcie!

Pani Delmonico uchyliła pokrywy dwóch puszek z farbą, ustawionych w kącie mieszkanca na górze. Farba, nawet w półmroku, emanowała żywym cynobrem, który siostronom Aminpur kojarzył się tylko z jednym: z odpornym na zepsucie miąższem owoców drzewa granatu, rosnącego w ogrodzie ich dzieciństwa.

– Więc odnoszę mu to i mówię: „Panie Healy. Nastąpiła wielka pomyłka. To nie jest biały kolor. Piękny, ale nie biały”. A wiecie, co on mi na to odpowiedział? „Pani Delmonico, nie mogę zwrócić pani pieniędzy. Puszki były otwierane”. W głowie się nie mieści, co? Ten człowiek, zauważcie, nigdy nie miał żony. Mieszka w wielkim domu, pięknie umeblowanym, ale całkiem sam! A dlaczego? Bo jest wredny! Ech, szkoda gadać, znowu mnie nerwy ponoszą, chociaż to było pięć lat temu! Może ta farba już się do niczego nie nadaje, co?

Ale farba była w porządku. Wystarczyło chwilę pomieszać, aby kolor wyrównał się w jeszcze jaskrawszy odcień imponującego cynobru, który odsłoniła Estelle. A gdy dziewczęta oczyściły ściany i nałożyły pierwszą warstwę farby, odcień zmienił się raz jeszcze, zasychając w ciemny szkarłat winogron z Szirazu.

W sobotnie popołudnie, po trzech dniach krztuszenia się kurzem i wdychania oparów farby, Bahar i Lejla padły wreszcie na pojedynczy materac, rozłożony w mieszkanku na górze. Przespały całą noc kamiennym snem i zbudziły się dopiero nazajutrz o świcie, gdy Mardżan powróciła z wyprawy po sprawunki. Z nieprzytomnym wzrokiem i goryczą w ustach zwlokły się po schodach i w ślad za najstarszą siostrą wyszły na dwór kuchennymi drzwiami. Przebrnąwszy przez ogródek za domem – okolony płotem splechetek wilgotnej, wybijanej trawy – stanęły na wąskiej, brukowanej kocimi łbami uliczce, dzielonej przez wszystkie prywatne lokale, działające po prawej stronie Main Mall. A tam, w ostatnim przed świtem blasku księżyca, stała poobijana cytrynowozielona furgonetka z wymalowanymi po bokach znakami pokoju.

– Znalazłam ją przez ogłoszenie w „The Irish Times”. Młody właściciel wziął ode mnie pięćset funtów irlandzkich. Auto nie jest za piękne, przyznaję, ale skaliste drogi pokonało bez trudu. Hamulce też ma dobre. Raz omal nie przejechałam owcy – chyba owcy, tak mi się zdawało – ale w ostatniej chwili zdołałam się zatrzymać. Zobaczcie, kupiłam, co się dało.

Mardżan wskazała tylne drzwi furgonetki. Ledwie siostry je otworzyły, ze środka spłynęła na nie lawina wspomnień.

W jednym kącie bagażówki piętrzyły się korzenne skarby, zdolne wprawić w zazdrość samego Ali Babę. Dziewczęta rozpoznały matczyne objęcia *adwie* – mieszanki rozdrobnionych różanych płatków, kardamonu, cynamonu i kminku; ciepłe łono kurkumy i przyprawę wartą więcej niż jej waga w złocie – *za'feran*, szafran.

Tak jak ich dom w Iranie, tak i mieszkanko w Lewisham zawsze wypełniała obfitość mielonego suszu kory i nasion tych oraz innych roślin. Nad wszystkimi drzwiami wisiały pęki suszonych kwiatów, a marmurowe moździerze zachowywały resztki łechzczących powonienie proszków. Siostry opuściły Lewisham zaledwie przed tygodniem, chociaż zdawało im się, że znacznie dawniej. Zioła pachniały oszałamiająco, budziły zmysły, a wraz z nimi wspomnienia, których żadna z dziewcząt nie miała chęci rozpamiętywać. Przynajmniej na razie.

Bahar i Lejla pomogły Mardżan wyładować pudła przypraw, słoje winnych liści oraz torby orzechów pistacjowych, migdałów i daktyli, zakupione w algierskim sklepie na obrzeżach stolicy. Mardżan nabyła również pięć kilogramów sera feta, poinformowała jednak siostry, że to na razie ich ostatni kupny ser, póki dla oszczędności czasu i pieniędzy nie zaczną produkować własnego. Lejla jęknęła na myśl o wyciskaniu serwatki przez płótno, ale Bahar najwyraźniej to nie przeszkadzało: gotowa była

robić fetę nawet codziennie, jeśli miało to oznaczać, że Mardżan nie zostawi ich znów samych, wyprawiając się na zakupy na drugi koniec kraju.

Ostatnią partię zwiezonego furgonetką towaru stanowiły dwa długie składane stoły i dwanaście drewnianych krzeseł, które Mardżan wypatrzyła w sklepie z używanymi rzeczami w miasteczku Mullingar. Podłużne stoły przeznaczone do wspólnej biesiady miały dopełnić jej wizję przytulnego lokalu.

Tego samego niedzielnego poranka Mardżan odbyła jeszcze jedną wyprawę zieloną hipisowską bagażówką – do magazynu na przedmieściach Castlebar, gdzie firma przewozowa zdeponowała osiem kartonów i cztery perskie dywany, należące do sióstr Aminpur. Rozłożone teraz w głównym pomieszczeniu lokalu dwa większe kobierce opowiadały podstawowymi kolorami o wieśniakach bez końca napełniających filiżanki złocistą herbatą i tańczących ku czci swojego boga-słońca. Te dwa dywany pokrywały prawie całą zimną kafelkową posadzkę, natomiast dwa mniejsze kilimy – owoc powolnej pracy starych ślepców – zawisły na ścianach na wprost siebie, aby można było w pełni podziwiać ich delikatne, misterne desenie. Cynobrowe ściany współgrały doskonale z nową dekoracją, podkreślając barwę róż okalających brzegi jednego kilimu i kontrastując z zielenią liści mięty, zdobiących skraj drugiego.

Z podniszczonych kartonów wyłaniały się kolejno lśniące narzędzia nowego fachu sióstr Aminpur – fachu,

który miał wyróżnić ich lokal spośród wszystkich innych przy Main Mall. Bahar rozwijała akcesoria gromadzone latami w sklepikach Armii Zbawienia i dorywczych wyprzedazach garażowych na terenie całego Londynu. Były tam ceramiczne imbryki w kolorach bakłazanu, musztardy i ciemnego granatu (na porcję jednoosobową, a jeszcze milej, gdy dzieloną na dwoje) i czterdzieści wąskich szklaneczek z wygiętymi uszkami, oprawionych w pozłacane i posrebrzane uchwyty, ryte w pokrętne arabeski. Bahar ostrożnie poustawiała szklanki do herbaty na ladzie zajętej kiedyś przez automat do cappuccino. Imbryki natomiast znalazły miejsce w oszklonym brzuszysku kontuaru, gdzie prezentowały się uroczo obok dwudziestu słoików rozmaitych gatunków liściastej herbaty, od bergamoty i hibiskusa po ulung.

Większy kontuar, umiejscowiony bliżej drzwi, czekał na wypełnienie słodkimi arcydziełami Mardżan. Na ścianie za nim wisiała długa półka z ciemnego drewna. Lejli, najwyższej z sióstr, przypadł niechlubny przywilej odszorowania jej za pomocą szpatułki i gąbki z przyschniętych resztek bagietek i chleba z porzeczkami, które skamieniały na amen od śmierci Luigiego. Nieskazitelnie już czysta półka służyła teraz do ekspozycji trwalszych wyrobów: grawerowanych tac z miedzi i brązu, oprawnego w ramki gobelinu z tkanym napisem „Herbata” w języku perskim, pięciu staroświeckich samowarów (z których jeden należał do babki dziewcząt i Bahar wzięła go z sobą, zawijając w połę płaszcz, gdy opuszczały Iran

na dobre) oraz sporej reprodukcji obrazu przedstawiającego tradycyjną irańską herbaciarnię (tylko dla mężczyzn), z obowiązkową wewnętrzną fontanną i fajkami wodnymi.

Wystawione na pokaz mosiężne samowary należały do urządzeń starszej generacji, poprzedzających wielki elektryczny automat, górujący na ladzie obok szklanek. Nowoczesny ekspresowy samowar był już podłączony do prądu i gotowy do napełnienia wodą, którą zamieni we wrzątek, by zasilić oczekujące imbryki. To właśnie ten samowar, o kuszącym złotym połysku, zobaczył Thomas McGuire przez szparę w zasłoniętych gazetami witrynach.

Druga blacha *dolme* mogła już wędrować do nagrzanego piekarnika. Mardżan wsunęła ją do środka i westchnęła.

– No, to powinno nam wystarczyć na parę dni. Jak myślicie?

Powachlowała się kuchenną rękawicą.

Upieczona z samego rana bakława stała już na stole roboczym obok pierwszej blachy *dolme*, ale pracy było jeszcze mnóstwo. A do otwarcia pozostały tylko cztery godziny! Trzeba brać się do zupy z soczewicy.

Lejla schodziła właśnie po schodach, ale przystanęła na dolnym podeście i przechyliła się przez balustradę, wymachując nogami. Już teraz, jako piętnastolatka, wiedziała doskonale, jakie wrażenie robią jej długie, kształtne kończyny na mężczyznach w dowolnym wieku.

– Nigdzie nie znalazłam aloesu. Nie ma go w tym

pudełku, o którym mówiłaś.

– Nie szkodzi. Już mnie nie boli. – Bahar uniosła kciuk ukośnym gestem niepewnego autostopowicza. – Macie swój dobry omen.

– Bahar, proszę cię. Tylko bez pesymizmu. Musimy łapać szczęście, gdzie się da. Spójrz, jak daleko już zaszłyśmy – przekonywała Mardżan, zataczając krąg drewnianą łyżką po ciepłej, sympatycznej kuchni.

Bahar i Lejla odsunęły na chwilę egoistyczne myśli, kontemplując fantastyczne bogactwo otaczających je smaków i barw. Niebiańskie potrawy i czyściutki, przytulne wnętrza stanowiły żywe świadectwo ich starań – wielkie osiągnięcie, jak na parę dni.

Tak, siostry rzeczywiście zaszły daleko. Bardzo daleko.

## Zupa z czerwonej soczewicy

*2 szklanki czerwonej soczewicy  
7 posiekanych dużych cebul  
7 wyciśniętych ząbków czosnku  
1 łyżeczka mielonej kurkumy  
4 łyżeczki mielonego kminku  
oliwa z oliwek  
7 szklanek rosółu z kury  
3 szklanki wody  
sól*

*2 łyżeczki ziaren czarnuszki (można zastąpić  
mielonym czarnym pieprzem)*

Soczewicę wsypać do rondla, zalać wodą. Zagotować. Dusić bez przykrycia 9 minut. Odcedzić, odstawić. W wysokim garnku usmażyć na złoto z dodatkiem oliwy 6 posiekanych cebul z czosnkiem, kurkumą i kminkiem. Wlać soczewicę, rosół i wodę. Posolić, doprawić czarnuszką lub pieprzem do smaku. Doprowadzić zupę do wrzenia, po czym gotować na małym ogniu pod przykryciem przez 40 minut. Resztę cebuli przesmażyć na oliwie: ma być chrupka, ale nie przypalona. Posypywać nią gotowe porcje zupy.



Z okna swojej sypialni w mieszkaniu nad sklepem Reek Relics Dervla Quigley miała widok na wszechświat. A przynajmniej na pewien wariant wszechświata, który dla niej stanowiła krzątania wszystkich osób, zapuszczających się w rejon Main Mall.

Dervla, dumna rodowita obywatelka Ballinacroagh, od śmierci męża, z którym przeżyła czterdzieści jeden lat, dzieliła mieszkanie ze swą siostrą, starą panną, Marie Brennan. Chociaż wszyscy w miasteczku znali okoliczności niechlubnej śmierci Jima Quigleya (ów hodowca koni z hrabstwa Kildare skończył marnie pod kopytami srokatej młodej klaczy), nikt nie śmiał wspominać o tym głośno. Jako naczelną plotkarka Ballinacroagh Dervla umiała zamknąć ludziom usta dzięki temu, że słuch miała czujny jak pies, a jej ostry język nie znał granic.

Przez cały niemal dzień – z wyjątkiem mszy o szóstej – widać było Dervlę szpiegującą z okna sypialni. Wsparłszy wychylony tors o stertę poduszek, paciorkami bladosiwych oczu lustrowała zachlapaną deszczem ulicę w dole, zdecydowana nie przegapić ani minuty prowincjonalnego spektaklu. Był to podziwu godny akt wytrwałości – ta nieustanna straż nad całym Ballinacroagh – zwłaszcza z uwagi na niefortunny stan zdrowia starej plotkarki. W połowie jesieni życia, bez najmniejszego ostrzeżenia,

Dervla Quigley zapadła na nietrzymanie moczu, przykrą dolegliwość pęcherza, która unieruchomiła ją w domu i uzależniła od przewlekle chorej siostry. Niezdolna kontrolować własnego ciała, Dervla wkrótce uległa obsesji manipulowania innymi ludźmi. Plotka stała się nie tylko jej jedyną przyjaciółką i ucieczką, ale też źródłem wielkiej siły.

Ten tydzień, w którym siostry Aminpur zajęły starą ciastkarnię, miał okazać się szczególnie owocny dla Dervli Quigley. Już przed niedzielą uzbierała pełną niemal tygodniową normę skandali: w środę, o pierwszej siedemnaście nad ranem, Benny Corcoran wytoczył się, półślepy i pijany jak bela, od Paddy'ego, ściskając za tyłek bynajmniej nie swoją świętoszkowatą małżonkę (Dervla nie mogła darować popsutej lampie ulicznej nad pubem tego, że zataiła przed nią twarz tej źdzyry); w piątek, o czternastej czterdzieści siedem, przez całą Main Mall przedefilowała karawana zdezelowanych kempingówek druciarzy – ludzi bez cienia wstydu – kierując się w górę, ku zębatej grani.

Druciarze. Dervla wzdygała się na sam dźwięk tego słowa. Wściekłość starej plotkary była, oczywiście, prostym wynikiem jej ignorancji. Mimo niespożytej ciekawości Dervla nigdy nie poświęciła ani chwili na zapoznanie się z burzliwą historią wędrownych ludów irlandzkich. Nazwa „druciarz” – po celtycku *tinceard* – nawiązywała do blaszanych garnków i patelni, które jeszcze parę lat temu łatali piegowaci, bladoocy celtyccy

nomadzi. Zanim chwycili się druciarskiego fachu, wędrowcy ci byli jednak opowiadaczami – potomkami średniowiecznych bardów irlandzkich, zarabiających na chleb śpiewną recytacją ballad na wysokiej nucie:

*Pana możnego małżonką była, druciarza sobie do dom zgodziła,*

*Druciarz garnek zalutował, a dziedziczkę obcałował.*

*Fa la la lero lidy dydy da, fa la la lero li li la!*

Ów wędrowny klan, który przetrwał stulecia głodu i swawole strojnych w peruki Anglików, nie podróżował już wozami zaprzęzonymi w konie. Przesiadł się w ruchome domki o lśniących dachach barwy chromu, brzoskwini lub złota z Tipperary.

Niech się obcy zachwycają, jeśli chcą, tym pstrym widowiskiem, powtarzała sobie w duchu Dervla. Ona sama nie miała za grosz cierpliwości do wędrownych korowodów, koczujących, gdzie popadło, po drogach i polach. Fakt, że nie zmieni zapewne śmiesznych, niepisanych irlandzkich praw, zezwalających podróżnym na biwakowanie w otwartym polu, nie powstrzymywał starej plotkarki od starań w tym kierunku. Brudasy, obrzydliwcy, mamrotała pod adresem druciarzy. Brudasy, obrzydliwcy. Chwytała za słuchawkę i wykręcała numer ratusza. Ktoś musiał przecież poinformować Padraiga Careya o tej obmierzłej bandzie. Gdyby nie ona, która nad wszystkim czuwała, aż strach pomyśleć, co za szumowiny zaczęłyby się szwendać po jej ukochanej Main Mall!

Szumowiny zjawiły się pod postacią zjadliwie zielonej

bagażówki, w niedzielę rano, o czwartej zero zero. Dervłę zbudził ostry smród spalin, bijący kłębami wprost w otwarte okno jej sypialni. Na widok osobliwej furgonetki irytacja Dervli przerodziła się w odruch dziękczynienia, bo plotkarka nieomylnie potrafiła rozpoznać pikantną nowinę. Furgonetka skręciła w boczną uliczkę, migając w blasku księżyca jaskrawopomarańczowym symbolem pokoju. Ma człowiek swoje sześćdziesiąt dwa lata, pomyślała Dervla, ale i tak świetnie wie, co się wyrabia w tych hipisowskich furgonetkach: ruja i narkomania, ot co! Bez dwóch zdań.

Dervla zamarła w napięciu: czekała, aż tajemniczy kierowca (na pewno jakiś pogański hipis) zaparkuje wóz i wyłoni się w polu widzenia – ale nikt nie nadchodził. Odczekała tak godzinę, dwie, opuszczając w tym czasie posterunek tylko raz, na błyskawiczną rundę kaczym chodem do toalety i z powrotem. O tak wczesnej porze na ulicy nie było nikogo – na włóczęgi po pubach za późno, na sklepowe dostawy za wcześnie – więc każdy podejrzany odgłos kroków dałby się słyszeć doskonale. Dervla czekała i czekała, ale na próżno.

Mgliste światło poranka przyniosło jej drobną ulgę. Rozpoczęła się coniedzielną parada odświętnych strojów w drodze do kościoła, a ci sami co zawsze skruszeni birbanci wygrzebywali się z przydrożnych rowów, mamrocząc pod nosem obietnice, że to już ostatni raz. Nie zjawił się jednak żaden tajemniczy hipis; nie wiadomo było, co się dzieje w bocznej uliczce, nie dobywały się

stamtąd kłęby spalin. Po godzinach siedzenia na czatach Dervla mogła nakarmić złąknionych sensacji parafian, wracających z mszy o dziesiątej, jedynie wieścią o starym grzeszniku Bennym Corcoranie i brudnej hałastrze druciarzy. Doprawdy, mizerny plon jak na cały tydzień pracy.

Poniedziałek miał się za to okazać znacznie bardziej satysfakcjonujący. Dervla nie tylko spostrzegła przebliski światła w nieszczelnie zasłoniętych gazetami witrynach starej ciastkarni Delmonico, lecz także czujnym uchem złowiła szmer głosów, dobywający się zza czerwonych drzwi. Nie rozróżniała, co prawda, słów, ale nie brzmiało jej to po angielsku. Już prędzej po włosku. Brzmiało jak taka łacina, której papież na pewno nie pochwała. Czyżby Estelle Delmonico zupełnie znikowała i postanowiła rozruszać od nowa to żalosne wspomnienie po sklepie? Nie wystarczyła jej nauczka za pierwszym razem?

Dervla wychyliła się z okna i pociągnęła nosem.

No tak: w powietrzu niewątpliwie unosił się obrzydliwy smród obcości. Całkiem inny od zapachu, który przed laty dochodził z ciastkarni U Papy. Dervla rozpoznała, co prawda, nieśmiertelną drożdżową woń rosnącego chleba i ożywczy aromat migdałów, ale towarzyszył im bogaty i nieoczekiwany bukiet zapachowych aluzji i podtekstów, których nie potrafiłaby nazwać. Ów złośliwy, natrętny bodziec zmysłowy drażnił poczucie przyzwoitości Dervli, szydząc z niej, całkiem jakby znał na wskroś jej najskrytsze, mroczne sekrety,

jakby wiedział wszystko o niecnym poczynaniach jej nieboszczyka małżonka.

A widząc, jak gwałtownie zareagował na nowy zapach Thomas McGuire, zgryźliwa plotkara nie miała już wątpliwości, że wpadła na trop grubszej afery. Zadowolona patrzyła, jak Thomas pruje przez Main Mall swoim land roverem (bez wątpienia do magistratu), i w odruchu niepohamowanej radości tarła starczymi dłońmi żylakowate uda. Trafiła jej się złota żyła nowin – zapas na dobre parę tygodni!

Dervla Quigley nie musiała długo czekać na dalsze rozrywki. Wkrótce po gwałtownym odjeździe Thomasa w stronę magistratu czerwone drzwi otworzyły się i wyszła przez nie Lejla.

Okazało się, że Mardżan, chociaż tak skrupulatnie kompletowała swą osobliwą listę zakupów, nie nabyła dostatecznej ilości białej cebuli – skromnej słuźki jakże wielu magicznych dań. Cały wstępny zapas został już zużyty do *dolme* i perkoczącej na skraju pieca zupy z czerwonej soczewicy, a do przygotowania reszty menu przewidzianego na dzień otwarcia lokalu potrzeba było jeszcze więcej. Spanikowana Mardżan błyskawicznie wypchnęła z domu Lejłę, polecając jej kupić tyle siatek cebuli, ile zdoła unieść w długich, szczupłych ramionach.

Zupa z czerwonej soczewicy, mimo uwodzicielskiego aromatu, jest tak prosta w przyrządzaniu, jak to sugeruje jej nazwa. Mardżan zawsze gotowała soczewicę, zanim wzięła się do smażenia posiekanej cebuli i czosnku

z przyprawami na dobrej, wonnej oliwie z oliwek. A gdy wreszcie bulion połączony został z soczewicą i cebulą, smakowita zupa jeszcze przez pół godziny dochodziła pod przykryciem na wolnym ogniu, aby przyprawy oddały smak chłonnym cebulowym piórkom.

Książka kucharska, którą Mardżan miała zakodowaną w głowie, szczególnie podkreślała właściwy dobór przypraw do zupy. Kminek nadawał mieszaniu aromat popołudniowych igraszek miłosnych, lecz najpotężniejszy tantryczny wpływ na niewinnego konsumenta zupy miała inna przyprawa: *siah dane* – akt miłosny w pełni – czyli ziarno czarnuszki. To skromne, małe ziarenko, wyłuskane ze skorupki w móżdżerze lub gotowane wraz z potrawą – na przykład zupą z soczewicy – pobudza pikantną energię, uśpioną w ludzkiej śledzionie. Raz uwolniona, energia ta płonie w człowieku ciągłym, nieposkromionym pożądaniem niezaspokojonej miłości. Czarnuszka działa tak silnie, że odradza się jej zażywanie kobietom ciężarnym – może bowiem spowodować przedwczesny poród.

Wszechobecna na Bliskim Wschodzie, w krainie przeszłości sióstr Aminpur, przyprawa ta jest rzadko spotykana w kulinarnych przepisach Zachodu, gdzie nie docenia się jej zdolności do uśmierzenia zgagi i zmęczenia. Współczesność najwyraźniej przedkłada pigułki nad porady starożytnych jasnowidzów. Mardżan, przeczuwając trudności ze zdobyciem czarnuszki w Irlandii, zapakowała kilka pakietików jej ziaren

w kartony ekspediowane z Londynu. Lejla nigdy nie miała uświadomić sobie, jak potężnym zrządzeniem losu był ów transport przyprawy z Londynu, ponieważ już w tej chwili podążała za przeznaczeniem, które jej wyznaczył aromat czarnuszki, roznoszący się z bulgoczącego garnka na całą senną ulicę.

Benny Corcoran, właściciel piekarni Corcorana, był pierwszym miejscowym obywatelem, którego napotkała Lejla w drodze do minimarketu Faddena. Zamiast kupić sobie furgonetkę dostawczą, Benny woził do Faddena chleb i bułki na wielkich czerwonych taczkach. Zakończył właśnie drugą rundę dostaw i pot spływał mu po twarzy, kapiąc na chleb, którym wyładowane były taczki – gdy nagle Benny dostrzegł Lejlę. Niemal natychmiast poraziła go woń czarnuszki, wymieszana z właściwymi dziewczynie zapachami wody różanej i cynamonu. Biedak, nie miał pojęcia, co go trafiło. Jeszcze przed chwilą krążył w samotni własnej próżni, a oto znalazł się w rajku kuszących owoców i stał przed Ewą, której długie, ciemne włosy i niezwykley zapach działały jak balsam na jego serce.

Łatwo byłoby przypisać wpływ Lejli na przedstawicieli płci przeciwnej (a sporadycznie i pokrewnej, o safonicznych inklinacjach) czarowi młodości lub ujmującemu naturalnemu aromatowi, jednak rzeczywisty powód jej atrakcyjności był znacznie bardziej złożony. Oczywiście, uroda dziewczyny – harmonia wyrazistych, porcelanowo gładkich rysów i skośny wykrój



migdałowych oczu, lśniących w niebiańskiej twarzy jak dwa półksiężycy – nie podlegała dyskusji. W odróżnieniu od obu starszych sióstr, obdarzonych niesfornymi kasztanowatymi lokami, Lejla miała włosy długie, gładkie i kruczoczarne. Czy je związała, czy rozpuściła, czy usztywniła pianką lub żelem – pozostawały uparcie proste i nic nie było w stanie tego zmienić. Dawały wyraźne świadectwo jakimś głęboko skrytym w jej organizmie orientalnym chromosomom.

Ojciec dziewcząt, gdyby jeszcze żył, bez wahania wykspონowałby ten dowód wschodniego pochodzenia. Dżawid Aminpur chełpił się z lubością swoją linią genealogiczną, sięgającą Dżyngis-chana, bębniąc przy tym pięściami po piersi i jodłując mongolskie pieśni wojenne na wzór przodków, do których rościł sobie pretensje. Zmarł na dwa miesiące przed pierwszymi urodzinami najmłodszej córki, więc Lejla nie pamiętała nic z ojcowskich popisów, jednak dzięki historyjkom na dobranoc, które przez lata opowiadała jej Bahar, otrzymała na własność swój prywatny zbiór wspomnień.

Lejla nie знаła też swojej matki, która zmarła wkrótce po wypchnięciu jej na ten brutalny świat. Po dziewięciu latach posuchy ostatnie dziecko odblokowało w Szirin Aminpur strumień krwi, która płynęła i płynęła, aż wypłynęła do końca. Bezradni lekarze ze Szpitala Ogólnego w Teheranie nie potrafili wyjaśnić przyczyn tego bezlitosnego krwotoku; wzruszali tylko ramionami w poczuciu klęski, przekazując smutną wieść ojcu Lejli.

Nie wspomnieli jednak o tym, że po ostatnich kroplach krwi, które wsączyły się w zielone szpitalne prześcieradło, z łona jego żony wyskoczył drobny pączek. Upadł na plamę krwi i rozwinął się w dorodną różę. Zalęknieni lekarze woleli zachować ten incydent dla siebie, po części aby uniknąć oskarżenia o błąd w sztuce medycznej, a po części dlatego, że towarzyszący cudownemu zjawisku zapach wody różanej z cynamonem przypomniał im czasy, gdy pod każdymi drzwiami sali operacyjnej nie krążyły straże wojskowe. Tak to już jest, że ludzie, którym odebrano nadzieję, gromadzą chciwie nawet najdrobniejsze jej okruchy.

Egoistyczna motywacja dyskrecji lekarzy nie wpłynęła jednak znacząco na los Lejli. Od pierwszych chwil obecności na świecie czarowała ona wszystkich, którzy stanęli na jej drodze. Emanująca z niej aura nadziei pozwalała takim mężczyznom jak Benny Corcoran przeżywać na nowo ambicje beztroskiej młodości i marzenia piastowane za zamkniętymi drzwiami, gdzie jako nastolatkwie masturbowali się pod przepoconą kołdrą – owe chwile czystej, samolubnej rozkoszy, zanim na chłopca zrzucono brzemień męskości w postaci niewdzięcznej pracy i zrzędlivej żony.

Czując na sobie zachwycone spojrzenie Benny'ego, Lejla przyśpieszyła kroku. Hałaśliwa gromada dzieciaków z podstawówki, kłębiąca się pod kioskiem z prasą i słodyczami, nie zwróciła na nią uwagi, zbyt zajęta cmokaniem lizaków w wyszczerbionych zębach. Po

przeciwnej stronie ulicy salon fryzjerski Athey uchylał właśnie żaluzje, różowe niczym pióro flaminga. Na klientów było jeszcze za wcześnie, więc trzy fryzjerki raczyły się wewnątrz poranną herbatką, przerzucając stare czasopisma. Gdy Lejla mijała witrynę, upuściły z wrażenia swoje „Irish Women’s Weekly” i „Celtic Hair”, gapiąc się na nią przez szybę z rozdziawionymi ustami.

– Kto to może być, jak myślicie? Widziałyście, dokąd jej sięga ta spódnica! – Joan Donnelly, specjalistka od farbowania włosów i siostra właścicielki, z impetem odstawiła filiżankę, przemaszerowała do okna i palcami rozchyliła listewki rolety. Joan była drobna i nerwowa. Los obdarzył ją wprawdzie talentem do farbowania jasnych i ciemnych pasemek, lecz jak dotąd nie znalazła remedium na tumany łupieżu sypiącego się dzień w dzień z jej własnej równo przystrzyżonej grzywki: białe płatki osiadały jak wyrzuty sumienia na wąskich, kościstych ramionach. – Na moje oko to cudzoziemka. Hiszpanka albo Włoszka, nie myślicie?

– To ty jeszcze nic nie wiesz? No jasne, miałam ci powiedzieć i wyleciało mi z głowy! – zaświergotała dziewiętnastoletnia Evie Watson. – Delmonico otworzyła na nowo starą ciastkarnię. I wpuściła tam jakieś zagraniczne hipiski, jak słowo daję! Z tego, co mówi Dervla Quigley, widać, że gotowa wykołegować z interesu Corcorana.

Pomimo bulimicznej postury – a może właśnie z jej powodu – Evie była wciąż złąkniona aprobaty i gdzie

tylko mogła, łowiła strzępy wieści o Ballinacroagh, które mogły pozyskać jej uznanie innych. Gorliwość Evie była jednak czymś zgoła odmiennym niż żądza plotki, którą kierowała się Dervla Quigley. Evie zawsze paplała w dobrej wierze i w nadziei, że awansuje dzięki temu z pomocnicy na samodzielną fryzjerkę, o czym od dawna marzyła.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, to Estelle Delmonico ma lepsze rzeczy do roboty niż zaharowywać się na nowo w tej zapyziałej norze – oświadczyła Fiona Athey, główna stylistka i właścicielka zakładu noszącego na szyldzie jej nazwisko.

Pięćdziesiąt funtów wagi i kawał życia wcześniej Fiona była na najlepszej drodze do wielkiej sławy jako odtwórczyni pełnego kanonu irlandzkich baśni przed zachwyconymi kompletami widzów w teatralnej stolicy Irlandii, Galway City. Niestety, potajemny romans z Gerhardem, niemieckim lalkarzem, kosztował ją ciężę, której owocem była zakała jej żywota, siedemnastoletnia obecnie córka Emer. Po urodzeniu dziecka Fiona doznała jeszcze dotkliwszej zniewagi, gdy na teatralnym stryżku znalazła Gerharda w niedwuznaczej sytuacji ze swoją własną dublerką. Ta niedawna debiutantka, tleniona blondyna – co wyjaśnia, czemu Fiona zajmowała się w zakładzie wyłącznie strzyżeniem, farbowanie włosów pozostawiając siostrze, Joan – wykorzystała jej niedyspozycję, podbierając i faceta, i główną rolę. Zdruzgotana Fiona poprzysięgła sobie, że nie wejdzie

więcej na scenę, i wróciła z niemowlęciem do rodzinnego miasteczka, gdzie przejęła od chorowitego ojca męski zakład fryzjerski, który z czasem przekształciła w szykowny salonik. Zakład fryzjerski Athey cieszył się popularnością wśród miejscowej młodzieży i pań, natomiast większość mężczyzn omijała z daleka jego pachnące utleniaczem wnętrze – głównie po to, by oszczędzić sobie wstydu paradowania w kwiecistej pelerynce ochronnej. Dość przejść w dowolne popołudnie obok salonu fryzjerskiego Athey, aby przekonać się, że jest to wylęgarnia estrogeneru, przesycona mieszaniną plotek i oparów acetonu z emalii do paznokci oraz lakieru do włosów.

Fiona, która tuż po powrocie do miasteczka zniosła dzielnie szydercze prześmiewki i karcące miny otoczenia, wstrzymywała się na ogół z wyrażaniem własnej opinii. Gardziła nieustannym jazgotem zjadliwych komentarzy, wypełniającym jej różowy salonik, rozumiejąc zarazem, że plotkarska atmosfera jest niezbędna dla zdrowia interesu. Właśnie z racji jej neutralności, w rzadkich chwilach, gdy Fiona Athey ujawniała publicznie swe poglądy, wszyscy obecni milkli i zamieniali się w słuch ze szczególnym szacunkiem.

– Moim zdaniem, Estelle postąpiła bardzo mądrze, wynajmując lokal – oświadczyła Fiona. – Przybędzie nam może nowy sąsiad, i dobrze. Miejmy tylko nadzieję, że nie będzie to zakład fryzjerski.

– Racja, jak tamtędy przechodziłam któregoś dnia,

widziałam światło przez szparkę w oknie. Ktoś coś gotował. Nie poznałam po zapachu, ale na pewno nie było to podobne do włoskiego żarcia z tej knajpy ze spaghetti w Westport. Coś zupełnie innego – wtrąciła gorliwie Evie.

– Ha! Niech tam, wszystko mi jedno, co to za ludzie i czym się zajmują, byleby ta pannica nie próbowała odciągać moich chłopców od nauki do końcowych egzaminów. Pójdą do seminarium, czy im się to podoba, czy nie – oświadczyła Joan, wydymając usta i jednym szarpnięciem odciągając wertykalne żaluzje.

Fiona i Evie pokiwały na to głowami, znając doskonale dramat identycznych bliźniaków Joan Donnelly, Petera i Michaela. Przekonana, że jej ukochani synkowie przeznaczeni są do wyższych celów, Joan od najmłodszych lat faszerowała ich odporne umysły cowieczornymi lekcjami katechizmu. Świątobliwe ambicje matki nie odbierały jednak bliźniakom apetytu na weekendowe szaleńcze rajdy samochodem, burdele i ostre popijawy. Chłopcy stanowili nieustanny przedmiot trosk nieszcześnej, neurotycznej Joan: przez nich właśnie systematycznie traciła włosy. Całe szczęście dla niej, że nie widziała, jak jej synalkowie z piekła rodem wpadli na Lejlę, ścinając ją niemal z nóg przed samym minimarketem Faddena.

– Jak leci? – Peter puścił oko do Lejli, a jego brat gwizdnął z cicha.

Lejla, która ledwo umknęła przed podziwem Benny’ego Corcorana, nie była gotowa na przyjęcie

dowodów atencji lubieżnych bliźniaków. Z ujmującym połączeniem młodzieńczej nieśmiałości i pewności siebie skinęła zdawkowo w ich stronę i dała nura w czeluść sklepu.

– O Jezu. Widziałeś ją?

– Jeszcze się pytasz? Michael, nam się chyba ukazał cud.

Na sprośnie uśmiechniętych, strzelających oczami bliźniaków Donnelly kwitnąca uroda Lejli podziała zgoła inaczej niż na nostalgicznie usposobionych starszych panów. Chłopcy mieli, bądź co bądź, zaledwie po osiemnaście lat, a przed nimi roztaczała się perspektywa wielkiego świata rozpusty i rozróby (pał sześć projekty matki). Widok długich nóg Lejli, których smagły odcień przebijał nawet przez cienkie pończochy, obudził w nich zwierzęcą, prymitywną chuć, typową dla młodzieńców w tym wieku. Każdego innego dnia bliźniacy podążyliby za dziewczyną do sklepu. Ale to był poniedziałek. A w poniedziałki nigdy nie wchodzili do minimarketu Danny'ego Faddena więcej niż raz.

Dla podtrzymania tradycji oraz na złość matce, za to, że co niedziela kazała im odsiadywać w kościele dwie msze, Peter i Michael Donnelly regularnie odwiedzali sklep Faddena w poniedziałki rano, przed lekcjami. Stosując fortel wymyślony już w pierwszej klasie szkoły średniej, Michael zagadywał pana Faddena przy ladzie zawilými pytaniami z dziedziny mitologii, na które odpowiedź znać mógł tylko ów sklepikarz – zaprzysiężony

miłośnik irlandzkiego folkloru. Peter tymczasem ściągał z piwnej półki dwie flaszki Beamish, upychając je po kieszeniach obszernej budrysówki. Przed lekcjami obaj radośnie odbijali butelki, puszczając je w obieg między koleżków o byczych karkach, którzy gromadzili się w lasku za boiskiem. Rytuał krążących butelek nielegalnie pozyskanego trunku był dla bliźniaków ledwie pianką wieńczącą sedno operacji, gdyż największe ich emocje budziło nie samo piwo ani dreszczyk towarzyszący kradzieży, lecz swoiście okrutna zabawa, którą uprawiali kosztem biednego Danny'ego Faddena.

Za każdym razem, gdy Peter zwijał dwie butelki piwa (zawsze z głębi półki), kładł na ich miejsce skrawek zielonego filcu i karteczkę z napisem: „Na kredyt. Finnegan”. Nie trwało zbyt długo, by Danny (mężczyzna, który postrzegał się w marzeniach jako beznadziejnie zakochany Diarmuid, uchodzący potajemnie z biegłą w czarach Grainne) dodał dwa do dwóch i otrzymał w wyniku pięć. Zielone sukno, brakujący trunek, nazwisko Finnegan. Wszystko to wskazywało na jedno: w sklepie zadomowił się kobold. Danny Fadden uznał się za niebywałego szczęściarza, błogosławionego kontaktem z krasnoludkami, i poniedziałkowych porannych wizyt kobolda wyczekiwał z ledwo hamowanym podnieceniem. Naturalnie, całe Ballinacroagh żartowało sobie z „Faddenowego krasnoludka”, a klienci wpadający po mleko lub kartofle pytali często sklepikarza, jak się wiedzie jego małemu przyjacielowi. Za to żona



Danny'ego, Deirdre, nie widziała absolutnie nic zabawnego w koboldowej manii małżonka i – po blisko pięciu latach trwania tej fiksacji – opuściła go w przeddzień trzydziestej rocznicy ślubu.

Gdy Lejla weszła do sklepu, nieśmiały właściciel skradał się na paluszkach ku regałom z piwem. Znając kapryśny temperament koboldów, a zwłaszcza ich odrazę do wszystkiego, co ludzkie, Danny dbał bardzo o to, aby nie zakłócić spokoju małego przyjaciela w jego kryjówce. Półki piwne omijał więc z daleka, począwszy od niedzielnego południa do godziny ósmej rano w poniedziałek, aby przypadkiem nie zaskoczyć gościa i nie wystraszyć go na dobre. Dlatego nigdy, oczywiście, nie skojarzył sobie karteczek z porannymi poniedziałkowymi wizytami bliźniaków Donnelly. Gdy Lejla buszowała wśród towarów w poszukiwaniu cebuli, Danny przycupnął w alejce piwnej, rozszyfrowując sens najnowszej karteczki od krasnoludka: „Lubię jęczmień, lubię żytko, a porterek ponad wszystko. Na kredyt. Finnegan”. Żadne z nich nie zauważyło stojącego cierpliwie przy ladzie Malachy'ego McGuire'a.

Młodszy z dwóch synów Thomasa McGuire'a, osiemnastoletni Malachy, wymigał się jakimś cudem od DNA męskiej linii rodu McGuire'ów, którą cechował baryłkowaty tors i rzeźnicka cera. Nie odziedziczył też zbyt wiele po matce, która, wraz z trzema pulchnymi siostrzyczkami Malachy'ego, mogłaby stanowić wdzięczny model dla współczesnego Rubensa.

Wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, i szczupły, o dłoniach pianisty, Malachy wyróżniał się niesforną szopą czarnych włosów i szafirowymi oczami, które lśniły niczym słońca o północy. Jego promienna uroda budziła niekłamany zachwyty. W niczym nie przypominał swego starszego brata Toma, który w wieku dwudziestu jeden lat był niemal kopią ojca, choć pozbawioną ambicji i intryganckiego talentu głowy rodziny. Tom junior większość wolnego czasu dzielił między mecze amatorskiego hokeja na trawie i rolę tatowego popychadła, Malachy natomiast pasjonował się na równi astronomią i futbolem, łącząc sprawy ziemskie z niebieskimi i w obu dziedzinach odnosząc wybitne sukcesy. Nie mógł jednak wiedzieć, że kosmos, który nocami kontemplował przez okno sypialni, wszedł owego poniedziałkowego ranka w układ idealny.

Podobnie jak Peter i Michael Donnelly, Malachy był właśnie w drodze do szkoły, gdy postanowił wstąpić do Faddena na poranną lemoniadę. Lecz w przeciwieństwie do szatańskich bliźniaków, Malachy McGuire miał duszę tak prastarą jak konstelacje niebieskie. Dla niego obiecujący aromat Lejli nie był ani przypomnieniem dawno utraconego dzieciństwa, ani stymulatorem młodszej chuci. O nie – dla Malachy’ego egzotyczny profil dziewczyny, napełniającej torbę białą cebulą był znakiem, dźwięcznym tak w odpowiedzi na odwieczne pytanie o boskość.

Tak, Bóg istniał. Tak, istniało życie poza sennymi

dolinami Ballinacroagh. Tak, istniały nieodkryte wszechświaty, czekające właśnie na niego. A jeden z tych wszechświatów stał oto tuż przed nim, w pełnej krasie swych oszałamiających Dróg Mlecznych.

Malachy poczuł nagłą słabość i zawrót głowy. Z zamglonym wzrokiem i mięknącymi kolanami uchwycił się najbliższej podpory – półki sklepowej. Na nieszczęście dla romantycznego tropiciela gwiazd półka podtrzymywała piramidę damskich artykułów sanitarnych i Malachy, nim się zorientował, runął na ziemię, przysypany – o zgrozo! – stertą okazyjnie wycenionych, dwa za jedno, pudełek tamponów higienicznych supersize.

Rumor skierował uwagę Lejli na otoczenie, a gdy się odwróciła ku frontowi sklepu, poczuła nagle płomień w całym ciele. Tuż przed nią, między regałami, leżał najpiękniejszy chłopak, jakiego w życiu widziała. Spróbowała odetchnąć, ale nabawiła się jedynie kompromitującej czkawki – ukąszone miłością powietrze odbijało jej się, póki nie wypła solidnego łyka *dugh*, słynnego napoju Mardzan.

– Nic ci nie jest, chłopcze? Nie potłukłeś się przypadkiem, co? – Zaniepokojony Danny Fadden wychynał z alejki piwnej, mrugając rybimi oczkami spoza grubych szkieł.

Biedny Malachy. Naturalna zwinność po raz pierwszy w życiu sprawiła mu zawód. Obsypany tak intymnymi atrybutami kobiecości, zdobył się tylko na skinienie głowy i płonąc rumieńcem, czmychnął jak niepyszny. Nie śmiał

spojrzeć od drzwi na Lejlę, tylko pognał dalej, nie zważając na złośliwe okrzyki bliźniaków: „Zapomniałeś ogona, McGuire!”. Nie zauważył nawet, że pędzi w kierunku przeciwnym do szkoły – tak oszołomił go przecudny zapach Lejli.

Gdy najmłodszą z sióstr dopadła w sklepie romansowa czkawka, Mardżan uwijała się w kuchni, siekając ostatnią cebulę i niecierpliwie wypatrując Lejli z dostawą surowca. Posiekaną cebulkę przesmażyła następnie w oliwie z oliwek, przewracając drobne kawałeczki na wszystkie strony, aby nabrały chrupkości, ale nie pociemniały, po czym odstawiła skwierczący smakołyk na bok: miał służyć do posypywania porcji zupy spodziewanych klientów. Mardżan uważała smażoną cebulkę za najlepszy składnik swojej zupy z czerwonej soczewicy – bo czyż nie jest tak, że najskromniejsza czynność daje często największą satysfakcję?

Lejla nie pojęła znaczenia prostej lekcji, którą pobrała w sklepie, dopóki nie zapłaciła za torbę białej cebuli, nie odpowiedziała uśmiechem na nieprzytomne spojrzenie Danny’ego Faddena i ignorując ciche pogwizdywania ociągających się przy ladzie bliźniaków Donnelly, nie wróciła pośpiesznie do ciepłej kuchni siostry, czkając przez calutką drogę. Dopiero tam uprzytomniła sobie, że wciąż ściska w garści cebulę – ostatnią, którą wzięła z półki, zanim ujrzała cudne oblicze Malachy’ego McGuire’a. Rozwarłszy zaciśniętą pięść, stwierdziła, że mała biała bulwa została zgnieciona na miazgę – zupełnie

jak jej serce.

# Baklava

*4 szklanki brązowego cukru*  
*1 szklanka wody*  
*½ szklanki wody różanej*  
*½ kg łuskanych orzeszków pistacjowych, posiekanych*  
*½ kg zblanszowanych migdałów, posiekanych*  
*2 łyżki stołowe mielonego kardamonu*  
*1 łyżeczka mielonego cynamonu*  
*15 cienkich mrożonych płatów ciasta filo*  
*½ szklanki niesolonego masła, stopionego*

Dwie szklanki cukru z wodą i wodą różaną zagotować w średniej wielkości rondlu. Odstawić do wystygnięcia. Orzechy, migdały, kardamon, cynamon i pozostałe 2 szklanki cukru miksować przez 1 minutę. Odstawić. Posmarować masłem 5 płatów ciasta filo i wyłożyć nimi natłuszczoną blachę o wymiarach 33 na 23 cm. Na cieście rozprowadzić cienką, równą warstwę mieszanki orzechowej i przykryć ją kolejnymi pięcioma posmarowanymi masłem płatami ciasta. Czynność powtarzać aż do całkowitego zużycia mieszanki. Na wierzchu ułożyć pięć ostatnich posmarowanych masłem płatów ciasta. Ostрым nożem ponacinać paski wzdłuż i po przekątnej, aby uzyskać kształt rombów. Piec godzinę w temperaturze 180°C. Z wierzchu polać syropem cukrowo-różanym. Przed podaniem schłodzić.

Brzoskwiniowy budynek komisariatu Ballinacroagh stoi w jednym końcu miejskiego placu, naprzeciwko rzymskokatolickiego kościoła Świętego Barnaby, w bezpośrednim sąsiedztwie sypiącej się klasycystycznej siedziby rady miejskiej.

Posterunek Garda, ze spłowiałą fasadą, ozdobioną gruzłowatą sztukaterią, nie jest obiektem, którym można się poszczycić, a kruszący się gipsowy herb nad jego wejściem, z wyrytym napisem „An Garda Síochána” nie onieśmiela nikogo, kto przekracza skrzypiący, przegniły próg tej instytucji. „An Garda Síochána”, czyli „Strażnicy Pokoju” dla osób nieszkolonych w języku gaelickim to oficjalny tytuł wystrojonych w niebieskie kamizelki, brzuchatych policjantów, rozlokowanych wygodnie po całej irlandzkiej prowincji. W uszach niewtajemniczonych słowo „Garda” może zabrzmieć chwalebnie, kojarząc się ze skrzydlatymi mitycznymi protektorami, którzy krążyli nad głowami swoich podopiecznych z kuszą w każdej chwili gotową do strzału. Lecz szumny tytuł często wprowadza w błąd, czego dowodzą dwaj najbardziej zasiedziali (i najbardziej leniwi) rezydenci miejscowego posterunku.

Sierżant Sean Grogan siedział w pokoju przesłuchań. Nogi założył na biurko i z półprzymkniętymi oczami słuchał z przenośnego radjyka prognozy pogody na bieżący

dzień. Okłapyły na ciele i duchu, Grogan stale słuchał stacji Mid-West FM: wiadomości o sporach związkowych, epidemiach choroby pyska i racic oraz rozdartych wojnami krajach afrykańskich zawsze budziły w nim wdzięczność za monotonię obranego zawodu.

– Będzie w końcu ta herbata, Kevin? – zagadnął Sean Grogan swojego podwładnego, strażnika Kevina Slattery’ego, uchylając na moment jedno oko.

Kevin Slattery co rano rozpałał pod stuletnią kuchnią na torf, umieszczoną w pakamerze, po czym napełniał zimną wodą poobijany czajnik i układał na talerzyku ulubione kruche ciasteczka Grogana. W ten akurat poniedziałkowy ranek Kevin spóźnił się trochę do pracy, gdyż zatrzymały go w domu przedwczesne skurcze porodowe ciężarnej żony.

– Właśnie się do niej biorę, Sean – odpowiedział, rozniecając ogień pod blachą. Sam już nie wiedział, które z nich jest bardziej wymagające: żona cierpiąca na zatrzymanie moczu czy ten nygus przełożony. Orzekłszy remis, Kevin wrócił po pięciu minutach z czubkiem perkatego nosa umazanym szarym torfowym popiołem i oświadczył: – Buzuje jak złoto. Teraz to już potrwa chwilę.

Grogan mruknął zrzędliwie. Bez porannej herbaty i kruchych ciasteczek nie potrafił się porządnie skoncentrować na wiadomościach z zagranicy.

Żeby zabić czymś czas do zagotowania się wody, Kevin kucnął przed dwupółkową etażerką, wciśniętą w kąt



pokoju przesłuchań, i zdjął z niej osiem zakurzonych ksiąg rejestrowych. Mimo iż większość posterunków Gardy w hrabstwie Mayo posiadała już co najmniej po jednej nowoczesnej maszynie do pisania, w Ballinacroagh wciąż odnotowywano lokalne wykroczenia w zmurszałych, dziesięciofuntowych rejestrach z minionej epoki. Żmudny obowiązek spisywania policyjnych raportów należał do Kevina Slattery'ego, który starannym pismem zapełniał rubryki opisem przestępstwa, jego datą, godziną oraz nazwiskiem domniemanego sprawcy.

Otworzył najświeższy rejestr, Kevin odczytał ostatni wpis, z czternastego lutego, w którym to dniu niejaki Kot, dyżurny pijak i malkontent Ballinacroagh, pozdrowił obscenicznym znakiem dwóch palców świętego patrona zakochanych. Zasuszony jak mumia alkoholik (nikt w miasteczku nie miał pojęcia, ile właściwie lat liczy sobie Kot) postanowił urządzić sobie walentynki na dachu plebanii, gdzie wspiał się ze zwinnością stworzenia, na którego cześć nosił swoją ksywkę. Spędził tam dobre trzy godziny, opłakując utracone kochanki i pojękując w nieoznakowaną flaszkę swojego nieszczęścia, aż wreszcie Grogan ze Slatterym ściągnęli go na dół drągiem do zaganiania bydła.

Młody funkcjonariusz pokręcił głową na wspomnienie tego incydentu i zamknął księgę, wzniecając obłok kurzu, który wycisnął mu łzy z oczu. W tej samej chwili przenikliwy gwizd czajnika z pakamery zagłuszył wiadomości nadawane przez trzeszczące radio.

Zirytowany Grogan nachylił się, aby podkręcić gałkę odbiornika, i przypadkiem dostrzegł, jak land rover Thomasa McGuire'a zajeżdża pod sąsiedni budynek magistratu.

Obaj strażnicy prawa rzucili się do okna patrzeć, jak Thomas szturmuje wejście do ratusza. Zażywny szynkarz przez dobre dwie minuty walił pięściami w zamknięte drzwi, forsując bezsensownie stare deski, aż wbił sobie w dłoń potężną drzazgę, co do reszty popsuło mu humor. Była zaledwie ósma rano, za wcześnie dla obiboków z rady miejskiej na rozpoczynanie szycoty przy municypalnej pracy. Wczesna godzina nie powstrzymała jednak Thomasa od skopania niebieskich drzwi w odruchu niepohamowanej furii, zanim wycofał się do swego land rovera, aby tam oczekiwać pojawienia się radnego Padraiga Careya.

– Chwilowo nie ma szans na złożenie skargi w ratuszu – zauważył łagodny z natury Kevin. Nie przyznałby się za nic do tego, że widok i odgłosy furii Thomasa wystraszyły go nie na żarty.

Grogan westchnął.

– Zrób już lepiej tej herbaty, Kevin. Znosi się na długi dzień. Założę się o całą wypłatę.

Ostatnie zdanie Grogan dodał z nawyku, wiadomo było bowiem, że regularnie przepuszcza tygodniową pensję na konie. Pokiwał głową z miną znawcy i podkręcił trzeszczące radio, które nadawało właśnie komunikat o pogodzie.

– ...A teraz, mili słuchacze, najświeższe doniesienia naszej ślicznej Kathleen z działu pogody – szykujcie się na deszcz, które prędko nie ustaną. Wiatr sztormowy będzie wiał z siłą ośmiu stopni, w porywach do dziesięciu. Pamiętajcie o parasolach i poróbcie zakupy przed obiadem! Tu Irish Western Radio. Słucha nas Mayo, Irlandia i cały świat!

Thomas skaleczoną ręką też włączył radio w land roverze, mając nadzieję, że zagłuszy nim dudnienie w głowie. Niech ten zasraniec Pdraig jak najprędzej otwiera biuro, pomstował w duchu, bo nie ręczę za siebie. Obiecywał sobie, że jeśli nie otrzyma wyjaśnień w sprawie tego, co widział w starej ciastkarni, to, Bóg świadkiem, rozwali całą budę gołymi rękami. Niedoczekanie, żeby ta włoska wiedźma po raz drugi okradła go z marzeń!

Marzenia Thomasa McGuire'a zrodziły się trzydziestego pierwszego grudnia roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego, w pamiętną noc narodzin irlandzkiej telewizji. Dzięki śmiałemu wkroczeniu ojczyzny w sferę zaawansowanej technologii Thomas stanął owej nocy oko w oko z roztańczonym zespołem Working Boys Band, swingującym na żywo z dublińskiego hotelu Gresham. Podczas gdy reszta rodziny wpatrywała się nabożnie w mglisty ekran odbiornika, piętnastoletni Thomas stał za rzędem krzeseł ustawionych w paradnym pokoju i czuł, jak palce jego stóp zaczynają żyć własnym życiem. Zanim połapał się, co robi, jego spiczaste

dwukolorowe półbuty już podrygiwały mimowolnie w rytm transmitowanej przez telewizję muzyki inspirującego się grupą Motown irlandzkiego sekstetu, niosąc go w całkiem nowy świat. Stopy Thomasa ruchem tłuczka do kartofli wytańczyły z salonu i potwistowały w górę po schodach, a w jego pustej zazwyczaj głowie zagnieździł się synkopowy beat, który nie ustawał odtąd nawet we śnie.

Świadom stygmatyzującego efektu, jaki jego nasilająca się fascynacja popularnym tańcem wywołać może na gaelickim boisku piłkarskim męskiej szkoły średniej, do której uczęszczał, Thomas ukrywał swoją pasję przed wszystkimi i oddawał jej się tylko pod ożywym strumieniem gorącego prysznica, podrygując w takt shimmy, gdy spieniony szampon spływał w kanalizację. Nieraz, gdy złośliwi braciszczkowie posnęli już w łóżku obok, wyciągał latarkę i zagłębiał się w lekturze magazynu „Teen Beat”, „wypożyczonego” spod poduszki siostry Margaret. Zdjęcia rumianych amerykańskich nastolatków z American Bandstand Dicka Clarka i ostrzyżonych „pod garnek” Brytyjczyków, którzy z grup Yardbirds czy Herman’s Hermits wybijali się na listę przebojów Top 40, budziły w nim nieposkromione pragnienia. Gdybym tylko był starszy, szeptał sobie Thomas. Natychmiast dałby nogę do Londynu albo Nowego Jorku. Tam wyrobiłby sobie nazwisko. Thomas McGuire mógł stać się drugim Elvisem Presleyem albo Paulem McCartneyem – był tego pewien.

Niestety, los zrządził inaczej. Wraz z przedwczesną

śmiercią ojca spadła na młodego Thomasa odpowiedzialność za imperium – a raczej za skromne początki imperium – w postaci pubu U Paddy’ego McGuire’a. Marzenia o sławie tanecznej poszły w kąć kosztem solidniejszej pozycji barona wyszynku i postrachu całego miasteczka. Między rokiem tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym a siedemdziesiątym siódmym, dzięki mocno forsowanemu małżeństwu z Cecilią Devereux, córką okręgowego burmistrza, panną o wadze dwustu dwunastu funtów i nimfomańskich skłonnościach, Thomas McGuire zyskał praktycznie monopol na cenny fundusz rozrywkowy miejscowych obywateli. Sześciorgu swego niezaradnego rodzeństwa zlecił codzienny nadzór nad filiami rozrastającego się biznesu, sam zaś chciwym okiem głodnej bestii nadzorował całą machinę. I wszystko wyszło mu na korzyść: pilne wstawanie o świcie, uparta decyzja o zmianie obić w karczmie Wilton (wzorzysty welur zamiast skóry z początków stulecia), modyfikacja asortymentu pubów (przez dodanie butelki lepkiego portwajnu do coraz bogatszej karty piw jasnych i ciemnych). W czasach gdy średni roczny dochód ledwo przekraczał osiem tysięcy funtów, Thomas McGuire zdołał dorobić się wielkiego majątku. Jako właściciel sześciu prosperujących lokali, zatrudniający blisko jedną trzecią obywateli miasteczka, mógł już spokojnie osiąść na laurach, znajdując wreszcie trochę czasu dla coraz pulchniejszej małżonki i coraz liczniejszej gromadki potomstwa. I owszem, gdyby latem tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątego roku (w rzadkiej chwili wielkoduszności) nie wpadł na pomysł zafundowania swoim trzem harującym ciężko braciom wycieczki na hiszpańską wyspę Majorkę, prawdopodobnie przystopowałyby nieco, aby złapać nieświeży oddech. Przeznaczenie jednak najwyraźniej miało wobec niego inne plany. Na tej to bowiem wycieczce Thomas znalazł wreszcie okazję do przeżycia na nowo swego młodzieńczego marzenia.

Marzenie powróciło, gdy stał na patio Discoteca de Amor, słuchając pierwszych taktów piosenki Thelmy Houston *Don't Leave Me This Way*, szybujących w parne hiszpańskie niebo. Zachęcone wyzwalającą ekstazą syntezatorów, przyjemnie śliskim poliestrowym parkietem i bliskością ładnej Mulatki w butach na niesamowicie wysokich koturnach, która obijała się o biodro Thomasa w rytm funky, jego stopy nagle znów ruszyły w taniec. Kiwając się z zapalem w rytm głośnej dyskotekowej muzyki, właściciel barów poczuł się nową, lepszą wersją samego siebie. A chwilę potem doszedł do wniosku, że niczego tak bardzo nie potrzebuje, niczego tak gorąco nie pragnie, jak własnej dyskoteki.

Po powrocie do Ballinacroagh odmłodzony Thomas zaczął gorliwie zmierzać do celu. Wyhodował sobie puszyste baczki, kędzierzawe włosy zapuścił do ramion, a grube nogi wcisnął w dzinsy dzwony. Przesiadywał w sklepie płytowym Kenny'ego, szperając w tysiącach nagrań dyskotekowych, pochodzących z tak egzotycznych

amerykańskich enklaw jak Bushwick, Brooklyn, centrum Detroit czy Jamajka w Queens. A w grudniu osiemdziesiątego roku aż dwadzieścia dwa razy obejrzał *Gorączkę sobotniej nocy*, wyświetlaną w jednoekranowym kinie w Castlebar. Przed sylwestrem gotów był wkroczyć w drugi etap realizacji projektu nocnego klubu: poszukiwanie idealnego lokalu do tańca.

Szczerze mówiąc, wybór był niewielki. Istniało właściwie jedno tylko miejsce, które Thomas brał pod uwagę z myślą o swojej dyskotecie: ulokowana po sąsiedzku ciastkarnia U Papy. Traf chciał, że ściana oddzielająca ciastkarnię Delmonico od pubu U Paddy'ego McGuire'a była zwykłym przepierzeniem ze zbutwiałych desek, zapaćkanych kruszącym się tynkiem – rzecz niezwykła wobec ceglanych lub kamiennych murów rozdzielających wszystkie inne lokale. Trzyosobowej brygadzie wystarczyłby dzień, góra dwa, aby oczyścić przedpole dla tętniącego życiem klubu nocnego, który Thomas już ochrzcił mianem Paddy Poliester. Miejsce było idealne. Należało teraz tylko wykombinować, jak położyć na nim łapę.

Thomas McGuire długo kombinować nie musiał: jego dyskotekowe modły zostały wkrótce wysłuchane, a odpowiedzią na nie była przysypana bezami śmierć Luigiego Delmonico wiosną osiemdziesiątego pierwszego roku. Nagły zawał porwał go w obroty niczym walc i przeniósł na tamten świat. A dla Thomasa McGuire'a drzwi lokalu stanęły otworem.

Przynajmniej w jego własnych planach.

Wiedząc, że naraziłby się pobożniejszej części miejscowej społeczności, gdyby ruszył z rozbiórką nazajutrz po stypie ku czci piekarza, Thomas odczekał pełny miesiąc, nim zapukał do drzwi Estelle Delmonico. Tradycji, rozumował, musi stać się zadość, choćby dla zachowania pozorów. Domek państwa Delmonico, czteroizbowy, z zielonymi okiennicami, stał przy odległej i niebezpiecznie stromej górskiej drodze, która okazała się o wiele za wąska dla kolosalnego land rovera Thomasa. Zmuszony zaparkować ukochany wehikuł u stóp góry, zasapany grubas przez półtorej mili piął się pieszo do celu kamienistą drogą, krztusząc się smrodem krowiego łajna i świńskiego tłuszczu. Wspinaczka ta była dla Thomasa istną pokutą za niepopelnione grzechy: przy każdym kroku czuł piekący ból w nieowłosionych udach, a troska o własne interesy przesłaniała mu piękno rozpościerających się po obu stronach soczyste zielonych dolin.

Serpentyny wijące się w górę ku chatom to typowe pocztówkowe widoczki, jakich każdy oczekuje od irlandzkiego krajobrazu. Po obu stronach tych zarośniętych wiejskich dróg ciągną się zardzewiałe płoty i kamienne murki, zza których bujnie wyrastają tysiące ociekających wodą konarów drzew i kępy parzących pokrzyw. Ale dopiero polanka, która otwiera się przed wędrowcem zniecka, gdy ten skręci ku chacie, wieńczy bajkowy obraz jak ze snu druida. Bo za polanką widać ocean.



Atlantyck, niczym troskliwy rodzic, nieustannie syci południowy kraniec zatoki Clew. W pogodny dzień widok z okien chaty przez szpaler stojących na parapetach afrykańskich fiołków jest po prostu wspaniały. Widać nawet wciśnięte klinem w zbocze sąsiedniej Croagh Patrick poszarzałe bloki kamiennego ołtarza, przy którym kończy się większość pielgrzymek i zaczyna odkupienie dusz.

Thomas dowlóknął się wreszcie do białej chaty i przystanął, aby obetrzeć złane potem, purpurowe czoło. Tak, uszanował granice przyzwoitości. Odczekał dostatecznie długo – a teraz ciastkarnia wejdzie w jego posiadanie. Wystarczy zaoferować starej wdowie okrągłą sumkę – wyższą niż wszystko, o czym mogła marzyć w swoim zapytaniu, pożałuj Boże, sklepiu z pieczywem – a Paddy Poliester stanie się rzeczywistością.

Thomas, z trudem powściągając emocje, zapukał do niskich drzwi. Po chwili otworzyła mu korpulentna, pulchna niewiasta po sześćdziesiątce; jej obfity, opięty kuchennym fartuchem biust wyrósł przed Thomasem jak taran, przypominając mu dziecięce czasy podglądania piekarniczej. Faktem jest bowiem, że we wczesnych latach chłopięcych wabiły go dekadentkie kolory, przebłyskujące spoza witryn ciastkarni. Jako uczeń Thomas uwielbiał patrzeć, jak Estelle Delmonico dekoruje słodkimi ozdobami cytrynowożółte torty bezowe i zmrożone porcje pomarańczowych *gelato*, uśmiechając się do swojej pracy.

Pamiętał dobrze gwałtowne falowanie jej młodych jeszcze piersi, gdy na czubku każdej porcji deseru – od drożdżówek po czekoladowe eklerki – układała pojedynczą, lśniącą jak perełka, wisienkę *maraschino*. Ale to dawne czasy, skarcił się w duchu. Człowiek nie miał jeszcze dość rozumu.

– Słucham pana? – zdumione powitanie przywołało Thomasa do porządku. Pani Delmonico pytająco przekrzywiła głowę, gdyż nie miała pamięci do twarzy.

Thomas jednak zinterpretował ten gest jako chytrą taktykę handlową, rodem ze starego kraju wdowy. Proszę bardzo, uznał, to gra dla dwojga.

– Nie znamy się chyba. Moje nazwisko Thomas McGuire – oznajmił, wypinając szeroką pierś. Wierny swym grubiańskim manierom, nie wyciągnął ręki ani nawet nie skinął głową starszej damie, co w Ballinacroagh stanowiło elementarny odruch uprzejmości. Stał jak kłoc z miną pyszałka, patrząc z góry na włoską wdowę i czekając, aż ta uzna jego oczywistą wyższość.

– Oczywiście. Co za gapa ze mnie. Proszę wierzyć, że nie poznałabym własnej mamy, świeć Panie nad jej duszą, gdyby tu przede mną stanęła. Takie już mam oczy. Nie chcą pamiętać twarzy, tylko przepisy kulinarne.

Z ust Estelle Delmonico wyrwał się zdumiewająco dziewczęcy chichot. Nad jej obrzeżoną puszką górną wargą zalśniły krople potu, który zaczęły ściekać po zmarszczkach nad linią szminki. Estelle zgarnęła je zamasyście językiem i przełknęła z wielkim smakiem.

Thomas przyjrzał się bacznie skorej do żartów wdówce i znienacka obleciał go strach. Czy ona nie jest aby lekko stuknięta? Mąż jeszcze nie ostygł w ziemi, a ta już się oblizuje i śmieje jak w Boże Narodzenie. Nieraz słyszał, że Estelle Delmonico jest trochę dziwna – ale wariatka?

Wyciągając tak pochopne wnioski, Thomas McGuire nie wiedział, że Estelle Delmonico poci się upojną zawiesiną czystego cukru, i to od pierwszego dnia życia. Jej gruczoły potowe nie wydzielają typowego dla kobiet aromatu piżma – za to ten smak! Nieboszczyk mąż, Luigi, który sam był okazem przeciętności, natychmiast złapał się na magię tych cukrowych kropelek. Słodka Estelle była najwspanialszą muzą, o jakiej marzyć mógł ambitny ciastkarz z Neapolu – dobrali się jak w lukrowanym niebie.

– Wstąpi pan do środka? Właśnie robię bakławę. Czuje pan, jak pachnie szczęściem? To specjalny perski deser; przepis przysłała mi siostrzenica z Londynu.

Estelle otarła o fartuch umączone ręce i odsunęła się na bok, aby przepuścić gościa.

Thomas zapuścił żurawia w głąb mrocznego domu, spodziewając się widoku dziwnych cieni i szydełkowych serwetek. Nie był za to przygotowany na osobliwą woń, która poraziła go jak cios w brzuch. Oszołomiony erotyczną mieszanką zapachową kardamonu i palonych migdałów, cofnął się o dwa kroki, z powrotem na żwirową ścieżkę. Nie wiedział, że ten właśnie aromat skłonił

niegdyś chutliwego władcę z dynastii Achemenidów do ustanowienia sześćdziesięciu dziewięciu miłosnych nocy w swym królestwie fortocy pnącej róży. Konkubiny na polecenie pana wczesywały w ciemne loki sproszkowany kardamon, a służące haremu pieczętowały ich białe pępki mieszaniną ciepłego miodu i migdałów. Thomas jednak zamiast miłosnego oczarowania dostał od tej woni niemal skrętu kiszek.

– Nie, nie. Przyszedłem z pewnym interesem – zastrzegł się, wznosząc ręce w odruchu obrzydzenia. Było coś wielce niestosownego w tak intensywnym zapachu. – Współczuję pani z powodu śmierci męża. Widzę, że zakład stoi od tego czasu zamknięty. Czy to znaczy, że niedługo wyjeżdża pani do siostrzenicy?

– Do Glorii?! Skąd! Ona jest młoda, wolna, mieszka w Londynie. Nie, nigdzie się nie wybieram. Co by zresztą począł beze mnie mój Luigi?

– Luigi? Pani mąż? – Thomas już układał sobie w głowie przemówienie do rady miejskiej. Ta stara kwoka kwalifikuje się jak nic do szpitala wariatów. Nie nadaje się absolutnie do sprawowania pieczy nad tak cenną nieruchomością miasteczka Ballinacroagh.

–*Si, si*, mój mąż Luigi – potwierdziła wdowa.

Przestąpiwszy próg, wskazała palcem zwirowaną ścieżkę za plecami Thomasa. U wylotu ścieżki, na przekór oceanicznym wichrom, czepiał się zbocza wielki krzew różany. Niepodobny do wzorowo strzyżonych na angielską modłę krzaków przed niektórymi domami Ballinacroagh,

kipiał wprost obfitością kwiecica w głębokim, krzykliwym odcieniu amarantu. Każdy kwiat okalały grube ciernie niczym sumienne przyzwoitki, strzegące dziewictwa silnie rozbudzonych hormonalnie pensjonarek. Estelle Delmonico zbliżyła się i nie bacząc na ciernie, pogładziła kwiaty.

– Luigi. Mój Luigi. Widzi pan tę wstążkę? – Wskazała białą tasiemkę, opasującą ciasno pień krzewu.

Thomasowi ciarki przeszły po plecach, gdy uświadomił sobie, że owa tasiemka to nie byle sznurek. Był to troczek od fartucha. Mówiąc dokładniej: od fartucha kucharskiego szefa ciastkarni. Bez wątpienia – ta kobieta oszalała.

– Tutaj sobie śpi mój Luigi. Nie, Luigi, nigdy cię nie zostawię – szepnęła Estelle. Pochyliła się nad żwirowatą ziemią, ucałowała własne palce i czule poklepała grunt pod różanym krzakiem, gdzie spoczywały rozsypane przez nią w sekrecie prochy zmarłego małżonka.

– Dobrze. Rozumiem. Miło cię tutaj widzieć, Luigi. A sklep? Czy do sklepu Luigi też wraca?

– Nie. Ten sklep zabił mojego Luigiego. On dość się już napracował. Teraz odpoczywa – westchnęła wdowa, jeszcze raz poklepując kopczyk.

– No to świetnie się składa! Niech mi pani tylko powie, ile chce za ten lokal, a zapłacę od ręki. Proszę śmiało rzucić cenę.

– O nie, przykro mi, panie McGuire. Sklep nie jest na sprzedaż. Ale mogę go panu wynająć za przystępną sumę.

– Będę szczery, pani Delmonico. Wynajem mnie nie interesuje. W grę wchodzi wyłącznie kupno. Nie woli się pani za jednym zamachem pozbyć kłopotu? Miałaby pani wtedy cały dzień na zajmowanie się tym... no... Luigim. – Z zażenowaniem wskazał głową krzak różany.

– Nie, nie. Luigi mówi mi, żebym nie sprzedawała. Muszę go słuchać. On się świetnie zna na interesach. Za nic w świecie. Ja kocham gotowanie, kocham pieczenie, kocham chleb. – Estelle odwróciła się w stronę domu. – Przepraszam, panie McGuire. Nie sprzedam. Ale dam panu na odchodnym trochę bakławy, dobrze? To według nowego przepisu. Pan pierwszy skosztuje.

Estelle zniknęła w ciemnym wnętrzu domu. Mieszkając na samotnym, kamienistym wzniesieniu, wdowa bardzo rzadko miewała gości, a jej bakławy próbowało jak dotąd tylko kilka zaskoczonych poczęstunkiem okolicznych owiec. Dlatego odwiedziny potentata barowego uznawała za istny dar opatrności.

– Proszę zobaczyć, co dla pana mam, panie McGuire. Szczęśliwy dzień dla łasuchów!

Estelle wróciła do drzwi z kolorowym talerzem, na którym piętrzyła się bakława. Nuciała improwizowaną arię z drugiego aktu *Don Giovanniego*, kiedy to tytułowy szlachcic, butny bezbożnik, wpada wprost w rozwartą paszczę piekła. Przez myśl jej nawet nie przeszło, że demoniczny refren: „Taki jest los złoczyńcy”, w połączeniu z przemożnie uwodzicielskim działaniem nasączonego wodą różaną ciasta bakławy, pchnie

miejscowego mizantropa zwirowaną ścieżką prosto w objęcia ciernistego krzaku róż.

– Ojej, panie McGuire! Niech się pan nie rusza! Bo mój Luigi pokaleczy pana kolcami! – rozkrzyczała się Estelle, pędząc na ratunek Thomasowi, który leżał krzyżem na stu i jednym ostrych różanych cierniach. Już miała podać mu rękę, w drugiej wciąż dzierżąc z nadzieją talerz bakławy, gdy ogromne chłopisko wzniosło wielką jak bochen dłoń i ryknęło:

– Nie! Tylko z daleka! Niech się pani do mnie nie zbliża z tym zaszranym świństwem!

Thomas szarpnął się i jakimś cudem wylądował na nogach. Wycofując się tyłem przez resztę ścieżki, trzymał pięści przed rozognioną twarzą niczym bokser amator, pokonany sromotnie w pierwszej rundzie.

– I lepiej będzie dla pani, jak mi pani sprzeda ten sklep! Bo jak nie, to pani pożałuje! – zagroził bez przekonania, zanim odwrócił się na pięcie i czmychnął drogą w dół.

Oniemiała Estelle Delmonico patrzyła za umykającym olbrzymem: jego szerokie plecy najeżone były zakrzywionymi kolcami, z których każdy przypominał ogon Belzebuba. I przez cały czas dźwięczał jej w uszach operowy refren: „Taki jest los złoczyńcy, taki jest los złoczyńcy”.

Od tego czasu minęło pięć lat. Thomas zaklął pod nosem i zdrową ręką rąbnął w kierownicę land rovera. Pięć zaszranych lat.

Trzeba było nastawać na Estelle Delmonico, tak jak to sobie planował, zamiast puścić wszystko płazem. Tyle że nawet on nie przewidział serii katastrof, które spadły na niego w pierwszej części nowej dekady.

Zaczął się od Kierana, rodzzonego braciszka z piekła rodem, który porzucił kierownictwo pubu McGuire'a i dał nogę z jakąś naćpaną aktoreczką. Z ostatnich wieści, jakie dotarły do Thomasa, wynikało, że para kochanków stworzyła trupę rozrywkową pod nazwą Cyrk Rodzinny McGuire'ów i objeżdża barakowozem całą prowincję, dając spektakl *Uczta wszystkich świętych*. Taki wstyd dla rodziny, jak ten Kieran mógł! A potem, oczywiście, los doświadczył Thomasa ponownie – powodzią osiemdziesiątego drugiego roku. Ulewne deszcze spłukały z Main Mall połowę interesu – regularne wielkie pranie. Karczmę Wilton powódź nieomal starła z mapy. Woda wdarła się na zaplecze kuchenne i uniosła na ulicę srebrne tace z pieczywym. Tygodniami jeszcze ludzie zdrapywali z podeszew butów kawałki pasternaku i zgniłej szynki. Doprowadzanie lokalu do porządku zostawiło Thomasowi niewiele czasu na starania o uruchomienie dyskoteki.

Cholerna przyroda ze swoim zasranym deszczem. Thomas otrząsnął gęstą czuprynę z porannej mżawki. Tylko kogo on próbuje oszukać? Prawdą jest, że się polenił, odpuścił sprawę. Cały czas żył w przekonaniu, że lokal po cukierni na niego poczeka. Do głowy mu nie przyszło, że może się tam zacząć nowe życie bez jego pozwolenia.

Jezu! Thomas jęknął głucho i znów walnął pięścią



w kierownicę. Powinien był przewidzieć, że ta stara kwoła ma lepszy powód, żeby nie sprzedawać sklepu, niż pośmiertne życzenia małżonka. Od początku planowała, że sama na nowo obejmie interes. W takim razie, powiedział sobie Thomas, niech się Estelle Delmonico szykuje na niespodziankę. Na dużą niespodziankę.

W kartoflanej głowie Thomasa McGuire'a na nowo zadudniły syntetyczne wibracje dyskotekowej muzyki. I tym razem zamierzał ich słuchać. Jeszcze jak.

## Dugh – napój jogurtowy

*2 szklanki jogurtu naturalnego*  
*3 szklanki wody mineralnej lub źródlanej*  
*3 łyżki siekanej mięty*  
*½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu*  
*1 łyżeczka soli*  
*liście mięty do przybrania*

Składniki wymieszać w dużym dzbanku. Mieszając, powoli dodawać lód. Przybrać liśćmi mięty.

Padraig Carey nigdy nie miał szczęśliwego wyczucia czasu. Gdyby wiedział, że na parkingu przed ratuszem czeka Thomas McGuire, aby wyładować na nim swój gniew, zostałyby w klubie Westport Pitch and Putt i rozegrał kolejne dziewięć dołków. Wyszedł jednak w połowie świetnej rundy, gnany poczuciem winy, że kolejny ranek pracy spędził z kijem na polu golfowym. Padraig zajechał na parking magistratu i zgasił silnik. Następnego dnia jałowej babraniny, zanim znów będzie można trochę pograć, pomyślał zniechęcony.

Cherlawy i niepospolicie owłosiony Padraig był w sytuacji nie do pozazdroszczenia, gdyż nazwisko McGuire onieśmiało go zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym. Poślubiwszy siostrę Thomasa McGuire'a, Margaret, która miała naturę Amazonki (i jako najbystrzejsza z klanu McGuire'ów sprawowała niełatwy nadzór nad bilansem ksiąg rachunkowych Thomasa), Padraig był w domu klasycznym pantoflarzem. Godził się bez szemrania z każdą decyzją żony, czy chodziło o to, kto ma kontrolować rodzinne finanse (oczywiście ona), czy o to, jak często będą sobie urządzać bara-bara w sypialni (raz na miesiąc), czy też o to, co zjeść na obiad (solony bekon z duszoną kapustą). W życiu publicznym Padraig zajmował pozornie luksusową pozycję szefa dwuosobowej rady miejskiej Ballinacroagh. Wysokie stanowisko

marszałka rady nie nakładało na niego przesadnych obowiązków: sporadyczne ustalanie proporcji między powierzchnią dróg a ziemi uprawnej i przecinanie wstęgi na ceremoniach otwarcia fabryk zagranicznych właścicieli. W rzeczywistości jednak Padraig rzadko zaznawał spokoju w swojej pracy. Jego bezczelny szwagier wtrącał się bezustannie we wszystkie sprawy codziennej administracji Ballinacroagh. Nie było prawie tygodnia, aby do radnego nie wpływała jakaś skarga od Thomasa, czy to trywialna, w kwestii wysokości żywopłotów okalających gmach ratusza, czy to niebezpiecznie poważna, jak domaganie się zamknięcia Estelle Delmonico w zakładzie psychiatrycznym Saint Mary's. Mimo to Padraig powtarzał sobie, że dopóki ma szansę prawie co rano wyrwać się na pole golfowe, zniesie wszystkie trudy związane ze stanowiskiem. Choćby to nawet miało oznaczać zgodę na każdy kaprys Thomasa McGuire'a.

Nieświadom faktu, że zwalista postać barowego potentata jest coraz bliżej, Padraig sięgnął na tylne siedzenie i odruchowo wymacał mosiężną klamrę spinającą worek golfowy.

– Padraigu Carey.

Dudniący głos Thomasa poderwał z miejsca mikrej postury radnego.

– Cześć, Tom. Ty, widzę, jak zwykle od rana na nogach – wykrztusił z trudem Padraig. Wysiadł szybko z samochodu, wyginając chudy korpus, aby zasłonić przed Thomasem worek golfowy na tylnym siedzeniu.

– Za to o tobie nie można tego powiedzieć, co? Żądam paru odpowiedzi, Padraigu Carey! To, że od lat dymasz moją siostrę, nie oznacza, że nie usadzę cię na tej zasranej dupie, zanim zdążysz dwa razy mrugnąć!

– Przepraszam, Tom. – Padraig miał wrażenie, że kurczy się pod spojrzeniem rozjuszonego byka.

– Przepraszam, Tom? Przepraszam, Tom! Masz ty czelność, Padraigu Carey! Czemu nie zostałem powiadomiony o lokalu tej starej jędzy? Czemu, jak ci się zdaje, trzymam cię na tym zasranym stanowisku, skoro mi się na nic nie przydajesz?

Gruszkowate oblicze Thomasa wykrzywiło się groteskowo. Wspięty na palce, górował nad nieszczęsnym, zahukany Padraigiem niczym potężny drapacz chmur nad gołębiami.

– Spokojnie, spokojnie, Tom. Opanuj się. O co ci chodzi? O stary lokal Delmonico, tak?

– Owszem, o lokal Delmonico, ty idyjoto! Pięć lat czekam na drobną rozbudowę, do której każdy człowiek z moją pozycją ma święte prawo. A ona mi tu teraz otwiera na nowo ten zakichany sklepik, bez słowa uprzedzenia z twojej, cholera, strony! Jeszcze trochę, a rozwalę tę budę gołymi rękami!

– Estelle Delmonico? Otwiera na nowo zakład? Niemożliwe, żeby teraz o tym myślała – w jej wieku?

– A ty, oczywiście, nic nie wiesz? Latasz tylko z kijem golfowym w dupie, kiedy ja się zarzynam, żeby jakoś upilnować to miasto! Co by się tu działo, gdyby nie ja

i mój biznes, he? – Thomas wymierzył cios w powietrze, muskając rykoszetem ramię Padraiga. Jak wściekły goryl wtarabanił się do swojego auta i opuścił boczną szybę. – Masz mi się prędko dowiedzieć, co knuje ta stara ździra. A tymczasem zapowiedz Margaret i wszystkim jej znajomym, że jak chcą dobrze żyć z Thomasem McGuire'em, to niech za chlebem powszednim chodzą dalej do Corcorana.

– Więc jesteś pewien, że ona z powrotem otwiera ciastkarnię?

– Cokolwiek to jest, lokal ma być opróżniony i zamknięty w ciągu tygodnia.

Thomas zawrócił gwałtownie land rovera i na pełnym gazie wyjechał z parkingu, pozostawiając Padraiga w stanie odrętwienia i niemocy. Cherlawy radny podparł się jedną ręką o maskę samochodu. Krew pulsowała szaleńczo w jego drobnym, owłosionym ciele.

Estelle Delmonico ostrożnie wmanewrowała swoją rozklekotaną hondę w brukowaną alejkę za kawiarnią. Korpulentna wdówka wstała tego ranka wcześniej niż zwykle.

Jęki wichru omiatającego sąsiednie zbocze Croagh Patrick wtórowały jej własnym, gdy spuszczała chrome nogi z puchowego łoża.

Mimo swej wesołości i bystrego wzroku Estelle cierpiała na dokuczliwe zwyrodnienie tkanki łącznej. Zaczęło się od okresowego kłucia w nadgarstkach i opuszkach palców, już w pierwszym roku

po jej przyjeździe z Luigim do hrabstwa Mayo, po czym z wolna, ale systematycznie, niczym wałkowane ciasto, rozprzestrzeniło się na całe ciało, spowijając je otoczką nieznośnego bólu. Lata asystowania Luigiemu w wyrabianiu i formowaniu niezliczonych bochenków chleba rodzynekowego wzmogły dolegliwość, tak że już na rok przed śmiercią męża artretyzm przykuł Estelle do stołka za ladą i Luigi musiał sam uwijać się między klientami a piekarnikami.

Oczywiście, Estelle próbowała zażywać przepisane dawki sterydów, stwierdziła jednak, że nie dają one żadnych efektów poza bujnym rozrostem włosów pod pachami. Udała się nawet do chińskiego akupunkturzysty, który w apogeum gloryfikujących wolność lat siedemdziesiątych otworzył gabinet na Henry Street w Dublinie. Jakkolwiek kondycja Chińczyka wywarła na niej wielkie wrażenie – Li Fung Tao z niewzruszonym spokojem ćwiczył poranne tai chi, obojętny na nagabywania domokrażnych sprzedawców owoców i warzyw – jego igły sprawiły jedynie, że poczuła się jak kawałek anchois, uwięziony w marynacie z oregano i płatków chili.

Estelle stosowała nawet samodzielnie sporządzany wyciąg z rozmarynu i lawendy, zrywanych w małym ziołowym ogródku za domem. Rozgotowywała liście aż do otrzymania czystych ciemnych olejków, które mieszała z obfitą dawką umbryjskiej oliwy z oliwek, przysyłanej z Londynu przez siostrzenicę Glorię. Od oliwy jej

śródziemnomorska skóra jędrniała jak na świeżej, ciemnej jagodzie, co stanowiło przedmiot zawiści miejscowych pań, a Dervlę Quigley skłoniło do rozpuszczenia pogłoski, że Estelle Delmonico na pewno zawarła pakt z siłami nadprzyrodzonymi. Estelle nie dbała o podejrzliwe spojrzenia – przeciwnie: cieszyła się szczerością pomówień, żywiąc nadzieję, że jest w nich choć odrobina prawdy. Niestety, choć aromatyczny i nawilżający, ekstrakt z rozmarynu i lawendy nie miał w sobie dość magii, aby położyć kres artretyzmowi.

Boleści jak zwykle dawały się we znaki włoskiej wdowie również w tym dniu powitania wiosny, lecz ani myślała rezygnować z ich powodu z ubijania swego słynnego *osso buco* na poczęstunek dla uroczych nowych lokatorek. Przyrzędziła nawet gremolatę według przepisu matki, przypiekając zdrewniałe orzeszki pinii na kolor ciemnobrązowy. Ten cielecy majstersztyk był ulubionym daniem Luigiego, a Estelle zachowywała go na specjalne okazje, gdy szczególnie doskwierała jej tęsknota za kwitającym uroczynem słonecznej ojczyzny.

– Halo! – Estelle prawą pięścią zastukała w tylne drzwi starej ciastkarni, zerkając do środka przez ich niebiesko-żółto-zieloną witrażową szybkę. Od strony kuchni jej okrągła twarz wyglądała jak oblicze średniowiecznego weneckiego arlekina, który nagle ocknął się do życia.

Bahar, siedząca najbliżej drzwi, aż podskoczyła na to nieoczekiwane pukanie. Jej wielkie ciemne oczy ze strachu



omal nie wyskoczyły z orbit, a dłoń zacisnęła się na trzonku ostrego noża, którym właśnie coś kroїła. Dawno minęły czasy, gdy pukanie do drzwi nie budziło trzepotu lęku w wąskiej, delikatnej piersi Bahar i nie kazało jej szukać ukrycia. Musiało upłynąć dziesięć sekund, odliczanych uderzeniami serca, zanim dziewczyna uprzytomniła sobie, że stukanie brzmi niegroźnie – przedtem jednak jej twarz zdążyła poszarzeć jak popiół albo wystygła owsianka.

Najciemniejsza z sióstr, Bahar, uważała brązowy odcień swojej skóry za jeszcze jeden dowód na to, że jest najmniej atrakcyjną z pańien Aminpur. Urodzona jako druga, tkwiła nieuchronnie między intuicyjną empatią Mardżan a wdzięcznym optymizmem Lejli. I, jak u wielu dzieci, które czują się otoczone niezwykłym rodzeństwem, nękająca potrzeba wyróżnienia się, wyjścia na pierwszy plan, przerodziła się u niej w chroniczną, jakkolwiek podświadomą chorobę. Istotą tej choroby jest dramatyzm, toteż środkowi członkowie rodzeństwa oscylują często między skrajnymi emocjami, przerzucając się w ciągu paru minut z porywczego gniewu w skrajny smutek, a ze smutku w euforyczną wesołość.

Mardżan mierzyła nieprzewidywalny temperament Bahar wedle starożytnych i pieczołowicie strzeżonych praktyk równowagi gastronomicznej, które światłu przeciwstawiały ciemność, dobru – zło, a gorącu – zimno. Pewne osobowości gorące, czyli *garm*, mają skłonność do działań żywiołowych, tryskają energią i zagrzewają do

akcji otoczenie. Ten nadmiar energii bywa często niszczycielski, więc aby zapobiec wyczerpaniu, spożywać należy pokarmy zimne, czyli *sard*, takie jak ryby słodkowodne, jogurt, kolendrę, arbuzy i soczewicę. Większości przypraw i mięsa powinno się unikać, gdyż potęgują one tylko ogień wewnętrzny. (Herbata, mimo swej wysokiej temperatury, jest elementem w znacznym stopniu neutralizującym). I na odwrót: osobom cierpiącym na zbyt chłodny temperament, skłonny do gwałtownych napadów melancholii i ogólnego braku zainteresowania przyszłością, zaleca się pokarmy gorące, czyli *garm*, a więc na przykład cielęcinę, fasolę mung, goździki i figi, które pobudzają ducha i ambicje.

Łatwo byłoby zdiagnozować Bahar jako typ *garm* (z uwagi na jej silne lęki i gorący temperament), gdyby nie to, że cierpiała również na gwałtowne obniżenia nastroju, kończące się często migrenami. Czy to w okresach *garm*, czy *sard*, Bahar mogła zawsze liczyć na to, że starsza siostra doprowadzi ją z powrotem do stanu względnego spokoju. Mardżan od dawna obserwowała pilnie Bahar i wiedziała doskonale, kiedy nakarmić ją gotowaną rybą z czosnkiem i sewilskimi pomarańczami, uśmierzając napady gorąca, a kiedy podać raczej solidny jabłkowy *choresz*, gorący mus z jabłek, kurczaka i łuskany groch, aby wyciągnąć siostrę z psychicznego dołka.

– Mardżan? Kto to jest? – Bahar, wciąż z nożem w garści, zerwała się od okrągłego stolika, przy którym siekała nać mięty.

– Nie bój się. To tylko pani Delmonico – uspokoiła ją Mardżan. – Jadłaś coś od rana?

O ile Mardżan nie zmusiła siostry do zjedzenia choćby kęsa, Bahar wcale o siebie nie dbała, często w ogóle pomijając posiłki.

– Nie. Za dużo miałam roboty – odparła znużonym głosem Bahar, rozluźniając napiętą szczękę. Odłożyła nóż na stół i poszła otworzyć drzwi.

Natychmiast powitał ją przyjazny uśmiech i smakowite zapachy cytrynowego tymianku i sosu ze świeżych pomidorów.

– Dzień dobry, pani Delmonico. Prosimy do środka. Pomogę pani.

Bahar przechyliła się przez próg i dźwignęła czerwoną emaliowaną brytfannę, którą Estelle balansowała na lewym ramieniu jak przyciężkim niemowlęciem.

Mardżan, przerywając mieszanie zupy w garnku na kuchni, ujęła Estelle pod obolałe ramię i troskliwie podprowadziła do krzesła.

– Zmęczyła się pani bardzo, widać po twarzy – powiedziała. – Serdecznie zapraszamy.

– Przyniosłam wam moje popisowe danie. *Osso buco*, do tego *gremolata* z piniowych orzeszków. Potrawa na szczęście. W Neapolu jadamy ją tylko przy specjalnych okazjach. Więc ugotowałam ją na wasz Nowy Rok i urodziny.

Estelle usiadła przy okrągłym stoliku, posapując z ulgą.

– Nie trzeba się było tak trudzić – powiedziała Mardżan.

– Przepraszam, pani Delmonico. Napije się pani herbaty? – Bahar już biegła do głównego pomieszczenia po filiżankę wrzątku z bulgoczącego złotego samowara. Przepracowawszy rok jako pielęgniarka w domu starców w Lewisham, natychmiast rozpoznała symptomy artretyzmu.

Estelle zakasłała i wyprostowała zgięty kręgosłup.

– Dziękuję ci, złotko – rzekła, krzywiąc się z bólu. – Ale mówcie na mnie Estelle. Pani Delmonico to była moja teściowa, a powiem wam, że niełatwo było ją lubić. Wierzcie mi, niełatwo.

Bahar powróciła z dymiącą filiżanką bergamotowej herbaty, którą postawiła przed starszą panią.

– Dziękuję. Uch... ta irlandzka pogoda mnie zabije! – Estelle wzniosła obie ręce z całą włoską teatralnością, na jaką było ją stać. Pochylona nad parującą filiżanką przez chwilę wdychała gorzkawą woń pomarańczowych olejków eterycznych kwiatu bergamoty. – Mmm, całkiem jak w Neapolu!

– Tak, ale proszę się napić. I musi pani skosztować mojej zupy z soczewicy. Rozgrzeje panią.

Mardżan uśmiechnęła się do sympatycznej wdowy, napełniając miseczkę wonną zupą i ustawiając obok filiżanki.

Połączenie kminku, kurkumy i ziaren czarnuszki przywołało zdrowy rumieniec na twarz Estelle Delmonico.

Przenosząc ją o pięćdziesiąt lat wstecz, ta woń przypomniła wdowie pierwszą noc małżeńskiej sielanki w Maroku. Tam, pod magicznym sierpem półksiężyca, wśród upojnej woni przypraw, bijącej w otwarte okno hotelu z ulokowanego w dole bazaru, ogorzałe ciała dwudziestoletnich nowożeńców, Luigiego i Estelle, zmagaly się w miłosnych zapasach z całym wigorem swej południowej krwi.

– Mmm, wspaniałe, wspaniałe. Ileż tu jedzenia, mój Boże! – zauważyła nagle Estelle, otrząsając się z romantycznych marzeń.

Ledwo wybiła dziewiąta, a kuchnia już pękała w szwach: cały blat i każdy wolny skrawek miejsca zajmowały smakołyki Mardzan. Warzywne marynaty (*torszi* z mango, bakłażana i tradycyjnej mieszanki siedmiu przypraw) wypełniały po brzegi przezroczyste pięciogalonowe pojemniki, ustawione na kuchennej wysepce. W wielkich niebieskich misach znalazły się sałatki (anżelika, soczewica, pomidory, ogórek, mięta i smażony kurczak po persku), *dolme* i dipy (serowo-orzechowy, jogurtowo-ogórkowy, *baba ghanusz* oraz pikantny *hummus*), które razem z serami (feta, stilton i cheddar) wstawione zostały pod przykryciem do obszernej, przeszklonej lodówki. Naprzeciwko lodówki stał wielki ceglany piec chlebowy, w którego wzdętym brzuchu piekł się ostatni płąt chleba *sangak*, długości co najmniej trzech stóp, wyrastający złocistymi grzebieniami, posypanymi ziarnami maku i czarnuszki. Inne chleby

(cienki jak papier *lawasz*, chrupiący *barbari*, pajdy *sangak* i zwyczajnego białego krojonego chleba) leżały już troskliwie poprzykrywane gazą dla zachowania świeżości. A na kuchni bulgotał leniwie, pod czułym nadzorem Mardżan, garnuszek białej zupy cebulowej (nie mylić z odmianą francuską, której brak wspaniałych dodatków w postaci suszonych liści kozieradki i pasty z granatów) obok ostatniego garnka zupy z czerwonej soczewicy i sporego rondla *abguszt*. Ten ostatni przysmak, z jagnięciny, grochu i ziemniaków, zawsze przypominał Mardżan irańskie wieczory wczesną wiosną, kiedy kwitnące wiśnie drżały jeszcze od ostatnich mrozów, a z szumiących samowarów płynęła mocna, czarna herbata *darjeeling*, splukująca z ust posmak szafranu i suszonej limony.

– Uważa pani, że to dużo? Więc proszę zajrzeć do sali. Pracujemy od północy – powiedziała Mardżan, uśmiechając się na myśl o tym, że najcięższą część dnia mają już prawie za sobą. Wszystko szło zgodnie z planem i nabierało kształtu w tym lokalu o zabawnej nazwie.

Bahar dalej siekała miętę na okrągłym stole, od czasu do czasu zerkając na Estelle, która wysiorbała zupę do ostatka i oparła się wygodnie, zadowolona i odświeżona.

– Ach, przepyszne. Naprawdę odżyłam. Więc dziś są twoje urodziny, tak? A które?

– Dwudzieste czwarte.

W odpowiedzi na wstydlivy uśmiech Bahar wdowa zademonstrowała pełny garnitur dużych zębów,

połyskujących licznymi złotymi plombami.

– Ach, jaka młoda! – Estelle znów wzniosła ręce w górę. – A co ty tu wyrabiasz z tą miętą?

– To dla Lejli. Na jej *dugh*.

Nóż w dłoni Bahar wprawnie szatkował miętowe liście, siejąc wkoło szmaragdowe błyski. Przez lata asystowania Mardżan w kuchni Bahar stała się specjalistką od obierania i krajania. Gdyby w Londynie nie poszła pracować do domu opieki, zostałyby pewnie znakomitą zastępczynią szefa kuchni – mogłaby nawet zatrudnić się z siostrą w którejś z modnych angielskich restauracji. Tyle że to oznaczało spędzanie wielu godzin przy gorącej kuchni, nad garami gapiącymi się na nią z rozdziawioną paszczą – kipiącymi tyglami przeszłości, która grozi przeistoczeniem się w teraźniejszość. Nie, Bahar była pewna, że się na to nie zdobędzie. Nawet teraz podchodziła do pieca tylko wtedy, gdy musiała. Kiedy, na przykład, Mardżan nie starczało czasu i rąk do mieszania wszystkiego, co się gotowało.

– Duugg? – Estelle zaakcentowała gardłową końcówkę słowa, aż załaskotało ją w krtani. – A co to takiego?

– *Dugh* to napój jogurtowo-miętowy. Zwykle pijamy go do *czelou kabab*, czyli ryżu z mieszanką mięs z rusztu. Ale teraz Lejla od godziny ma czkawkę i nie może się jej pozbyć. *Dugh* zaraz na to pomoże – wyjaśniła Mardżan, sięgając do lodówki po jogurt.

Estelle obserwowała, jak Mardżan łączy jogurt z miętą, solą, pieprzem i wodą w dużym dzbanku,

mieszając energicznie, aż całość nabrała jednolitej barwy rozbielonej mięty. Na koniec dodała trochę kruszonego lodu i dorzuciła świeżej mięty, która miała przypomnieć Lejli o uspokajających właściwościach zielonych liści tej rośliny.

Lejlą, co prawda, nadal wstrząsała konwulsyjna czkawka, lecz nie cierpiała bynajmniej z tego powodu. Leżała na górze na wspólnym materacu trzech sióstr, rozpostarta na wznak niczym rozgwiezda, a w jej odurzonym umyśle kłębiły się monologi zakochanych bohaterek Szekspirowskich. Ciarki przechodziły ją całą na wspomnienie szafirowych oczu Malachy'ego, a w podbrzuszu łaskotał gorący węzeł, przesyłając fale rozkoszy aż po czubki palców stóp.

A więc tak wygląda uczucie miłości, pomyślała Lejla, jak ekstatyczny krzyk owocu granatu, gdy wbity w niego nóż cesarskim cięciem wywołuje narodziny soczystych ziaren z głębokiego łona. Jak radosny śmiech oliwy, kiedy burzy spokój rozwodnionej mąki, gorącym tłuszczem podporządkowując ciasto własnej woli i rodząc jeszcze większą słodycz – cukrowe frytki *zulbia*, które Lejla uwielbiała. Zakochać się to coś niesamowitego. Czemu nikt jej nigdy tego nie powiedział?

Lejla znów czknęła. Te szafirowe oczy. Może zobaczy je znów jutro, w nowej szkole. Po raz pierwszy nie drżała na myśl o konfrontacji z klasą pełną wlepionych w nią oczu.

– Lejla! Twój *dugh* już gotowy. Zejdź na dół! Pani



Delmonico przyszła z wizytą!

– Już schodzę! – odkrzyknęła Lejla. Słyszając zmęczenie w głosie Mardżan, poczuła się winna, że tak mało pomogła siostronom przy gotowaniu.

Na dole Estelle Delmonico popijała drugą filiżankę herbaty z bergamoty.

– Moja Gloria mówiła mi, że uciekłyście, dziewczęta, przed rewolucją. To prawda?

Mardżan przerwała mieszanie zupy i zerknęła ukradkiem na Bahar. Poza cieniem, który przemknął przez melancholijne oczy siostry, nie dostrzegła jednak u niej żadnych oznak zdenerwowania na dźwięk słowa „rewolucja”.

– Prawdę mówiąc, wyjechałyśmy z Iranu nieco wcześniej. Tuż przed... – odpowiedziała ostrożnie Mardżan, nie przestając obserwować Bahar.

Przed oczami mignęło jej wspomnienie zasnutych mgłą wież kontrolnych lotniska Heathrow. Pierwszy lutego tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dziewięć – ta sama data, jak się później okazało, wyznaczyła objęcie władzy w Teheranie przez skazanego wcześniej na banicję ajatollaha, który miał słabość do poezji mistycznej. Zapędzone do przezroczystych boksów, w których oficerowie imigracyjni lotniska prowadzili przesłuchania, dziewczęta stały kompletnie nieprzygotowane na lawinę oskarżycielskich pytań i zenującą rewizję kieszeni oraz bielizny. Mardżan przypomniała sobie teraz, jak małej Lejli kazano wystąpić naprzód i ściągnąć obszarpane

majtki, demaskując ukryty pod gumką zwitek wymienionych przed rewolucją funtów szterlingów – zabezpieczenie finansowe, ulokowane w niedotykalnym sanktuarium.

Mardżan wiedziała, że sympatyczna wdowa czeka niecierpliwie na historię ich ucieczki, uznała jednak, że nie jest w stanie zdać takiej relacji. Jeszcze nie. Przynajmniej nie w obecności nadwrażliwej siostry.

– Miałyśmy szczęście, że dali nam brytyjskie wizy, i drugie szczęście, że znalazłyśmy dobrą pracę przy tak kulejącej gospodarce... Lejla miała zaledwie siedem lat, więc niewiele pamięta.

Pomimo całej swojej egzaltacji Estelle miała świetne wyczucie granic i postanowiła zmienić temat.

– Tak, siedem lat to jeszcze malutka. A gdzie się podziewa ta ślicznotka? Nie jest chyba chora?

– Nie, to po prostu typowa nastolatka. Lejla, chodź no tutaj! – wrzasnęła Mardżan w stronę schodów, nieświadoma, że Lejla od dłuższej chwili stoi na podeście. Niewidoczna z kuchni, słyszała całą rozmowę. Nie było prawdą to, co powiedziała Mardżan. Lejla pamiętała wszystko.

Pamiętała syreny. Ryczące tuby na dachach wojskowych dżipów, które nadjeżdżały z nienacką, sygnalizując godzinę policyjną, i krążyły po pastelowych willowych ulicach, obsadzonych nagietkami, gdzie domowe spiżarnie pełne były dughu i coca-coli. A zaraz potem nastał łopot. Zabawne, że zapamiętała najpierw

dźwięk, a dopiero potem jego źródło: żałobny namiot, osłaniający kobiecą postać, noszony coraz częściej nawet na zamożniejszych północnych przedmieściach. Czador, czador. Trzy jardy kwadratowe szorstkiej wełny, strategicznie udrapowane, spięte kłamrą szczękających zębów i nieodślaniające nic powyżej mrugających oczu ani poniżej usmarkanego nosa. Czador, czador.

Plakaty z tymi mnożącymi się szmacianymi krukami pojawiały się z dnia na dzień coraz liczniej na murach uniwersytetu i w sklepowych witrynach, opatrzone hasłami z cienko zawoalowaną pogrózką. Bahar, która w chwili wybuchu rewolucji miała szesnaście lat i mocno uległa nowej ideologii, stosowała te same pogróżki, aby skłonić Mardżan i Lejlę do noszenia długich zasłon. Wracała do domu rozgniona z emocji po kolejnych zamieszkach studenckich na ulicach centrum Teheranu, przynosząc opowieści o podziurawionych kulami sztandarach i marsowym ajatollahu, który tłumy czadorów wprowadzał w stan delirium.

Skandowania, głośne żądania śmierci, słyhać było wszędzie. „Śmierć zdrajcy szachowi! Śmierć wszelkiej zarazie z bałamutnego Zachodu!” Koniec z Ameryką, która dała Lejli kreskówki z Tomem i Jerrym, a także ulubione fistaszkowe drażetki M&M. To wystarczyło, aby najmłodsza z sióstr popłakiwała po nocach w łóżku (rzecz jasna, w sekrecie).

Bahar miała wtedy szesnaście lat, czyli niewiele więcej niż Lejla obecnie. Lejla potrząsnęła głową, aby

rozwiąć ponure myśli. Może Mardżan miała rację, że zmieniła temat, że chciała wszystko to odsunąć w niepamięć. Lejla znów czknęła głośno, co kazało jej opuścić kryjówkę. Zeszła ze schodów i uśmiechnęła się promiennie.

– No, nareszcie! Twój *dugh* stoi tam na blacie. Pij, póki świeży. I przywitaj się z panią Delmonico – burknęła Mardżan, nie panując już nad nerwami.

– Estelle. Mówcie mi Estelle.

## Abguszt – gulasz jagnięcy

*2 kg nóżek jagnięcych  
5 dużych posiekanych cebul  
1 łyżeczka kurkumy  
10 szklanek wody  
1 szklanka łuskanego grochu  
1 łyżeczka papryki  
4 łyżeczki soli  
1 łyżeczka mielonego czarnego pieprzu  
5 dużych ziemniaków, obranych i pokrojonych w kostkę  
7 pomidorów pokrojonych w plastry  
2 łyżki stołowe pasty pomidorowej  
1 suszona limona  
2 nitki szafranu rozpuszczonego w 7 łyżeczkach gorącej wody  
2 łyżeczki advie (można zastąpić tą samą ilością mieszanki  
tłuczonych płatków różanych, kardamonu, cynamonu i kminku)*

W wysokim garnku zrumienić mięso, 1 cebulę i kurkumę. Dodać wodę, groch, paprykę i kości usunięte z nóżek jagnięcych. Gotować pod przykryciem na wolnym ogniu przez dwie godziny. Dodać resztę składników. Dusić pod przykryciem przez 40 minut. Usunąć kości. Jarzyny i mięso wyjąć z wywaru, utłuc na purée w dużej misie. Purée i wywar podawać w oddzielnych naczyniach.

Może wszystkiemu winien był Thomas McGuire. Nie ufając w to, że Pdraig Craig skutecznie rozgłosi jego orędzie nienawiści, pierwszy szynkarz Ballinacroagh niezwłocznie po opuszczeniu parkingu przed magistratem rozpętał kampanię w piwiarni McGuire'a. Z wysokości swego ulubionego stołka na końcu dębowego baru wygłosił zręczną filipikę na temat groźby obcych zapachów, godną wytrawnego polityka z Forum Romanum.

Może miała w tym swój udział również Dervla Quigley, która zjadliwym szeptem rozpuściła wieść na obie strony Main Mall, tak że w krótkim czasie wszyscy mieszkańcy Ballinacroagh wiedzieli, czego mają unikać. „Parszywe obyczaje druciarzy to jeszcze nic – szeptała ze zgrozą każdemu, kto przystanął pod jej oknem. – Musimy się z całych sił bronić przed tymi zagranicznymi hipiskami”.

A może sprawił to po prostu nieprzewidziany kaprys fortuny, bąbel na kciuku Bahar i uporczywe atlantyckie deszcze – oznaki rychłego nieszczęścia.

Kogokolwiek lub cokolwiek obarczyć winą, otwarcie Café Babilon pierwszego dnia wiosny dotkliwie zawiodło oczekiwania Mardzan. Ku jej niewymownemu rozczarowaniu przez cały poniedziałek nie wstąpił do lokalu ani jeden klient.

– Może trzeba wywiesić wielki szyld „Otwarte”? Jak

myślicie? – poradziła się Mardżan sióstr we wtorek rano. Kompletnie zbita z tropu, stała przed witryną lokalu z założonymi rękami i chmurnym czołem.

– Szylid? Ocknij się, Mardżan. Wczoraj przez cały dzień okno było odsłonięte, wszystkie światła zapalone, a nikt nawet nie spojrział na wystawę. Szylid! – prychnęła Bahar, kręcąc głową.

– Nic nie rozumiem. Ani jednego klienta! Może to przez ten deszcz. – Mardżan przycisnęła czoło do chłodnej szyby.

Ulewa rozpętała się w poniedziałek około południa; gnany wichrem, chłozzczący deszcz, od którego szczękały zawiasy i drżały szyby w oknach, spłukał z Main Mall wszystkich przechodniów. Większość sklepów pozamykano niebawem na resztę dnia. Ich zmęczeni właściciele, wzdychając ciężko, walczyli z wichrem, by zabezpieczyć zewnętrzne okiennice. W porywach wiatru, który wywracał na lewą stronę parasole, śpieszyli do domów na piechotę, lub, co szczęśliwsi, w przemarzniętych, podmytych wodą samochodach. Nawet Dervla Quigley, dla której codzienna mżawka nie stanowiła nigdy powodu do opuszczenia okna, zrejterowała podczas apogeum burzy za ażurowe firany.

– Nie wygląda na to, żeby deszcz miał wkrótce ustać. Coś podobnego! A ja myślałam, że nie ma na świecie bardziej mokrego miejsca niż Londyn – skomentowała Bahar, wyglądając na zewnątrz. Jezdnią rwał potok nieapetycznej brei, niosącej okruchy szkła, brykiety torfu,

niedopałki i słone łyżo łowianego nieba, które ani myślało zaniechać swojej wielkiej czystki.

– Założę się, że dzisiaj przyjdzie co najmniej pięćdziesiąt osób. Prawda, Mardżan? – Lejla podniosła wzrok znad śniadania, złożonego z chleba *lawasz* i fety. Już prawie spóźniła się na swój pierwszy dzień szkoły, więc jadła w największym pośpiechu.

– Oczywiście, *dżun-e man*. Niedługo zbiegnie się tu całe miasteczko – odpowiedziała Mardżan, siląc się na bohaterski ton.

– Dobrze, że namówiłaś wczoraj panią Delmonico, żeby wzięła trochę jedzenia do domu. Same nigdy nie dałybyśmy rady tym garom zupy i abgusztu, które nagotowałaś – skrzywiła się Bahar.

– No dobrze, życcie mi szczęścia! – Lejla zerwała się od niedojedzonego śniadania. Wystrojona była w nowiutki mundurek: bladoniebieski sweter, śnieżnobiałą, wykrochmaloną bluzkę i brązową tweedową spódniczkę. Łapiąc w biegu parasol, zarzuciła tornister na plecy, uśmiechnęła się promiennie do sióstr i z rozmachem otworzyła drzwi kawiarni.

Gęsta mgła, która zwykle zalegała przełęcz Croagh Patrick, zstąpiła na miasteczko, wciskając się podstępnie we wszystkie szczeliny i zaułki. Lejla chętnie dołączyła na spowitej deszczem Main Mall do korowodu uczniów, brnących dzielnie przez zimny deszcz i mgłę do szkoły średniej Świętego Józefa. Odwróciła się na chwilę i pomachała siostrze, zanim zniknęła za ciężką zasłoną



mgły. Bahar, zaniepokojona o los Lejli, pomachała jej nerwowo w odpowiedzi, za to Mardżan patrzyła z radością na młodszą siostrę, widząc, jak tryska energią. Po dekadzie regularnie transmitowanych przez telewizję porwań samolotów i ataków terrorystycznych, których sprawcami byli zamaskowani przybysze z Bliskiego Wschodu, we wszystkich kolejnych nowych szkołach szybko wytwarzał się wokół Lejli klimat nagonki: epitety w rodzaju „terrorystka” i „porywaczka” były w czasie przerw na porządku dziennym. Najmłodsza z sióstr Aminpur nie spała zwykle ze strachu przez całą noc, poprzedzając pierwsze pójście do nowej szkoły. Tym razem jednak zdumiała starsze siostry, zrywając się wcześniej rano z błyskiem w oczach, aby samodzielnie przygotować sobie lunch (bazylia i pomidory z dipem jogurtowo-ogórkowym, zawinięte w *lawasz*) i odprasować mundurek. W jej gestach nie było nerwowości, a na ślicznej buzi ani śladu lęku, gdy niemal w podskokach wybiegała na zalaną deszczem Main Mall.

Nieoczekiwana radość Lejli to dobry znak, uznała Mardżan. Przyda się każda dawka optymizmu, zwłaszcza po nieudanym wczorajszym otwarciu.

Wybawca i pierwszy klient zjawił się jeszcze tego samego wtorkowego popołudnia w wesołej postaci ojca Fergala Mahoneya.

Ojciec Mahoney był właśnie w drodze do słabo oświetlonego saloniku Marie Brennan i jej siostry Dervli Quigley, na pierwsze spotkanie Komitetu Obchodów Dnia

Tańca Świętego Patryka 1980. Od trzydziestu dziewięciu lat poczciwy ojczulek pełnił funkcję koordynatora tańca wieńczącego roczną pielgrzymkę na szczyt Croagh Patrick. Każdego lata korowód pielgrzymów piał się na kamieniste zbocza góry – niektórzy boso – w ramach pokuty za to, że w pozostałe dni roku zbaczali na grzeszne manowce. Dla uczczenia tego aktu skruchy Ballinacroagh świętowało wspinaczkę w pierwszą niedzielę lipca, w dniu świętego Patryka, rozbijając prowizoryczny płócienny namiot, obwieszony japońskimi lampionami, i obnosząc wokoło naturalnych rozmiarów plakatowe wizerunki dość skwaszonego patrona. Składane stoły uginały się pod ciężarem najświeższego piwa z piwnic Thomasa McGuire'a, a kuchnia jego Karczmy Wilton dostarczała dość bekonu z kapustą, aby całe miasteczko przyprawić o zgaę – oczywiście, za opłatą trzech funtów.

Jako koordynator tańca ojciec Mahoney miał po uszy roboty: nie tylko odpowiadał za znalezienie kapeli (zawsze świetnej, z wyjątkiem tego niefortunnego roku, gdy grupka trzech zakonnic z Dublina zaszokowała tłum, intonując *a capella* 99 czerwonych balonów i *Relaks*), ale sprawował też rolę mistrza ceremonii. Była to wymarzona rola dla ekstrawertycznego księżulka, który swoje msze i homilie często okraszał humorem. Jako mistrz ceremonii ojciec Mahoney z rozkoszą sypał dowcipami przez dobre pół godziny, przynajmniej raz do roku nieskrępowany obowiązkiem religijnym.

Zajęty obmyśleniem nowych kalamburów krotocwilny

ojczulek nie spostrzegł nawet gościnnie oświetlonej Café Babilon, póki nie zatrzymał się tuż przed jej rozjarzonymi witrynami. Przygotowany na zwykły komitetowy poczęstunek, złożony z popołudniowej herbatki, kruchych dietetycznych ciasteczek i porcji plotek, stanął jak wryty, porażony smakowitym aromatem jagnięcego abgusztu. W oszołomieniu, z otwartymi ustami zagapił się na ciepły rumieniec ścian lokalu, nie bacząc na zimne krople deszczu, siekące jego pyzate oblicze i wsiąkające w księżowski płaszcz.

Mardżan weszła akurat z zaplecza do głównej sali z tacą umytych filiżanek, gdy dostrzegła za oknem zgłodniałą minę ojca Mahoneya.

– Witam! Proszę do środka, na lunch! – zawołała z entuzjazmem, otwierając na oścież drzwi lokalu. Czy księżom wolno jadać poza domem? – Mardżan nie miała co do tego pewności. Ale nie było czasu na wahania.

– Lunch? Ach, więc to jest ta sprawka Estelle Delmonico. Słyszałem co nieco od pań po mszy świętej. Czy pani jest może krewną pani Delmonico? – Odurzony z lekka wonią szafranu, która dopadła go, ledwie Mardżan otworzyła drzwi, ojciec Mahoney zapomniał się przedstawić, wygłaszając tradycyjną formułkę, ubarwioną żarcikiem o służbowej obroży koloratki.

– Nie. Poznałyśmy się właściwie tydzień temu. Jestem Mardżan Aminpur. Wraz z siostrami wynajmuję ten lokal od pani... od Estelle. – Wskazała szyld nad wejściem i uśmiechnęła się. Szyld był prostą, kwadratową planszą

z drewna. Bahar pomalowała ją resztką farby ściennej i wypisała na czerwono, ozdobną kursywą, nazwę kawiarni – z jednej strony po angielsku, a z drugiej w języku perskim.

– No tak. Café Babilon. Bardzo sprytne. Wiszące ogrody Babilonu. Miejsce narodzin Nabuchodonozora Drugiego i wszystkiego, co ten władca stworzył.

– Niedaleko naszych ojczystych stron.

– Doprawdy? A wolno spytać, co to za strony?

– Iran. Wyjechałyśmy stamtąd już siedem lat temu. Do Londynu.

– Londyn. Wspaniałe miasto. Mnóstwo fantastycznych teatrów na West Endzie. Chociaż przyznam, że nie przepadam za angielskim poczuciem humoru. Monty Python i hece ze Świętym Graalem to nie dla mnie. Zdecydowanie wolę dowcip po amerykańsku. Richard Pryor i Bill Cosby są fantastyczni.

– Tak, zapewne – odparła ze śmiechem Mardżan, zaskoczona, że ksiądz może mieć poczucie humoru. Ojciec Mahoney przypominał jej dojrzały owoc pigwy: blada skórka – cierpki smak. Coś niespodziewanego.

– Ojciec Mahoney – przedstawił się gość. – Będziecie podlegać mojej parafii. Sięga do końca Mall.

– Ale my nie jesteśmy katoliczkami.

– Racja, racja. Ja was nie zdradzę, póki same się nie zdradzicie. – Roześmiał się, mrugając szparkami niebieskich oczek w fałdach tłuszczu i zwiotczalej skóry. – Jak widać, lubię się podroczyć. I tak o mnie usłyszycie,

wcześniej niż później, obawiam się. Mmm... jaki fantastyczny zapach. Co to takiego? – Jego czujne, okrągłe nozdrza, zdawały się żyć własnym życiem.

– Nazywa się *abguszt*. To gulasz z jagnięciny i ziemniaków. Na pewno nie może ksiądz wejść, choćby na filiżankę herbaty? Będzie ksiądz pierwszym klientem.

Ojciec Mahoney zerknął na zegarek: jeszcze kwadrans, zanim Dervla Quigley zacznie wydzwaniać po niego na plebanię. Zresztą chodzi tylko o filiżankę herbaty. Ileż może potrwać jej wypicie?

– Pierwszym klientem, powiada pani? No to założę się, że nie ostatnim! Jak sięgam pamięcią, nie mieliśmy jeszcze w Ballinacroagh kawiarni – wasza jest pierwsza. Słowo daję, Karczma Wilton do pięć wam nie dorasta. Nic tam nie pachnie tak, jak ten gulasz z jagnięciny i ziemniaków – trajkotał, wchodząc do środka. – Hm, Iran, powiada pani? A zna pani ten dowcip o księdzu, rabinie i mulle?

– Za kogo ona się właściwie uważa? To podobno jakieś Hinduski, Pakistanki czy coś takiego – utyskiwała Dervla Quigley. Wścibska plotkarka tkwiła na swoim posterunku w oknie sypialni i śledziła z przeciwka spotkanie ojca Mahoneya z Mardżan.

– Zdaje się, że Iranki. Mówił mi to przed chwilą Danny Corcoran. – Mary Brennan przechyliła się ponad ramieniem siostry i wytrzeszczyła oczy. – O, ta, tam, przyszła na targ szukać estragonu. Słyszałaś coś takiego? Estragonu! Co to może być?

Obie leciwe niewiasty patrzyły, jak ojciec Mahoney zdejmuje płaszcz i z miną człowieka opętanego siada przy jednym ze stolików blisko okna.

– Skądkolwiek się wzięły, to nie są osoby cywilizowane. Ciekawe, jak się teraz czuje ojciec Mahoney, siedząc tam jak jakiś rumuński żebrak, i to tuż przed podwieczorkiem? Wie przecież doskonale, że na niego czekamy. Niech się spóźni chociaż minutę – będę pilnować, na moim zegarku jest za siedem trzecia – to już ja mu wygarnę do słuchu!

– To jest kawiarnia! Café Babilon! Tak ma napisane na szyldzie!

– Sama widzę, Marie – warknęła Dervla na młodszą siostrę. – Babilon! Grzeszna sprawa.

– Było o tym coś w Biblii, jeśli dobrze pamiętam – mruknęła Marie, urażona złośliwym tonem Dervli.

– O Sodomie i Gomorze też było. Ha! Widziałaś go, jak się rozsiadł! Oj, niech sobie lepiej ojciec Mahoney wymyśli dobre usprawiedliwienie. Czy on tam coś je? Marie?!

– Na to wygląda – bąknęła Marie, wymykając się boczkiem z pokoju. Dervla zawsze umiała dopiec jej do żywego. Po latach zaspokajania wszystkich potrzeb zgorzkniałej siostry – czy chodziło o pomoc w siadaniu na sedesie, czy we wkładaniu czarnej plisowanej spódnicy, którą Dervla oszczędzała na niedzielne msze święte – z Marie Brennan został cień człowieka. Czasami, Boże przebacz, Marie pragnęła po powrocie do domu znaleźć

Dervlę przy oknie, wpatrzoną już tylko w perłowe wrota, strzeżone przez świętego Piotra. Ilekroć wyobraziła sobie tę scenę, gnała do kościoła Świętego Barnaby i szukała ojca Mahoneya. Poczciwy księżulo zawsze znajdował czas na wysłuchiwanie częstych, skrupulanckich spowiedzi samotnej starej panny.

– Marie!

– Tak, Dervlo?

Mardżan zostawiła zauroczonego ojca Mahoneya sam na sam z finezyjnym wystrojem sali, sama zaś wróciła do kuchni, aby dopilnować abgusztu, który podgrzewał się w wielkim garze. Uniosła pokrywę i wciągnęła w nozdrza woń perkoczącego leniwie jagnięcego gulaszu, doprawionego dużą, okrągłą *limommani* – czyli suszoną limonką. Pojedyncza limonka dzięki swojej wyrazistej esencji niezawodnie podniesie smak każdej pikantnej potrawy.

Ojciec Mahoney podziwiał jeszcze płomiennie cynobrowe ściany i intrygujące brzuszysko przedmiotu, który wyglądał jak wyjęty z bajki – bulgoczącego z ukontentowaniem samowara – gdy Mardżan postawiła miseczkę wywaru na owalnej srebrnej tacce z wrytą wiejską scenką, przedstawiającą dzieci tańczące wokół osła. Obok miseczki umieściła talerz z kopiastą porcją *guszt kubide* (purée mięsno-jarzynowego), podgrzany chleb *lawasz*, mieszanek przypraw *torszi*, pokrojoną cebulę i rzodkiewki. Chętnie dołożyłaby do tego jeszcze świeży estragon, lecz był to jeden z podstawowych

składników, które zapomniała kupić w Dublinie – zastąpiła go więc pędami świeżej mięty i bazylii, karbując sobie w pamięci, że podczas najbliższej wyprawy do miasta ma koniecznie zdobyć sadzonki estragonu. Zamierzała przekształcić kamieniste podwóreczko za domem w bujny ogród ziołowy.

Balansując ciężkim platerem, Mardżan pchnęła wahadłowe drzwi do sali. Ojciec Mahoney stał właśnie przy ścianie północnej, przesuwał palcami po arrasie na ścianie.

– Nadzwyczajne, słowo daję, nadzwyczajne. Ręczna robota, prawda?

– Tak, to z Iranu – odparła Mardżan. – W Iranie każdy region ma swój charakterystyczny wzór kobierców. Potomkowie rodów plemiennych wplatają w deseń tkanin rodzinne historie, przekazując ich sekrety z pokolenia na pokolenie. Można więc powiedzieć, że w pewnym sensie są to czarodziejskie dywany.

– Istna bajka!

– Zechce ksiądz teraz skosztować jedzenia?

– Na pewno nie odmówię. Bardzo pani uprzejma. Mój Boże! Co za zapachy, co za nadzwyczajne zapachy. Ten ab-abba-guszt nie jest przypadkiem daniem portugalskim? Swego czasu byłem niezłym koneserem portugalskiej kuchni, dlatego pytam.

Ojciec Mahoney usiadł z powrotem, spojrzał na tacę i natychmiast zapomniał o zebraniu komitetu, na które nieuchronnie miał się spóźnić.



– Nie, to potrawa rdzennie perska. Raczej ostra, chociaż zawiera kilka bardzo delikatnych składników. Czy podać jeszcze jedną herbatę? A może cały imbryczek?

– No cóż, teraz już nie mogę powiedzieć nie, prawda?

Przypatrywał się bacznie licznym składnikom abgusztu, zupełnie nie wiedząc, od czego zacząć. W końcu podniósł łyżkę, ale zatrzymał ją tuż nad miseczką, jakby obawiał się zranić zupę.

– Wywar jest dość klarowny. Może go ksiądz popijać przez cały posiłek, ale główna atrakcja tego dania to pasta mięsna, o ta, tutaj. Ten cienki chleb nazywa się *lawasz*. Trzeba nabrać na niego trochę mięsa, dodać cebulę, zioła i na co jeszcze przyjdzie ochota w trakcie jedzenia. To bardzo pożywna potrawa, szczególnie zimą – objaśniła Mardżan, wskazując palcem kolejne składniki.

Potem wzięła pustą filiżankę księdza i poszła napełnić ją na nowo z samowara. Wprowadzanie gościa w tajniki spożywania abgusztu niespodzianie ożywiło w Mardżan wspomnienia o domu. Przetawiła w dół dźwigienkę samowara i patrzyła, jak bursztynowa ciecz napełnia szklaną złoconą filiżankę. Gdyby była teraz w Iranie, herbacie towarzyszyłyby oprószone sproszkowaną anżeliką ziarna granatu, prażone orzechy albo lepka chałwa szafranowo-marchewkowa. W noc przesilenia zimowego siadali całą rodziną na dywanie w wielkim pokoju, pogryzając takie właśnie przysmaki i snując opowieści. Jeśli chłód zanadto dokuczał, skupiali się wokół niskiego stolika, okrytego kołdrą i piękną haftowaną

kapą. Pod tym stolikiem stał mały grzejnik elektryczny, od którego cieplej się robiło na sercu i na ciele. Całe to urządzenie zwie się *korsi*. Tak siedząc, rozmawiali o tym, co minęło, i o swoich nadziejach na przyszłość.

Któregoś roku kuzynka Mitra w ferworze opowiadania kopnęła grzejnik, który omal nie spalił jej wielkiego palca. Innym razem cioteczna babka Homa kazała wszystkim przeczesać zaśnieszony ogród i podwórze, gdyż była pewna, że zgubiła tam cenną bransoletę z rubinów – dopiero w świetle dziennym okazało się, że klejnot podstępnie wcisnął się między fałdy koca, na którym ciocia-babcia przez cały czas siedziała. Tylko dlaczego właśnie teraz wróciły do Mardżan te wspomnienia? Nie mogła tego zrozumieć. Dlaczego właśnie teraz, gdy oddaliła się jak nigdy od rodzinnych stron? Skąd właśnie dziś ta nagła tęsknota za domem?

Herbata wystąpiła z brzegów filiżanki i chlusnęła przez skraj spodka, który Mardżan trzymała w dłoni. Gwałtownie uwolniona dźwignia samowara brzęknęła donośnie, a Mardżan złapała ścierkę, by czym prędzej zetrzeć spod nóg kałużę wrzątku. Hałas nie wyrwał jednak ojczulka Mahoneya z jego własnych marzeń. Książd z błogą miną delektował się abgusztem, a jego pyzate policzki nabierały coraz więcej koloru i życia. Mardżan skończyła sprzątać i oparła się o ladę, nie chcąc przeszkadzać gościowi. Doskonale wiedziała, co dzieje się w tej chwili z ojcem Mahoneyem.

O ile Lejla budziła w młodych mężczyznach pożądanie,

a w starszych młodzieńcze marzenia, o tyle Mardżan działała swoją magią i na mężczyzn, i na kobiety w sposób bardziej praktyczny, choć nie mniej intrygujący. Dzięki swym sekretom kulinarnym potrafiła zachęcić ludzi do wyczynów, które wcześniej zdawały im się niemożliwe; wystarczył jeden kęs jej potrawy, aby większość biesiadników nie tylko dała się porwać marzeniom, lecz także poczuła chęć przystąpienia do czynu. Nie inaczej było z ojcem Mahoneyem. Przeżuwając ostatni kawałek napełnionego mięsem chleba *lawasz*, poczuł drobną grudkę w żołądku. Było to nasienie, które dojrzeć miało dopiero za miesiąc, odmieniając na zawsze koleje jego życia, a na razie tkwiło wewnątrz obok abgusztu i budziło lekki niepokój. Ojciec Mahoney nie wiedział, co właściwie się z nim stało, czuł jednak, że jest całkiem innym człowiekiem niż pół godziny temu.

Wstał i lekko drżącą ręką sięgnął po płaszcz wiszący tuż przy drzwiach.

– O, już ksiądz wychodzi? – Mardżan uśmiechnęła się na widok oszołomienia w zamglonych oczach gościa.

– Tak, niestety, muszę uciekać. Jestem pewien, że byłem gdzieś umówiony, ale za nic w świecie nie mogę sobie przypomnieć, gdzie i z kim. Co za bęcwał ze mnie!

Wzruszające było to zmieszanie ojca Mahoneya, spowite otoczką siły potężniejszej od niego. Czuł, że musi się natychmiast gdzieś położyć, gdziekolwiek. Miał bardzo wiele do przemyślenia. Co konkretnie – tego nie był pewien, ale wiedział, że koniecznie musi o czymś

pomyśleć.

– Mam nadzieję, że *abguszt* i herbata smakowały? – zagadnęła Mardzan.

– Czy smakowały? Ja jeszcze nigdy w życiu, a lata spędziłem na podróżach, nie jadłem czegoś równie boskiego... daruj mi, Ojcze. – Pызaty księżulo przeżegnał się, wznosząc oczy do sufitu. – Nigdy. Pani ma wielki talent, moja droga, prawdziwe powołanie. Nie wątpię, że to urocze miejsce w mig zapełni się klientami. Urocze! – Pokręcił głową i położył na stoliku kilka banknotów.

– O, nie, to na koszt firmy, proszę księdza. Jest ksiądz, bądź co bądź, pierwszym klientem – zaprotestowała Mardzan.

– Nonsens. Dlatego właśnie upieram się przy płaceniu. Nie należałby mi się ten szlachetny tytuł, gdybym zjadł za darmo, prawda? I wróć tutaj, może pani na mnie liczyć. No to do zobaczenia. I dziękuję paniencie uprzejmie!

Z tymi słowami opuścił Café Babilon i skierował się ku plebanii, zapomniawszy na amen o Komitecie Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka.

Mardzan wyjrzała za nim i zachichotała z cicha, bo ojciec Mahoney brnął w deszczu przez ulicę tak otumaniony, że nie pamiętał nawet o otwarciu parasola. Usłyszawszy szmer za plecami, odwróciła się. To Bahar szła przez salę, potargana i półprzytomna po drzemce wywołanej bólem głowy.

– Jak tam głowa?

– Bywało gorzej. Już w porządku. Kto tu był? – spytała

Bahar, mrugając odwykłymi od światła oczami.

– Nasz pierwszy klient.

– Miejmy nadzieję, że nie ostatni.

– Na pewno nie – odparła Mardżan, odwracając się od siostry. Ksiądz zniknął już na horyzoncie, ale Mardżan wiedziała, że wróci na następną porcję abgusztu. Jej zdaniem lunch wypadł doskonale. Nawet jeśli ojciec Mahoney miał pozostać tego dnia ich jedynym klientem.

## Gusz-e fil – słoniowe uszy

*1 jajko*

*½ szklanki mleka*

*¼ szklanki cukru*

*¼ szklanki wody różanej*

*½ łyżeczki mielonego kardamonu*

*3¾ szklanki mąki*

*6 szklanek oleju roślinnego*

*do posypania:*

*1 szklanka cukru pudru*

*2 łyżeczki mielonego cynamonu*

Jajko ubić w misie. Dodać mleko, cukier, wodę różaną i kardamon. Stopniowo dodawać mąkę i wyrabiać powoli na jednolitą masę. Rozwałkować na czystej powierzchni oprószonym mąką wałkiem, na grubość arkusza papieru. Szeroką szklanką lub filiżanką wyciąć krążki (około 15). Z każdego krążka kciukiem i palcem wskazującym uformować kokardkę. Odstawić na bok. Olej rozgrzać w głębokim rondlu. Każde ucho smażyć przez 1 minutę. Odkładać na papierowy ręcznik do wystygnięcia. Oprószyć mieszanką cukru i cynamonu.

– Colm Cahill i bliźniacy Donnelly są najgorsi. Im tylko jedno w głowie. Najlepiej w ogóle się z nimi nie zadawaj, Lejlo. Uważają się za Bóg wie co.

Emer Athey, potrząsając blond lokami, wskazała palcem grupkę piątoklasistów, tych samych chuliganów, którzy przed lekcjami gromadzili się przy sfermentowanym poczęstunku Petera i Michaela Donnellych. Trwała dopiero przerwa śniadaniowa drugiego dnia pobytu Lejli w szkole, a już wszyscy chłopcy z tej grupy zabiegali o względy egzotycznej nowej koleżanki.

– Resztę też radzę ci omijać z daleka. – Emer zerknęła gniewnie na osiłków, zanim podjęła przerwane chrupanie czekoladowych herbatników „Jaffa” z marmoladą.

Pełna temperamentu córka Fiony Athey natychmiast wzięła Lejlę pod swoje skrzydła, organizując jej na początek gruntowny obchód rozległych terenów szkoły Świętego Józefa. Przed swym ostatnim wcieleniem – w koedukacyjną szkołę średnią – ów kompleks średniowiecznych budynków służył przez stulecia kolejno jako: klasztor, doświadczalne gniazdko miłosne pewnego galijskiego wicehrabiego oraz schronienie dla panien z dzieckiem. Emer przedstawiła też Lejlę Reginie Jackson, bystrej rudej dziewczynie w kolorowych podkolanówkach w romby, naciągniętych wysoko na tykowane nogi. Emer i Regina w żadnym razie nie były nielubiane, a jednak

rzadko włączały się w życie towarzyskie szkoły, polegające głównie na piątkowych balangach i sobotnich porannych meczach piłki nożnej. Wolały spędzać sobotnie popołudnia na kręglach w Castlebar i od czasu do czasu robić wypad do Westport na *seisiún* muzyki tradycyjnej.

Lejla zdumiała się, że tak łatwo znalazła ciekawe przyjaciółki w Ballinacroagh. Emer i Regina w skupieniu słuchały skróconej relacji z jej drogi życiowej (Teheran, Lewisham, no i wreszcie Ballinacroagh), a Lejla z kolei ceniła sobie ich rady dotyczące chłopców.

– A Malachy? On też jest taki jak tamci? – spytała, modląc się w głębi duszy o przeczącą odpowiedź. Szafirowooki Malachy nie chodził razem z nią na żadne zajęcia, więc jego imię poznała dopiero drugiego dnia, od Reginy.

– Malachy McGuire? Nie... chociaż to dość dziwne, że jest, jaki jest, z wyglądu i zachowania, mając takiego tatusia – odparła Emer.

Wszystkie trzy obserwowały spod rozłożystego dębu omawianego chłopca. Malachy długimi krokami przemierzał boisko rugby, zatopiony we własnych miłosnych rozmyślaniach, gdy spostrzegł śledzące go wzrokiem dziewczęta. Poczzerwieniał jak burak i ruszył w ich stronę, machając nieśmiało ręką.

– O czym ty mówisz? Kim jest jego tata? – spytała Lejla, nie odrywając wzroku od Malachy'ego.

– Nie wiesz? No to się szybko dowiesz. Thomas McGuire to modelowy egomaniak. Uważa się za



właściciela całego miasteczka. Pub obok waszej kawiarni należy do niego. Tak jak i cała reszta knajp na Mall. Dlatego ja na piwo jeżdżę do Westport. Niedoczekanie, żeby na mnie zarobił. Moja mama go nie cierpi i nie boi się mówić o tym głośno – oznajmiła dumnie Emer.

Regina fuknęła ironicznie.

– A może nie, Regino? Jak trzeba, to mówi. Pamiętasz to lato, kiedy obie obchodziłyśmy piąte urodziny, czy mam ci przypomnieć? – zaperzyła się Emer. Mimo że często darła koty z matką, i to tak zajadle, że słyhać je było z zakładu fryzjerskiego na całą Main Mall, Emer strasznie kochała Fionę i zawsze pierwsza stawiała w jej obronie przeciwko plotkarzom.

– A co się wtedy stało? – spytała Lejla.

– McGuire chciał wykupić salon fryzjerski – odparła Regina, żując czipsy krewetkowe z torebki.

– Niech tylko spróbuje, pieprzony zasraniec! – Emer aż spurpurowiała z gniewu. Poza uporem niewiele odziedziczyła po matce. Za to po ojczulku lalkarzu, niepoprawnym donżuanie, wzięła germańskie rysy i iście brunszwicki apetyt – cechy nieustannie przypominające Fionie poplątane sznurki marionetek i ból serca, którego nie uśmierzyło siedemnaście lat rozłąki.

– Faktem jest, że połowa lokalu należała do niego – mruknęła Regina. Ona również darzyła szczerą nienawiścią niekoronowanego króla Ballinacroagh. Jej ojciec, alkoholik, stracił na rzecz Thomasa McGuire'a trzy czwarte gospodarstwa,

zaciągnąwszy we wszystkich trzech jego pubach tasiemcowe kredyty długości rzeki Shannon. Przykładne katolickie wychowanie nie pozwalało jednak Reginie bardziej dobitnie wyrażać krytyki. W tej kwestii polegała na Emer. I często podjudzała pyską koleżankę, aby za jej pośrednictwem dać upust własnej tłumionej złości.

– Należała do niego, akurat! Raczej wcisnął się na nią podstępem. A zresztą to wszystko była wina mojego dziadka. A mama nic Thomasowi McGuire’owi nie jest winna – rzuciła nadąsana Emer.

W sierpniu siedemdziesiątego czwartego roku, po blisko pięciu latach strzyżenia marnych włosów i zgodnego wysłuchiwanie nieskończonej litanii ogłupiających plotek, Fiona zebrała wreszcie dość pieniędzy, aby wykupić akcje Thomasa McGuire’a – wówczas dopiero odkrywając, że bogacz miał zakusy na jej salon. W porywie skrajnego egotyzmu Thomas zainwestował połowę swoich pieniędzy (przekazując bankowi nawet tytuł własności do piwiarni i kiosku z gazetami) w Brąz w Dziesięć Minut – sieć solariów, które, jak sama nazwa wskazuje, obiecywały superopaleniznę po dziesięciu minutach. Od Cong na południu po Belmullet na północy Thomas McGuire – za pomocą nowych łóżek do opalania, typ Turbo Tanner 200, świeżo sprowadzonych z blaszanych magazynów hurtowni w Limerick – zamierzał pouwalniać bladą skórę o rozszerzonych porach i żyłakowate uda z wełnianych kokonów. Poczynając od salonu piękności Fiony Athey,

który miał stać się jego flagowym solarium, Thomas chciał zmienić całe hrabstwo Mayo w irlandzkie Saint-Tropez.

Zaczęły się walki podjazdowe i manewry prawne, a przez cały ten czas właściciel pubów nachodził Fionę codziennie, wygłaszając pogroźki, które utwierdzały tylko ekskrołową sceny w przekonaniu, że musi dograć swój biznesowy spektakl do końca. Wynajęła cenionego adwokata z Galway (jednego ze swoich wielbicieli z czasów teatralnych) i ruszyła do defensywy, z której Dervla Quigley miała nowinkarską pożywkę na całe miesiące. Na tydzień przed spotkaniem stron w sądzie hrabstwa doszło do tragedii. W ramach reklamy przyszłych słonecznych dni Thomas zainstalował łóżko do opalania na tyłach jednego ze swych bardziej kameralnych pubów, piwiarni McGuire'a, zapraszając całe miasteczko do skorzystania z nowej atrakcji. Filomina Fanning, miejscowa bibliotekarka i wzorowa parafianka, miała się stać pierwszą (i ostatnią) ofiarą partackiej konstrukcji łóżek Turbo Tanner 200. O godzinie ósmej trzydzieści rano Filomina wkroczyła do piwiarni McGuire'a, blada, okrągłutka, i sapiąca pod balastem stu czterdziestu sześciu funtów żywej wagi, obciążających jej niewysoką postać. O ósmej czterdzieści wywieziono ją stamtąd na noszach i zabrano do Szpitala Ogólnego Mayo, dotkliwie poparzoną w solarium zamienionym w izbę tortur. Łóżko Turbo Tanner 200 okazało się jedną wielką sfuszerowaną mikrofalówką, a Thomas McGuire – idiotą, który w ten bubel zainwestował.

– Po tym wypadku odsprzedał mojej matce swoje udziały w salonie. Nawet Thomas McGuire nie mógł pozwolić sobie na dwie sprawy sądowe jednocześnie. Na twoim miejscu, Lejlo, uprzedziłabym o nim siostry. Chodzą słuchy, że ma oko na...

– Od lat miał oko na lokal po Delmonico – wtrąciła Regina.

– No właśnie, dzięki, Regino. W każdym razie prędzej czy później zaczniesz was nachodzić. Lejla?

Ale Lejla nie słuchała. Utonęła z kretesem w niebieskich oczach Malachy'ego McGuire'a, zbyt owładnięta własnym zauroczeniem, aby przejąć się ostrzeżeniem Emer.

W pierwszym tygodniu działalności Café Babilon regularnych klientów można było zliczyć na palcach jednej ręki. Lecz już po miesiącu liczba codziennych bywalców sięgnęła blisko dwóch tuzinów, a o wiele więcej z wahaniem i podziwem przystawało przed witrynami lokalu. Błysk samowara oraz zapach smażących się słoniowych uszu stanowiły dla większości dostateczne powody, by wstąpić do środka. Choćby po to, żeby się rozejrzeć.

*Gusz-e fil*, czyli słoniowe uszy, smaży się – jak każde frytki – aż nabiorą złotej barwy i zaczną ociekać wszelką niedozwoloną substancją. Każde z nich przypomina wielki łuk, zbliżony kształtem do makaronu *farfalla*, jednak smak plasuje je w kategorii pączków, czyli deserów. *Gusz-e fil* przyrządza się zwyczajowo na specjalne okazje, kiedy

bardziej wymyślne desery nie konkurują z ich smakowitą prostotą. Tego kwietniowego dnia Mardżan postanowiła usmażyć słoniowe uszy dla uczczenia sprzyjającej fortuny, która towarzyszyła siostronom od sprowadzenia się do Ballinacroagh, czyli prawie już od miesiąca. Nie dość że nie brakowało stałych zamówień w porze lunchu, to i cień prześladowający Bahar przez pierwsze tygodnie z wolna się rozwiewał. Kto wie, myślała sobie Mardżan, może tym razem rzeczywiście wszystko się ułoży.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, ubijając jajko w misie. Po dodaniu mąki zaczęła energicznie wyrabiać ciasto, nie przejmując się bólem w lewym ramieniu. W okolicy stawu ramieniowego miała Mardżan wypukłą bliznę długości cala, srebrzystą i tak nieznaczną, że nikt nie domyśliłby się brutalnej broni, która ją pozostawiła. Przez okragłe szybki wahadłowych drzwi kuchni widać było, jak Bahar przyjmuje zamówienie od pani Boylan, na co ojciec Mahoney z aprobatą kiwa głową. Sympatyczny księżulo dotrzymał słowa i codziennie przychodził na lunch, a niekiedy zjawiał się i drugi raz, na podwieczorek, holując za sobą kilka leciwych niewiast. Nie przychodził tylko w niedziele – Mardżan domyśliła się, że w jego służbie są to dni szczególnie wytężonej pracy. Dziś przyprowadził swoją gospodynię, błagając Mardżan, aby jej zdradziła przepis na słoniowe uszy, dzięki czemu pani Boylan mogłaby przyrzadzać mu ten smakołyk na plebanii dla uśmierzenia nagłych ataków apetytu, które nachodziły księdza o północy. Uszczęśliwiona rolą eksperta, Mardżan

wygrzebała gdzieś zieloną karteczkę i starannym, okrągłym pismem wykaliografowała:

*Rozwałkować ciasto na czystej powierzchni oprószonym mąką wałkiem na grubość arkusza papieru. Szeroką szklanką lub filiżanką wyciąć krążek. Kciukiem i palcem wskazującym zalepić środek krążka w kształt łuku. Odstawić na bok. Powtarzać czynność aż do wyczerpania krążków (około 15).*

– Zabawny ten twój ksiądz. Wiesz, że tu księżom wolno pić alkohol? Kobiety niedozwolone, ale alkohol – proszę bardzo! – Bahar weszła do kuchni, wymachując karteczką z zamówieniem ojca Mahoneya. Jej rozbiegane zazwyczaj oczy jaśniały czymś, czego Mardżan nie śmiała jeszcze nazwać szczęściem.

– Tu się pije piwo jak wodę. W zeszłą niedzielę widziałam całą rodzinę, z małymi dziećmi, wychodzącą z baru obok. O jedenastej w nocy! – odparła ze zgrozą Mardżan. Po czym odczytała zamówienie ojca Mahoneya:

1. *Imbryk darjeeling 2x*
2. *Talerz chleba i serów*
3. *1 sałatka z kurczaka*
4. *1 abguszt*

– On naprawdę przepada za abgusztem, prawda? Zamawia go już piąty raz w tym tygodniu. – Bahar z niedowierzaniem pokręciła głową. Sama też lubiła tę potrawę, jak każdy, ale gdy zjadła jej za dużo, czuła się ociężała.

– Ojciec Mahoney wychwala *abguszt* na prawo

i lewo. Sprzedawca z minimarketu powiedział mi dziś rano, że „jego Finnegan”, przypuszczam, że miał na myśli swego syna, słyszał o nas nadzwyczajne rzeczy. Pytał, czy serwujemy porcje na wynos! Jak tak dalej pójdzie, lada dzień pozbędziemy się długów! – radowała się Mardzan.

Poza ojcem Mahoneyem i panią Boylan grono stałych klientów Babilonu w porze lunchu tworzyły Evie Watson i Fiona Athey. Dwie fryzjerki trafiły tam przywabione nie tylko pochwałami ojca Mahoneya, ale też narastającą przez trzy dni ciekawością, podsycaną zapachami smażonych słoniowych uszu i prażonych orzechów z cynamonem. Ich aromat niósł się do salonu piękności z oceaniczną bryzą i przenikał przez szczeliny drzwi, owiewając tapirowane fryzury i skutecznie tłumiąc woń oparów lakieru do włosów. Evie i Fiona zajęły teraz jeden ze stolików przy oknie i obie popijały z miseczek zupę z czerwonej soczewicy, która – za sprawą magii Mardzan – ożywiła w ich głowach mgliste marzenia: Evie widziała różowy neon z własnym imieniem nad drzwiami zakładu fryzjerskiego, Fionie natomiast taki sam neon, głoszący jej imię, jawił się jak za dawnych czasów na markizie teatru.

Nawet starsze panie z Komitetu Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka usłyszały od ojca Mahoneya o słodkich, egzotycznych wypiekach i herbatach, których skosztować można w Café Babilon. Rezygnując z tradycyjnego mięsa z dwiema jarzynami w Karczmie Wilton, przesiadywały teraz w porze lunchu przy długim wspólnym stole

Babilonu, nad talerzami doprawianej miętą sałatki z kurczaka i miseczkami słodkiej zupy cebulowej.

W przeciwieństwie do swojej siostry, Marie, Dervla Quigley nigdy nie uczestniczyła w tych damskich obiadkach. Nieobecność ojca Mahoneya na pierwszym zebraniu komitetu poczytała sobie za osobisty afront i atak na jej i tak już nadszarpniętą godność, toteż ostentacyjnie przeniosła swoje usługi wartownicze do obozu Thomasa McGuire'a. Na jego prośbę miała kontynuować śledzenie kawiarni i zdawać mu codzienne szczegółowe raporty z epikurejskich akcji Babilonu. Thomas chciał wiedzieć, jakie surowce kupuje się tam i dostarcza, jak zaczyna się codzienny natłok w porze lunchu i jaka jest średnia rotacja przy stolikach – dzięki tym elementarnym szczegółom miał nadzieję przeniknąć tajemniczą alchemię tak licznych błogich uśmiechów i apetycznie zaokrąglonych brzuszków. Dervla, przejęta nową misją, zaopatrzyła się w mały kołonoatnik, w którym szponiastą dłonią rejestrowała nazwisko każdej żywej duszy, przekraczającej próg wiadomego lokalu, a nawet każde otwarcie okna przez Mardżan i każde przejście Bahar na drugą stronę ulicy, do rzeźnika. Nie poprzestając na ciągłej paplaninie przez okno, stara plotkarka obdzwoniła wszystkich parafian, których numery telefonów znalazła w swoim obszarpanym notesie adresowym, powtarzając za każdym razem tę samą śpiewkę: „Kto wie, co tam jest w tym jedzeniu. Niehigieniczne aż strach. Same brudy. Café Babilon! Toż to istny grzech, nic innego!”



Po lunchu zamówień było mniej, co pozwoliło Mardżan dokończyć smażenie ostatniej partii słoniowych uszu. Poranna porcja już została rozkupiona i pożarta przez dziatwę szkolną, która zwyczajowe lepkie toffi zamieniła ostatnio na chrupiące płaty ciasta. Niebawem zaczną się schodzić amatorzy herbaty, a niejeden przypadkowy przechodzień też przyczyni się do tego, że ze srebrnych półmisek po raz kolejny zniknie co do okruszka bakława, *zulbia*, wafłowe ciastka-okienka i słoniowe uszy – więc trzeba się było na to przygotować.

Mardżan wrzuciła dwoje surowych słoniowych uszu do głębokiego rondla z wrzącym olejem i po minucie przełożyła je łyżką cedzakową na papierowy ręcznik. Z każdego ciastka skapywał cennymi kropelkami nadmiar oleju, wsysany natychmiast przez spragnioną bibułę. Gdy cała partia wypieków ostygła, Mardżan oprószyła lśniące słoniowe uszy mieszanką cukru z cynamonem, od której zakręciło ją w nosie. Od dzieciństwa uwielbiała te smażone delicje. Pocieszała się, że odrobina oleju od czasu do czasu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Jeżeli, rzecz jasna, nie stanęło się zbyt blisko rondla.

Malachy McGuire odczekał pięć tygodni, zanim odważył się zaprosić Lejlę na randkę. Wyciągając rękę i hipnotyzując Lejlę klejnotami swych oczu, młodzieniec zaproponował spacer drogami przez wzgórze, na plażę w zatoce Clew. Para nastolatków siedziała teraz na szczycie wydmy, a wysoka trawa maskowała ich nieśmiało splecione dłonie. Patrzyli na spieniony przypływ, czując

pod rozgorączkowanymi ciałami ciepło drobniutkiego jak mąka piasku.

Lejla zerknęła ukradkiem na siedzącego obok chłopca. Czy on robi pierwszy krok, zastanawiała się, czy też ona ma przejąć inicjatywę? A jeśli Malachy zacznie sobie zanadto pozwalać? Co wtedy robić? Lejla poczuła pod mundurkiem krople potu, który spływał między piersiami i osiadał w zagłębieniu pępka. Jej cynamonowo-różany zapach intensywniał z sekundy na sekundę, emanując odurzającymi falami z pałającej skóry. W nadziei, że Malachy nie dostrzegł jej coraz silniejszego rumieńca, Lejla odwróciła się i wskazała palcem Croagh Patrick, który spoglądał w dół na młodych z dobrotliwą aprobatą dziadunia.

– To piękna góra. Co za idealny stożek – przemówiła nienaturalnie piskliwym głosem.

– Ta stara kopa? Nic takiego. Nie umywa się do miejsc, które ty widziałaś. Jak było w twoim dawnym kraju? – Malachy przysunął się troszkę bliżej.

– W Anglii?

– Nie, w Iranie. Czy tam jest bardzo niebezpiecznie?

Spojrzenie migdałowych oczu Lejli uciekło nagle gdzieś daleko. Dziewczyna cofnęła dłoń z uścisku Malachy’ego i zagrzebała ją głęboko w piasku, jakby musiała się podeprzeć dla zachowania równowagi.

Tym razem to Malachy spłonął rumieńcem. Wiedział, jak trafić w czuły punkt, bez dwóch zdań! Co go podkusiło, żeby zadawać takie osobiste pytania? Może ona nie chce

rozmawiać o Iranie, może przyszła tu tylko, żeby nie sprawiać mu przykrości, może powinien ją przeprosić... Tę paniczną gonitwę myśli przerwał nagle pocałunek. W same usta – przelotny, ale i taki się liczy.

– Och! – wyszeptał Malachy głosem schrypniętym z radości. Po czym odwzajemnił delikatny pocałunek Lejli, przyciągając ją do piersi, w której łomotało serce, i wdychając cynamonowo-różany aromat.

Ramiona Malachy’ego były jak puchowa poduszka dla rozedrganych emocji Lejli. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Czyżby wstydziła się Iranu i tego, że jest Iranką? Czemu tak gwałtownie zareagowała na pytanie Malachy’ego? Przecież interesował go tylko dom jej dzieciństwa, cóż w tym takiego dziwnego? Ten chłopiec o szafirowych oczach nie obawiał się jej obcości, nie zamierzał oceniać jej przez pryzmat agresywnego kraju, w którym przyszła na świat. Tylko co właściwie miałyby mu powiedzieć? Od czego zacząć?

Ciarki przeszły jej prawe ramię z dołu do góry. Dłoń całkiem zdrętwiała. Lejla uniosła ją z piasku i spojrzała na ślad odbity w mącznej bieli. Idealny odcisk dłoni. Głęboko żłobione linie losu i rozwidlone wypustki przeznaczenia utworzyły misterny, wypukły deseń w piaskowym zagłębieniu. Lejla delikatnie sunęła po tym wzorze palcem, aż nagle wstrząsnął nią dreszcz na mroczne wspomnienie innych zgoła odcisków dłoni.

Noc ich wyjazdu na zawsze z Teheranu nie przypominała w niczym innych wrześnieowych nocy. Czuło

się jeszcze zmierzch lata, lecz anorektyczne drzewa wyzbyły się już wszelkiej nadziei, siejąc liście na chodniki. Z kuchennego okna na czternastym piętrze zapuszczonego bloku, w którym mieszkały siostry Aminpur, siedmioletnia Lejla obserwowała słońce zachodzące za pobliski meczet, którego lśniąca turkusowa kopuła nabierała w gęstniejącym mroku mistycznego odcienia lapis-lazuli. Nie było słychać jękliwego nawoływania do wieczornych modłów, z wysokiego minaretu nie rozbrzmiewały słowa żarliwej pobożności. Modlitwy, prawdę mówiąc, ustały już od piątku. Zamarł nawet nieustanny odgłos strzałów; ciszę przerywało jedynie sporadyczne ra-ta-ta-ta od strony dawnego bazaru przy ulicy Południowej. Większość rewolucjonistów z okolicy zadekowała się na opustoszałym bazarze. Chronili się tam, od czasu gdy gwardia cesarska brutalnie ostrzelała demonstrantów na placu Żale. Minęły zaledwie trzy dni, odkąd pokojowy marsz studentów przeciwko reżimowi szacha powitany został bezlitosnym gradem wojskowych pocisków. Tysiące młodych ludzi poległy na miejscu, padając na płowy bruk otwartego placu.

Lejla spoglądała chwilę w stronę bazaru, zanim jej uwagę przykuły strugi krwi, sączącej się bez ustanku, wciąż wypływającej sobie drogę przez zasłany liśćmi bulwar. Brudny trotuar pełen był chaotycznych, krwawych odcisków dłoni, lśniących i świeżych, chociaż ręce, które je pozostawiły, dawno już stąd zniknęły. Ślady dłoni widniały też gdzieś na murach domów, a ściekająca

z nich krew uformowała dodatkowe palce. Czerwone strużki wsiąkały w pęknięcia chodnika, pozdrawiając pozostałych na ziemi pobratymców lekkim drgnieniem lub zuchwałym skrętem, potwierdzającym wspólne źródło nieszczęścia. Plac Żale, zaledwie dziesięć przecznic od domu sióstr Aminpur.

Czarny Piątek – tak ochrzczono masakrę. Lejla jednak na własne oczy widziała, że jej barwą była czerwień. Wszechobecna czerwień.

– Bahar, mogę jutro pójść do szkoły? – spytała siostrę, znając z góry odpowiedź. Jutro żadnych lekcji nie będzie, szkoły są zamknięte od wielu dni. To właśnie znaczy „stan wojenny”, wyjaśniła jej Mardzan. Tak postanowił szach, rozsyłając swoje gwardie cesarskie, „nieśmiertelnych”, do przeczesywania ulic w poszukiwaniu radykałów i nielicznych rozproszonych komunistów.

– Nie zadawaj głupich pytań i złaż z tego krzesła. Chcesz, żeby ktoś cię zastrzelił? – Bahar zepchnęła Lejlę z posterunku.

Gdy zaciągała kwiecistą zasłonę, chusta zsunęła jej się z głowy, odsłaniając pokryte strupem rozcięcie nad prawym uchem. Miejsce wokół rany było nabiegłe krwią i sinawożółte, podobnie jak fioletowożółte ślady na czole i policzkach. Sińce. Lejla nie mogła oderwać od nich oczu.

– Nie ruszaj się z salonu, dopóki Mardzan nie wróci – nakazała jej Bahar. – W Bogu nadzieja, że zdobędzie dla nas paszporty – mruknęła, bardziej do siebie niż do Lejli, wracając do gotowania.

– Ale ja jestem głodna – poskarżyła się Lejla, patrząc łakomie na garnek zupy z owoców granatu, którą mieszała Bahar.

– Co za nieznośny dzieciak! Mardżan mogła wpaść w łapy gwardzistów, a ty potrafisz myśleć tylko o swoim pustym brzuchu. Zmykaj stąd! – zirytowana Bahar walnęła w garnek drewnianą łyżką.

Lejla, tłumiąc łzy, wyszła z kuchni. Nie pomyślała wcześniej o Mardżan przemykającej się zakrwawionymi ulicami po godzinie policyjnej. A jeśli Bahar ma rację, jeśli gwardziści cesarscy złapali Mardżan? Jeśli najstarsza siostra już nigdy nie wróci i Lejla na zawsze zostanie sama z Bahar?

Słone łzy zasnuwały mgłą oczy Lejli i spływały jej na język, gdy skradała się korytarzem do swojej ulubionej kryjówki – spiżarki, w której Mardżan trzymała artykuły sypkie i przyprawy. Otworzyła wiklinowe drzwi i wśliznęła się w kojącą ciemność, dotykając półek, na których drzemały w słojach rozmaite ziarna i proszki. Sięgnęła za wysoki dzban z terakoty i zacisnęła drobne paluszki na znajomym szklanym pojemniczku z sumakiem. Pozyskiwany z cierpkiej jagody *rhus* mielony sumak był ceglasczerwoną przyprawą, której Mardżan dodawała oszczędnie do kebabów. Lejla przynajmniej raz dziennie, a w przyływach smutku jeszcze częściej, zakradała się do spiżarki, aby uraczyć się grudką tego specjału o cytrynowym smaku. Sięgała właśnie po drugą porcję, gdy dobiegł ją przeraźliwy krzyk Bahar.

Brzmiał jak prymitywny wrzask z dżungli. Ten mrozący krew w żyłach skowyt ucichł nagle, przzerwany straszliwym łomotem. Dziecięce uszy Lejli skojarzyły ten nowy odgłos z ubijaniem *kubide* – delikatnego mięsa na kebab, które Mardżan rozpląszczała tłuczkiem, torturując nieszczęsną wołowinę, aż poddała się z westchnieniem, ostatecznie pokonana. Łomot nasilał się i przyśpieszał. Skryte w mroku przyprawy podskakiwały w słojach, parodiując rozdygotany, przesycony kwasem żołądek Lejli. Dziewczynka zacisnęła w piąstkach bryłki sumaku tak mocno, że kwaśny proszek zaczął piec ją w dłonie. I nagle w klaustrofobicznych ścianach spiżarki rozległ się cienki, przenikliwy krzyk, paraliżujący delikatne zmysły Lejli. To ona sama tak wrzeszczała.

Wrzeszczała tak donośnie, że nawet nie usłyszała, kiedy łomot ustał. Nie usłyszała też zza ściany cichego kobiecego szlochu ani nie poczuła, że Mardżan szuka jej w ciemności. Gdy najstarsza siostra wyciągnęła ją wreszcie spomiędzy poprzewracanych słojów suszonej fasoli *fawa* i syropu z pigwy, Lejla miała oczy i uszy zapieczętowane szczelnie panicznym strachem.

– *Ćśśś...* Lejla *dzun-e man*. *Ćśśś*, już nie płacz. – Mardżan stała w kuchni, tuląc Lejlę w ramionach, całując jej buzię i umazane sumakiem piąstki. Lejla poczuła się wreszcie na tyle bezpiecznie, że uchyliła namaszczone pocałunkami siostry powieki. Lecz pożałowała tego natychmiast, widząc na kuchennej podłodze sponiewierane ludzkie ciało.

Nogi obleczone w ciemne męskie spodnie leżały w rozkroku na linoleum. Sterczące, chłopięce kostki nóg, którym powagi dodawały nieregularne kępki czarnego owłosienia, wystawały znad zielonych wojskowych butów, oblepionych skorupą błota. Spod chudych łydek wypływała ciemna, gęsta ciecz, z taką intensywnością, że uniosła mężczyznę na moment, nim oblała całe jego ciało purpurową kałużą. Wzrok Lejli przesunął się po ostrym kancie wzorowo odprasowanych spodni leżącego – tanich spodni z gabardyny, jakie noszą uliczni sprzedawcy – i zatrzymał na jego bezwładnych, kościstych kolanach. W tej samej chwili Mardżan znów zasypała pocałunkami załamane oczy dziewczynki.

Czternaście piętér wyszczerbionych schodów pokonały szybko jak nigdy – Lejla zapamiętała swoje zdziwienie tym faktem. Zazwyczaj siostry beształy ją za przeskakiwanie po dwa stopnie, a tymczasem teraz same gnały w dół, omijając po trzy schody i cztery, aż wypadły na ulicę. Pod nogami miały suche liście i krwawe odciski dłoni, ale Lejla patrzyła tylko w nocne niebo, mocno ściskając spocone dłonie obu sióstr. Twarz Mardżan, której kontur rysował się pod czarnym czadorem, była popielatoszara, ale pełna determinacji. W drugiej ręce najstarsza z sióstr dźwigała ciężką walizę. Po prawej stronie Lejli biegła Bahar, osłonięta od stóp do głów, tak że widać było tylko jej nabiegłe krwią oczy, mrugające szybko ze strachu. Żadna z sióstr nie odezwała się do Lejli choćby słowem, ani gdy dobiegły do końca dzielnicy, ani



gdy przekraczały puste tory kolejowe, ani gdy dotarły na teherański Centralny Dworzec Autobusowy, rojący się już od milczących, spowitych czadorami, dźwigających walizki postaci, i wsiadły wreszcie do autobusu jadącego na wschód. Na wschód, do gardzącego prawem miasta Zahedan, gniazda handlarzy narkotyków, usadowionego na niepewnym skrawku łądu, pośród wędrujących piasków. Irańska pustynia Daszt-e Lut, region plemiennych władców, szczyjących się mnogością wielbłądów, dywanów i karawan. Ostatni przystanek przed granicą pakistańską.

Autobus wyrzucił je na skraju Zahedanu, gdzie grupa mężczyzn z plemienia Baluczi rozbijała właśnie nocne obozowisko. Każdy z dwudziestu namiotów obozu wyłożony był tkanymi ręcznie kilimami, których barwne powierzchnie wystawały przed brezentowe i płócienne wejścia. Paru koczowników wypożyczyło namiot siostrom Aminpur; zanim go rozstawili, ich kobiety napełniły trzy gliniane miski tradycyjną jogurtowo-ogórkową zupą *masto chiar*. Chłodna ciecz ukoła suchość w gardle Lejli, a na twarzach Mardżan i Bahar wywołała jakże upragniony rumieniec.

Ale nawet smaczna zupa jogurtowo-ogórkowa nie rozwiązała siostrom języków. Nie padło ani słowo o tym, co wydarzyło się pośrodku kuchni ich mieszkania, w apogeum rewolucji, pod osłoną głębokiej teherańskiej nocy.

– Jezu! – Malachy gwizdnął cicho z wrażenia. – I nigdy

potem nie dowiedziałaś się od sióstr, co zaszło tamtej nocy? Kim był ten mężczyzna w kuchni?

Lejla tylko pokręciła głową, bo słowa uwięzły jej w gardle. W końcu, owszem, dowiedziała się prawdy, ale ta historia nie dojrzała jeszcze do opowiadania. Może w ogóle nie należało zdradzać aż tak wiele Malachy'emu, ale Lejla czuła wielką potrzebę zwierzenia się komuś po tylu latach milczenia.

– Nie martw się, Lejlo. W Irlandii jesteś bezpieczna. Ze mną – zapewnił ją czule Malachy. Miał jeszcze wiele pytań do dziewczyny, lecz wyczuwając jej szczególny smutek, objął ją tylko opiekuńczym gestem i pocałował jeszcze raz.

Pałące doznanie miłości było silne jak nigdy dotąd, a jednak Lejla nie mogła się otrząsnąć z nastroju smutnej powagi. Jej usta skrzywiły się mimowolnie, gdyż odżyło w nich wspomnienie gorzkich czasów – nagle wszystko miało posmak sumaku.

## Chleb lawasz

*1 łyżka szybko rosnących drożdży*

*½ szklanki ciepłej wody*

*½ szklanki oliwy z oliwek*

*1 szklanka mleka*

*2 łyżki cukru*

*2 łyżeczki soli*

*4 szklanki mąki*

*½ szklanki ziaren maku i sezamu*

Piekarnik rozgrzać do temperatury 250°C. Drożdże rozrobić z wodą. Odstawić na 15 minut. W dużej misie wymieszać rozpuszczone drożdże, oliwę, mleko, cukier i sól. Powoli dosypywać mąkę. Wyrobić ciasto. Podzielić je na 3 równej wielkości kule, przykryć czystą ściereczką i zostawić do wyrośnięcia na 30 minut. Kulę ciasta rozwałkować na czystej powierzchni oprószonym mąką wałkiem, na grubość kartki papieru. Posypać ziarnem maku i sezamu. Przełożyć na wysmarowany masłem pergamin do pieczenia. Piec w temperaturze 250°C przez 5 minut. Tak samo postąpić z pozostałymi kulami ciasta.

Thomas nie zdziwił się przesadnie, gdy w końcu dotarła do niego wiadomość, że jego najmłodszy syn zadaje się z jedną z tych „obcych”. Dervla Quigley widziała, jak Malachy paradował dumnie przez Main Mall – w środku dnia, nie inaczej – za rękę z tą czarniawą pannicą.

Bezwstydnik, nicpoń, głupi szczył z tego Malachy’ego. Było do przewidzenia, że on pierwszy wdepnie w bagno, zżymał się w duchu Thomas. Widać ciągnie swój do swego, ot co. Bo mimo całego swego zadufania Thomas nie pozostawał ślepy na oczywisty fakt, że Malachy, z tą nienaturalną szopą czarnych kudłów i językiem, który recytował nazwy głównych konstelacji, zanim jeszcze niechętnie wydukał „ta-ta” i „ma-ma”, nie był podobny do reszty jego dzieci. Gdyby Thomas mógł przypisać wysoki wzrost i bystrą inteligencję Malachy’ego genom żony, zdołałby pewnie patrzeć na chłopca bez przemożnej chęci rozwalenia pierwszej z brzegu rzeczy, która nawinęła mu się pod rękę. Lecz przysadzista Cecilia o pospolitych rysach, z rzadkimi blond włosami i potrójnym podbródkiem, różniła się od Malachy’ego nie mniej niż sam Thomas. Chcąc nie chcąc, piwny baron musiał przyznać sam przed sobą, że jego podejrzenia co do lata roku sześćdziesiątego siódmego były słuszne.

Wtedy to właśnie Thomasa pochłaniały prace nad

powiększeniem imperium o drugi pub na Main Mall. Gdy on użerał się z przebitym szambem swojej nowej piwiarni, przy plaży w zatoce Clew zacumował ukradkiem kuter ogorzałych andaluzyjskich rybaków. Jurni Hiszpanie przypłynęli z Galway, omyłkowo biorąc zatokę Clew za wyspy Aran po całonocnej balandze przy samogonie i pokerze. Ich dwutonowy kuter Hermosa nadział się na ostry występ wapiennej skały, skutkiem czego w jego dębowym dnie powstała dziura szerokości stopy, a załoga nie miała innego wyjścia jak biwakować na plaży aż do czasu załatania pokiereszowanej łajby. Pomijając sporadyczne wypadki po żywność i *vino*, hiszpańscy żeglarze trzymali się we własnym gronie, więc Thomas nie zgłaszał poważniejszych pretensji pod ich adresem. Dopiero w tydzień po odpłynięciu kutra do słonecznej ojczyzny właściciel barów zaczął dostrzegać osobliwie błogi uśmiech na twarzy małżonki. Dopiero wówczas wyniuchał nietutejszy zapach raków, przenikający wszystkie kąty domu, i zauważył nitki wodorostów, które niewiadomym sposobem spływały do wanien i umywalek, ilekroć odkręcił kran. A po ośmiu miesiącach na świat przyszedł ciemnowłosy Malachy, urodzony przedwcześnie i całkiem obcy.

Pieprzeni cudzoziemcy, pomstował w duchu Thomas, położyli swoje brudne łapska na jego prawowitej własności. A teraz historia się powtarzała. Nie dość że jego tak zwany syn jawnie zlekceważył zakaz, przekraczając próg zapowietrzanej jadłodajni, to jeszcze

obskakiwał jedną z tych Arabek. I wszystko to za jego plecami. Wdał się w swoją zakłamaną matkę, ten Malachy.

Z postanowieniem, że obsztorcuje krnąbrnego młodzika jak należy, Thomas posłał po niego starszego syna, Toma Juniora. Sadystyczny tyran *in spe* podjął się tej misji z największą radością, gdyż w swoim ciasnym sercu niewiele żywił miłości do Malachy'ego. Bracia McGuire od dzieciństwa różnili się usposobieniem, toteż nigdy nie zadzierzgnęła się między nimi nawet namiastka braterskiej więzi. Malachy nie rozumiał upodobania Toma Juniora do pubowych balang i pełnych agresji filmów o sztukach walki, Tom Junior natomiast nie mógł znieść tego, że młodszy brat ciągle ślęczy nad książkami albo przy teleskopie i uśmiecha się tajemniczo, jakby wiedział coś, o czym reszta rodziny nie ma pojęcia – jakby życie barowe było poniżej jego godności. Toma Juniora ciekawiło bardzo, jaką karę ojciec zgotował cholernemu bękartowi. Gnał więc przez Main Mall ze złośliwym chichotem. Malachy'ego znalazł w minimarkecie Faddena: chłopiec i właściciel sklepu wiedli ożywioną dysputę o pochodzeniu krasnoludków.

– Trzeba ci wiedzieć, młodzieńcze, że każdy kraj ma swoją własną rasę czarodziejskich ludzieńków. Nie istnieją dwa identyczne krasnoludki. Nigdzie – wywodził uczenie Danny, poprawiając okulary w grubych oprawkach na bulwiastym nosie.

– A w Iranie też są krasnoludki? – spytał Malachy z figlarnym błyskiem w oku.

– Rzecz jasna. Perskie peri. Śliczne maleńkie istotki ze skrzydełkami. Nie widać ich, naturalnie, gołym okiem – ale są. Lubią buszować po lasach w poszukiwaniu wonnych kwiatów.

– Krasnoludki! Powinienem był się domyślić, że to jest właśnie coś dla ciebie! – przerwał im z ordynarnym śmiechem Tom Junior, stając w drzwiach sklepu.

Malachy w milczeniu zgromił brata wzrokiem, zdziwiony, że Tom Junior zwraca się wprost do niego. Potrafili nie odzywać się do siebie tygodniami, a gdy konieczność wymagała, aby któryś przemówił, czynił to zazwyczaj Tom Junior, atakując brata jadowitą inwektywą.

– Ruszaj się, szczyłu. Tata czeka na ciebie w naszej piwiarni.

– Po co?

– Rusz dupę i posuwaj, ale już, gnojku! – ryknął Tom Junior.

Malachy odwrócił się do Danny’ego Faddena, skulonego za ustawioną na ladzie piramidą puszkowanego sosu Bisto.

– Przepraszam, panie Fadden. Niedługo wpadnę znowu, żeby posłuchać o perskich krasnoludkach.

– Kiedy będziesz mógł, chłopcze – szepnęła potulnie Danny.

Tom doholował Malachy’ego do samego lokalu, przez całą drogę mamrocząc obelgi. Rozwścieczony Thomas siedział w kantorku na tyłach baru.

– No, chłoptysiu! – Skrzywił się szyderczo i uniósł

z krzesła. – Co ja tu słyszę o tobie i arabskiej kurwie?

Tom Junior wyszczerzył się mimo woli za plecami Malachy’ego. Forsa McGuire’ów była już właściwie w jego kieszeni. Malachy nie ma co liczyć na żaden pub, jak tatulo w końcu wyciągnie kopyta.

– To Iranka, a nie Arabka. I nie nazywaj jej więcej kurwą, bo...

– Bo co mi zrobisz? Pamiętaj, do kogo mówisz, smarkaczu! I zapamiętaj sobie jeszcze coś: kurwa czy nie, ona jest naszym wrogiem. Tak samo jak jej czarniawe siostrunie. Kradną to, z czego ja ci dzień w dzień daję zreć, więc niech cię lepiej nie oglądam w ich pobliżu.

Thomas przysunął twarz tak blisko, że Malachy mógł policzyć popękane naczynia krwionośne na jego obwisłych, czerwonych jak burak policzkach. Chłopiec nie cofnął się jednak: stał twardo, z przymrużonymi oczami, nawet gdy ojciec wygrażał mu pięścią.

– Skąd to nagle zainteresowanie tym, co robię? Nie sądziłem, że w ogóle wiesz o moim istnieniu – odparował Malachy.

– Jeszcze jedno słowo i pożałujesz, żeś przyszedł na świat. Wyrażam się dość jasno?

Thomas bez wątpienia wyrażał się jasno, ale jego pogróżki nie przeszkodziły Malachy’emu spotykać się z Lejlą codziennie po szkole. Ta zuchwałość była kolejnym dowodem niezależności, którą Malachy wyróżniał się od dziecka. Wiedział, że przyszłość szykuje mu wspanialsze zadania niż ponura codzienna harówka w którymś z pubów



ojca. Zamierzał polować na Oriona z pustyni w Arizonie i oglądać taniec Kasjopei nad norweskimi fiordami. A wszystko to z Lejlą u boku.

Ze strony osiemnastolatka były to właściwie oświadczenia, które Lejla przyjęła z entuzjazmem, akceptując pełne przygód życie z Malachym. Żadne jednak nie wspomniało o wspólnych planach przy Bahar i Mardżan, którym dwa tygodnie po pierwszej randce Lejla przedstawiła ukochanego. Malachy, ubrany w sztywną, zapiętą pod szyję koszulę i szkolną marynarkę, przyszedł do Café Babilon po zamknięciu. Siedząc przy okrągłym kuchennym stole, doznawał zmiennych emocji: to peszyło go obojętne spojrzenie Bahar, to krzepiło gorące jedzenie, podawane przez Mardżan.

– Lejla mówiła nam, że jesteś wielbicielem astronomii. Chcesz studiować ten przedmiot po maturze? – Mardżan uśmiechnęła się zachęcająco do Malachy’ego, podając mu filiżankę herbaty ulung.

Malachy kiwnął głową.

– Najpierw jednak chciałbym zrobić sobie rok wolnego i popodróżować – odparł. – Pozwiedzać świat.

– Podróżować? – wtrąciła surowym tonem Bahar. Zerknęła na Malachy’ego z dezaprobatą i zacisnęła usta w kreseczkę.

Mardżan skarciła ją przelotnym spojrzeniem.

– Malachy jest zachwycony twoimi roślinami na podwórku, Mardżan – odezwała się Lejla, ratując sytuację.

– Tak, to wspaniały ogród – przyznał Malachy. –

Astronomia i ogrodnictwo właściwie niezbyt różnią się od siebie, gdy pomyśleć o tym głębiej. W sensie mistycznym.

Tą światłą uwagą wkradł się Malachy w serce Mardżan. Po kilku minutach stał już z Lejlą przy kuchennej wysepce, obierając cebulę i przesiewając kopy ryżu *basmati* na *czelou*, które zamierzała przyrządzić Mardżan. Chłopiec nie wiedział dotąd, że gotowanie to taka wielka frajda, skazany w domu na chrząstkowate wieprzowe parówki i zwiotczałe marchewki. Mardżan, niestrudzona ogrodniczka, z największą radością odpowiadała na jego pytania, dotyczące kapryśnej irlandzkiej gleby i leczniczych właściwości liści słodkiej bazylii. Spędzili razem cały wieczór, wyliczając podobieństwa między niebem a ziemią oraz dziwiąc się przebogatej palecie stworzenia. Bahar milczała przez cały czas wizyty chłopca, jednak nie umknęło niczyjej uwagi, że wstała aż dwa razy, żeby dolać mu herbaty.

Kiedy Malachy wyszedł, ze sporą porcją zulbii w szkolnej torbie, Lejla spojrzała pytająco na Bahar i Mardżan, niezdolna dłużej kryć zniecierpliwienie.

– No i co? Piękny, prawda? Podobał wam się?

– Wspaniały, Lejlo! Twój pierwszy chłopak! Co za oczy, mój Boże! Przypomina mi chłopca, którego sama znałam w szkole. Przed rewolucją, oczywiście. Tylko tamten miał oczy zielone – rzekła tęsknie Mardżan.

Przerwała szorowanie kuchennej wysepki i marzycielsko zapatrzyła się w przestrzeń, myśląc o Alim, zielonookim chłopcu z jej młodych lat. Podobne myśli

snuła zazwyczaj tylko w samotności, gdy udało jej się zaszyć za zamkniętymi drzwiami malutkiej niebieskiej łazienki. Sięgała wtedy na najwyższą z czterech półek apteczki, którą państwo Delmonico kupili w podróży poślubnej do Maroka, i ostrożnie zdejmowała małą mosiężną szkatułkę, rzeźbioną w piękne róże. Trzymała w niej kilka złotych drobiazgów i niemowlęce bransoletki tożsamości, które wszystkim trzem siostrom podarował ojciec. Różowa atłasowa wykładzina szkatułki powycierała się miejscami w drobne dziurki, w których utkwiły ziarenka piasku – pamiątki po ucieczce sióstr przez pustynię Daszt-e Lut.

Siedząc na zamkniętym sedesie, Mardżan wyjmowała spod biżuterii wypłowiałe zdjęcie. Pożółkła i zniszczona po brzegach fotografia zrobiona została podczas szkolnej wycieczki do Stambułu. Najstarsza klasa, do której uczęszczała Mardżan, przepłynęła promem przez Morze Czarne, docierając do Stambułu dokładnie o zachodzie słońca, które kryło się właśnie za Wielkim Krytym Bazarem. Ali oprowadził ją po labiryncie pasaży Wielkiego Bazaru, wśród natrętnych *bazari*, zachwalających swój towar, stłoczonych kramów z dywanami i namiotów pełnych miedzianych tac oraz mosiężnych samowarów. W samym centrum hali targowej stały budki jubilerskie, a w nich piętrzyły się klejnoty i drogie kamienie, czekające na gorliwych mężów, którzy kupią je i zaniosą do domu. I właśnie w jednym z tych mieniących się kosztownościami kramów, obok

wyłożonych na niskim stoliku kolorowych bransoletek za pół ceny, dostrzegła Mardżan mosiężną szkatułkę na biżuterię. Drobiazg ten nie odznaczał się niczym szczególnym, a jednak w jej oczach godzien był mieścić wszystkie skarby Trzech Króli. Gdy wracali promem do Iranu, Ali zaskoczył Mardżan, ofiarowując jej to właśnie puzderko, z prośbą, by obiecała, że zawsze będzie w nim nosiła jego zdjęcie, ukryte pod atlasową wykładziną.

Od dziesięciu lat Mardżan dotrzymywała danej wówczas obietnicy. Ilekroć było jej szczególnie ciężko, sięgała po wyblakłą fotografię, na której Ali siedzi w nylonowej koszuli i dzinsach dzwonach, a w oczach błyszczy mu tureckie słońce. Uśmiecha się, a jego piękne ciało tętni życiem. Ale to, oczywiście, przypominała sobie Mardżan, było przed rewolucją, zanim wszystko się zmieniło.

Nieświadoma tego, że obie siostry są świadkami jej czułego rozmarzenia, uśmiechnęła się melancholijnie do ścierki, którą wciąż trzymała w dłoni. Oprzytomniała dopiero na surowy głos Bahar, rumieniąc się ze wstydu za tę chwilę słabości.

– Może i nic mu nie brakuje – perorowała Bahar. – Ale to jeszcze nie oznacza, Lejlo, że dorostaś do zadawania się z chłopcami. Masz piętnaście lat, na litość boską! Jesteś jeszcze dzieckiem! – Bahar piasnęła o stół otwartymi dłońmi. – Poza tym mieszkamy tu zaledwie dwa miesiące. Z całą pewnością nie dość długo, by zacząć ufać miejscowym. – Odsunęła krzesło, wstała i ze znużeniem

powłokła się na górę. Lewą ręką ścisnęła skronie, a prawą balustradę schodów. – Idę się położyć. Teraz wszystko w twoich rękach, Mardżan.

– Nie przejmuj się – szepnęła Mardżan do Lejli, czując, że pesymizm Bahar przytłumił radość najmłodszej siostry. – Przejdzie jej to. Widziałaś, jak podsunęła Malachy’emu dokładkę bakławy, kiedy zdawało jej się, że nikt nie patrzy?

Lejla powoli pokiwała głową, lecz smutek Bahar był zaraźliwy – czuła w ustach jego metaliczny posmak. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo przygnębiło ją neurotyczne zachowanie Bahar, rozumiała przyczyny jej wielkiego niepokoju i nieufności.

– Mardżan?

– Tak, *dżun-e man*?

– Co się stało z tym chłopcem o zielonych oczach?

– Straciłam z nim kontakt po śmierci Baby, kiedy przeniosłyśmy się na południe. Tak czasem bywa.

Nie ma sensu mówić Lejli prawdy, nie w tej chwili, pomyślała Mardżan. Lepiej oszczędzić jej szczegółów.

Dżawid Aminpur zmarł wkrótce po klasowej wycieczce Mardżan do Stambułu. Zmarł raczej na samotność serca niż na zdiagnozowany przez lekarzy zawał. Nareszcie był szczęśliwy, spoczywając obok żony na cmentarzu Zahiroddole. Dla Mardżan jego śmierć oznaczała jednak cios ponad siły. Mając siedemnaście lat, została jedyną opiekunką czternastoletniej Bahar i malutkiej Lejli, która nie ukończyła jeszcze pięciu lat.

Cioteczna babka Homa, kuzynka Mitra i reszta najbliższych krewnych wyczuła złowrogi powiew nadciągającej rewolucji i w porę zbiegła do krainy wiecznego słońca i żyznych dolin – czyli do Kalifornii. Z powodu braku rodziny, która przygarnęłaby osieroczone dziewczynki, Mardżan zmuszona była sprzedać dom i przenieść się z siostrami do mieszkania na południowym skraju Teheranu, tam gdzie widok na dziewicze góry Elburs przesłania Nowe Miasto – głośną burdelową dzielnicę, położoną o parę przecznic dalej. Podjęła też pracę pomywaczki w słynnej restauracji Rajski Ptak w hotelu Hilton, i tam to właśnie, sprząając po kucharach, podpatrzyła tajemnice ich fachu. Minęły dwa lata, zanim znów spotkała się z Alim – tym razem w laboratorium Uniwersytetu Teherańskiego, gdzie odbywała studia magisterskie, biegając na zajęcia w przerwach między zmianami w restauracji.

Mardżan siedziała w laboratorium od pół godziny. Położywszy wyciągnięte nogi na stołek i wsparłszy brodę na rękach, wsłuchiwała się w chłopot miejskiego deszczu za oknem, usiłując nie zwracać uwagi na pośpieszne kiełkowanie preparatu na szkiełku pod mikroskopem. Parazytologia molekularna nie miała w sobie, jej zdaniem, nic wzniosłego. Mardżan nienawidziła rzeźnickich poczynań kanibalistycznych komórek, ich bezlitosnego okrucieństwa i tych niezliczonych szkiełek z preparatami. Początkowo chciała studiować botanikę, ale z botaniki nie zdołałaby wyżywić trzech osób ani kupić szkolnych

mundurków dla Bahar i Lejli.

Przymknęła lewe oko i ponownie spojrzała w mikroskop. Gdy uniosła głowę, napotkała pełen niedowierzania wzrok Alego. Stał w drzwiach z plikiem odbitek w dłoni. Włosy na skroniach miał krótko przystrzyżone i zapuścił brodę, której szorstkie muśnięcie poczuła Mardżan na policzku, tuląc się do jego piersi.

Wkrótce po nieoczekiwanym spotkaniu w uniwersyteckim laboratorium Ali przedstawił Mardżan rewolucyjnej grupie studentów, którzy tworzyli krąg jego przyjaciół. Rozpoczynali właśnie kolportaż swojej własnej podziemnej gazetki o nazwie „Głos”, drukowanej w piwnicy wuja Alego na drukarce rotacyjnej, pochodzącej z epoki szacha Rezy – czasów skrajnej głupoty i ignorancji, jak objaśnił dziewczynie Ali. A teraz ten idiota, syn Rezy, prowadzi kraj do nędzy i upadku. Przypisując sobie wyssane z palca koneksje z wielkimi zoroastriańskimi władcami imperium perskiego, ten kurdupel szach koronował się na „króla królów” i odarł naród perski z resztek godności. Podczas gdy większość jego poddanych wegetuje nędznie w glinianych chatkach, pozbawionych elektryczności i kanalizacji z prawdziwego zdarzenia, przymierając głodem na żebraczych pensjach, szach napycha swoje kufry amerykańską bronią, afrykańskimi diamentami i paryskimi futrami, płacąc za to wszystko życiodajnym dobrem Iranu – ropą naftową. Ale dość tego szabrownictwa, oświadczył Ali. A zaraz potem spytał, czy Mardżan chce przyłączyć się do niego, by iść

drogą wolności.

Mardżan przeraziła się początkowo radykalizmem Alego. Szczególnie zażenowana czuła się w obecności dziewcząt z jego grupy, których poszarzałe twarze i czarne czadory nie przystawały zupełnie do wyglądu reszty koleżanek z kampusu, hołdujących grubo nakładanej szmince i zwiewnym minispódniczkom. Mardżan nie pojmowała, jakim cudem czador ma zmienić społeczeństwo na lepsze – wkrótce jednak nauczyła się go akceptować jako jeden z symboli nowego Iranu, o którym wszyscy marzyli. Dla niej samej założenie czadora było posunięciem zbyt drastycznym, ale przestała nosić mini i malować się, a włosy zakrywała ciemną chustą, czyli *rusari*. Ali nie komentował tych zmian w jej wyglądzie. Kwitował je tylko swoim pięknym uśmiechem. Nigdy nie wywierał presji na Mardżan – zachęcał ją jedynie spojrzeniem swych niesamowitych oczu. Niebawem Mardżan zaangażowała się w sprawę po uszy, pisząc i drukując rewolucyjne artykuły dla „Głosu”, organizując cotygodniowe zebrania, malując transparenty i wypychając kukły Wujy Sama w podziemnej redakcji gazetki. W ogóle nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji, z nieuchronnej ceny takiego zaangażowania. A już niebawem jej świat miał roztrzaskać się i rozpułnąć, jak bezcenne żółtko przepiórczego jaja, rozbitego o skraj patelni.

Pewnego ranka, późną wiosną siedemdziesiątego ósmego roku, składała właśnie czcionkę na coraz bardziej zużytej prasie drukarskiej, gdy przez drzwi piwnicy



przebiło się ostrze siekiery. W mgnieniu oka z drzwi pozostały tylko drzazgi. Mardżan przypomniała sobie później własny odruch wdzięczności za to, że nie strzelano, gdyż biurko Alego stało tuż przy drzwiach i chłopak na pewno zostałby trafiony. Jakże naiwna była ta pochojna wdzięczność, ta dziecinna wiara. Mardżan rzuciła się do telefonu na swoim biurku, lecz kajdanki były szybsze. Zimny metal wpił się w jej miękkie ciało, ściągając ręce do tyłu. Stamtąd, dokąd ją zabierali, nie będzie mogła zadzwonić do domu.

Ktoś zawiązał jej oczy szorstką szmatą, zaciskając ciasno węzeł. Nim czarna szmata odcięła jej światło, zdążyła ujrzeć tył ogolonej głowy Alego. Nigdy więcej go nie zobaczyła.

Ośrodek Internowania Gohid. Labirynt niesprawiedliwości, o ścianach pokrytych wstydem. Tymczasowa placówka, gdzie tajna policja szacha dostarczała rewolucjonistów z przeznaczeniem albo na szybką śmierć, albo na wielodniowe tortury i ogłupiające przesłuchania. Jeśli, co nie daj Boże, trafisz kiedykolwiek do Gohid, ostrzegł ją kiedyś Ali, nie odzywaj się ani słowem. Nic im nie mów, Mardżan.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na karku Mardżan, która wciąż miała zawiązane oczy, i poprowadziła ją w głąb wielopoziomowych podziemi aresztu. Na dudniących głuchym echem podziemnych piętrach, gdzie trzymano rewolucjonistki, śmierdziało naftą i przypalaną skórą. Z daleka dobiegł przenikliwy skowyt bólu, którego echo

cichło powoli. Wokół rozbrzmiewał tupot licznych stóp, szcęk metalowych zawiasów, zgrzyt kluczy i trzaskanie drzwiami. Nagle czarna przepaska została gwałtownie zerwana z oczu Mardżan, a za jej plecami szcęknęła zamykana zasuwka żelaznych drzwi celi.

Źrenice Mardżan z wolna przywykały do brutalnego światła: pośrodku celi dyndała na łańcuchu goła żarówka, oświetlając chropawe brunatne ściany półkolistej klitki. W jednym kącie, na słomianej macie, siedziała w niedbałej pozie przedziwna, rozmamłana postać. W pierwszej chwili Mardżan pomyślała, że wzrok płata jej figle, gdyż wyzywająca kobieta była bliźniaczo podobna do jej kuzynki Mitry. A raczej można by ją wziąć za kuzynkę Mitrę, gdyby ta ostatnia spędziła większą część życia, kotłując się, z kim popadło, w łózkach zapchlonych burdeli.

Chanum Zangane okazała się dość jowialną prostytutką, której ciało, nabrzmiące w miejscach nagromadzenia tłuszczu, było poza tym chude jak u głodomora i całe fioletowoczarne od siniaków. Miała na sobie obszarpaną czarną bluzkę i czerwoną minispódniczkę, którą dla rozrywki oskubywała z cekinów.

– Witaj w pałacu! – zachichotała, poklepując betonową posadzkę obok siebie. – Siadaj, siadaj! – Ponieważ Mardżan ani drgnęła, prostytutka zwięzła oczy w szparki i wydeła usta. – Dla kogo pracujesz? Nie, nie mów, sama zgadnę: jesteś jedną z dziewczyn Bezzębego Taraneha, co?

Mardżan z trudem przełknęła ślinę i osunęła się na podłogę, zamykając oczy. Myśli kłębiły jej się w głowie, podsuwając obrazy sióstr oczekujących w mieszkaniu jej powrotu. Kto im ugotuje obiad? Co stanie się z Bahar i Lejlą, jeśli jej nie uda się wyrwać z tego straszego miejsca? Jak mogła być tak głupia, żeby zadawać się z Alim i jego kolegami? Podciągnęła kolana pod brodę, ukryła twarz w ramionach i rozszlochała się. Całe szczęście, że Chanum Zangane przerwała swój pijacki słowotok, pozwalając Mardżan w samotności opłakiwać własny los. Dziewczyna przepłakała tak większą część nocy, nie unosząc głowy ani na chwilę, aż do momentu, gdy drzwi celi rozwarły się ponownie.

Do środka weszła potężna kobieta o żółtawej cerze, ubrana w mundur polowy i ciężkie buty, które tupwały głośno o wilgotny beton. Zawiązała ciasno wełnianą przepaskę na oczach Mardżan, ziejąc z ust nieprzyjemnym zapachem smażonego mięsa podłej jakości i duszonej okry. Potem dwie pary muskularnych łap ujęły Mardżan pod ramiona, ściskając boleśnie, i powlokły zdewastowanym korytarzem, szorując jej stopami o poobtłukiwane kafle i strome schody, na jeszcze niższy, ciaśniejszy poziom lochów. Ledwie podsunięto jej stołek, chrypliwe męskie głosy zaatakowały Mardżan ze wszystkich stron, przesywając jej głowę i całe ciało.

*Jaka była twoja rola w gazecie? Kim jest ten Ali, dla którego pracujesz? Co zamierzaliście zrobić z całą tą propagandą?*

Dudniące głosy grzmiały echem z góry i z dołu, niczym trzęsienie ziemi.

*Twojego kochasia czeka długa, krwawa łaźnia, jak nie zaczniesz gadać. Słyszałaś? Twój redaktorek zgnije w tym więzieniu! Mówiliśmy ci już, jaki miał wypadek? Nie? Nie wiesz jeszcze, że się potknął o własne gównno i wybił sobie zafajdane oko? A wszystko to przez twoje obrzydliwe sztuczki. Dobrze wiemy, co robiłaś!*

Zwierzęcy rechot i nieznośna duchota. Sapanie i smród potu. Ktoś dotknął jej piersi, obejmując je łapskami i ściskając sutki tak boleśnie, że Mardżan nie wytrzymała i przerwała milczenie bolesnym okrzykiem.

*Mów, co wolisz, całusy swojego alfonsa czy tę jego kiełbasę, którą tak regularnie się objadasz? Znamy twój prawdziwy zawód, Chanum Żurnalistko!*

Zachowała milczenie wśród tych ryków, posłuszna radzie Alego. Nie odzywaj się, Mardżan, upominała sama siebie. Ani słowa o Alim, o „Głosie” i, na litość boską, ani słowa o Bahar i Lejli, które czekają w mieszkaniu całkiem same. Ta sama godzinna rutyna powtarzała się co dzień: brutalne obmacywanie i pytania bez odpowiedzi, po których głosy wrzucały ją z powrotem do celi, nie osiągnąwszy zamierzonych skutków. Nawet głódówka – pozbawienie jej dziennej racji wody, chleba *lawasz* i stęchłego owczego sera – nie zmusiła Mardżan do mówienia.

– Chanum Aminpur, weź ode mnie ten kawałek chleba. No, bierz, nie wstydź się! Ja mam jeszcze zapas tłuszczu,

wytrzymam głód, wierz mi.

Zleżała porcja lawaszu pokruszyła się w dłoni Chanum Zangane. Gdy Mardżan przyjęła wreszcie racjonowany posiłek, sterana prostytutka oparła się o mur celi i opowiedziała współtowarzyszce, jak doszło do jej aresztowania przez tajną policję szacha.

– Te dranie myślą, że ja coś wiem o Komitecie. Ja! A co ja się znam na polityce? Jestem prostą kurwą ze zdrowymi zębami!

Mardżan słyszała już o sławetnym Komitecie, bojówkarskiej mniejszości, która przypuściła desant na kraj dosłownie z dnia na dzień, sprowadzając ze sobą tłum niedożywionych brodaczy i głód zemsty na kapryśnym szachu i jego poplecznikach. Ta obszarpana banda islamskich mścicieli o skłonnościach fundamentalistycznych słuchała tylko Męża w Turbanie, wygnanego ajatollaha, który znał odpowiedzi na wszystkie pytania – i w imię Boga terroryzowała miejscową ludność. Chociaż Komitet był najpotężniejszą organizacją, powstałą w minionym roku, utrzymywał luźne związki z większością ruchów rewolucyjnych, a zwłaszcza z odłamek studenckim. Z przyjaciółmi Alego, wspierającymi „Głos”. Komitet.

– Nie martw się – pocieszała ją Chanum Zangane, ruchem ufarbowanej henną głowy wskazując drzwi celi. – Wyjdiesz stąd, nim się obejrzysz. Tajna policja nie ma cierpliwości do kobiet. Im zależy na mężczyznach.

Mardżan jakimś sposobem już wtedy wiedziała, że nie

zobaczy więcej Alego. Tyle popełniła błędów, zaangażowała się w sprawę, której w istocie ani nie rozumiała, ani nie uważała za swoją. I w imię czego? Miłości? O to chodziło? Jak mogła przehandlować bezpieczeństwo za posmak romansu?

Zanim po czterech dniach zwolnili ją z Gohid i pogardliwym kopniakiem wyrzucili z nieoznakowanej furgonetki, Mardżan wymyśliła sobie usprawiedliwienie nieobecności. Powie Bahar i Lejli, że nagły wypadek – na przykład pożar w kuchni restauracji Rajski Ptak – uniemożliwił jej telefon do domu. Została ranna – tylko lekko poparzona, nic wielkiego – i ostatnie cztery dni spędziła na rekonwalescencji w szpitalu. A potem zabierze siostry i uciekną. Wyjadą do Ameryki, do Kalifornii. Za wszelką cenę muszą się tam dostać. Trzeba wszystko sprzedać i rozpocząć nowe życie, z dala od tej rewolucji, tej mordowni. Wyjechać i już!

Niestety, było już za późno. Zanim Mardżan dotarła do domu, rozpętała się rewolucja.

„Chanum Aminpur, weź ode mnie ten kawałek chleba”.

Minęło osiem lat, a na wspomnienie życzliwego gestu starej prostytutki Mardżan czuła niewytłumaczalny głód i burczało jej w brzuchu. A chociaż przepadała za wonią piekącego się lawaszu, nie potrafiłaby zaprzeczyć, że kiedy wałkowała ciasto na nową porcję, zawsze nachodził ją lęk.

Mardżan stała pochylona nad drewnianym kuchennym blatem roboczym, a łagodne słońce poranka oświetlało jej

umączone dłonie, które wyrabiały właśnie twarde ciasto. Chyba popełniam dzisiaj jakiś błąd w sztuce, pomyślała sobie. Bo pomimo energicznego zagniatania biała mączno-drożdżowa masa wciąż pozostawiała lepkie grudki między palcami.

– Halo? Jest tam kto? – zabrzmiał z tyłu śpiewny głos.

Mardżan aż podskoczyła. Niezamknięte na zasuwę drzwi od podwórka zaskrzypiały, uchylając się powoli: stała w nich Fiona Athey z wielce skruszoną miną. Pod pachą niosła plik ulotek reklamowych.

– Mam nadzieję, że nie obudziłam pani. Może lepiej przyjdę innym razem. Przepraszam.

Już miała odejść, kiedy Mardżan zaproponowała:

– Nie, proszę zostać. Jestem na nogach od piątej. Piekę świeży chleb. Może pani siądzie i napije się herbaty?

– Nie chcę sprawiać kłopotu.

– To żaden kłopot. Proszę. Chętnie zrobię sobie przerwę.

– No dobrze. Ale tylko mała herbatka i dam pani spokój – zastrzegła się Fiona, zamykając za sobą drzwi.

Mardżan wytarła ręce ścierką w kratkę, wrzuciła zagniecione ciasto z powrotem do miski i przykryła czystą gazą. Ucieszyła się, że ktoś uwolni ją od wspomnień, choćby na chwilę. Fiona wybrała sobie jeden ze stolików przy oknie, a tymczasem Mardżan odmierzyła trzy kopiaste łyżki herbaty darjeeling do ładnego żółtego imbryka. Samowar już bulgotał wesoło, gdy przestawiła dzwignię w dół, uwalniając strumień wrzątku. Fiona Athey podczas

swoich teatralnych występów w Galway miała kontakt z wieloma wędrownymi zespołami z Europy Wschodniej, toteż widok tego lśniącego, dużego naczynia do gotowania wody nie był jej obcy.

– To rosyjski samowar, prawda?

– Tak. Skąd pani wie? – zdumiała się Mardzan.

– Nie zawsze mieszkałam w Ballinacroagh. Byłam kiedyś aktorką. Poznałam w swoim czasie mnóstwo artystów scenicznych z całego świata – odparła Fiona z dumnym uśmiechem.

– Coś niesłychanego! A występowała pani gdzieś ostatnio? – spytała Mardzan, układając na półmisku słoniowe uszy, zulię i delicje migdałowe.

– Przerwałam występy tuż po urodzeniu Emer. Wówczas zdawało mi się, że naprawdę chcę rzucić teatr, ale dziś wiem, że to był błąd. Zmarnowałam tyle lat, tyle pasji życiowych poświęciłam, wszystko dla jednego mężczyzny – rzekła Fiona z westchnieniem, po czym opowiedziała Mardzan o romansie z Gerhardem, który zostawił ją na lodzie.

– Tak, to nie do wiary, ile gotowe jesteśmy uczynić dla mężczyzn – Mardzan się zamyśliła.

– Była pani kiedyś zamężna, Mardzan? Nie jest to, mam nadzieję, zbyt osobiste pytanie?

– Ja? Nie, nigdy nie byłam mężatką. Nie zmieściłabym małżeństwa w planie codziennych obowiązków. – Uśmiechnęła się gorzko i zażenowana wzruszyła ramionami.



– O, jestem pewna, że nie zabraknie chętnych, kiedy tylko się pani zdecyduje. A tymczasem proszę spojrzeć na swoje osiągnięcia! Ta kawiarnia, to menu – to przecież fantastyczne. Nasze miasteczko nie wie jeszcze, jakie miało szczęście! – rozentuzjasmowała się Fiona. Sięgnęła przez stolik i serdecznie poklepała dłoń rozmówcy.

– Dziękuję. To dla mnie bardzo ważne – odparła Mardzan, zdjęta nagłym odruchem wdzięczności wobec życzliwej fryzjerki. Postanowiła sobie, że odtąd będzie częściej wychodzić z kuchni. – Ale czy powie mi pani wreszcie, co to za ulotki?

– Te tutaj? – Fiona lekceważąco machnęła ręką na plik arkusików, lecz nienaturalnie wysoki głos zdradził jej prawdziwe emocje. – Prawdę mówiąc, jestem tym wszystkim lekko przerażona. Już dawno nie próbowałam swoich sił na scenie.

– Wystawia pani sztukę?

Fiona pokiwała głową.

– Pomyślałam sobie, że to w sam raz na Dzień Świętego Patryka – rzekła, wręczając Mardzan jasnofioletową ulotkę z grubego stosu. – Coś do śmiechu. – Zachichotała nerwowo.

Mardzan uniosła kartkę i odczytała ozdobny nadruk w kolorze fuksji:

TEATR ZZA GÓRY  
*przedstawia*  
*Owoce pracy*  
*sztukę w dwóch aktach*

*ojca FERGALA MAHONEYA  
chętnych do udziału w spektaklu  
zapraszamy na przesłuchania:  
środa i czwartek, godz. 15.00  
nowa sala gimnastyczna  
szkoły średniej Świętego Józefa  
BALLINACROAGH*

– Ojciec Mahoney napisał sztukę? – wykrzyknęła zdumiona Mardżan.

– Sama się zdziwiłam. Ale widać po tekście, że scena nie jest mu obca. Proszę sobie wyobrazić, że był kiedyś komikiem! Sam mi to niedawno powiedział przez telefon.

Ojciec Fergal Mahoney rzeczywiście zdążył nieźle otrząsać się ze sceną przed wstąpieniem do seminarium. Prawdę mówiąc, zapowiadał się na gwiazdę komedii. Za młodu obsługiwał wszystkie lokalne uroczystości, festiwale i jarmarki rodzinnego miasteczka Listowel, doskonaląc się w repertuarze parodystycznym i opowiadaniu pieprzonych dowcipów. W końcu tak zasłynął jako komik, że mając lat dwadzieścia, prowadził konferansjerkę przed występami niezrównanego Jimmy’ego O’Dea w słynnym dublińskim Gaiety Theatre. Jego numer z toaletową etykietą brytyjskiej rodziny królewskiej wprawiał widownię w paroksyzmy śmiechu, ale tego, co rzeczywiście niestosowne, ojciec Fergal uczył się dopiero za kulisami. Po przedstawieniach nie tylko bankietował w gronie trzeciorzędnych znakomitości i lawiranckich polityków, lecz także pozwalał sobie na

intymne chwile z wybitnie wszechstronną portugalską artystką imieniem Pepita. Krótko mówiąc, jak na wiejskiego chłopaka z hrabstwa Kerry, wiódł rajskie życie. I ani mu się śniło, że już w rok później będzie zgłębiał nauki sakramentalne i oddawał się nieustannej lekturze Pięcioksięgu w seminarium duchownym w Tipperary.

Pewnej mglistej jesiennej nocy roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, po seansie krotochwili i wygłupów w Zakutej Pale – matce wszystkich dublińskich pubów, Fergal Mahoney kroczył sobie spokojnie przez most O'Connella, wracając do swojej szykownej kawalerki, gdy znienacka dosięgnął go los. Fergal tak był zaabsorbowany wspomnianiem żartów, którymi minionego wieczoru sypał ze sceny, eksplozji śmiechu i gromkiego aplauzu widowni oraz gardłowych miłosnych jęków Pepity w jego rzęsiście oświetlonej garderobie po spektaklu, że nie zauważył tuż pod błyszczącymi lakierkami zgniłej skórki od banana. Jak wystrzelony z katapulty, przesadził wspaniałą kamienną balustradę z epoki króla Jerzego i poleciał na łeb na szyję ponad zanieczyszczone wody rzeki Liffey.

Czas stanął w miejscu. Fergal nie słyszał nic, gdy jego pulchna postać koziołkowała w czeluść dublińskiej nocy. Przez najdłuższe pięć sekund swego życia otoczony był kompletną ciszą. A gdy już zdawało mu się, że przekoziółkuje tak aż na szczyty niebosiężnych Himalajów, jego powłoka cielesna poniechała nagle komiksowych

drwin z prawa ciężenia i runęła jak kamień ku czerniejącej w dole rzece. Chwytając się ostatniej deski ratunku, Fergal zacisnął oczy i jął modlić się gorliwie a pośpiesznie o boską interwencję. Błagał Boga o wybawienie; obiecywał Mu, że uczyni wszystko, niech jemu tylko dane będzie spojrzeć jeszcze raz w promienne liczko słodkiej Pepity. Nie spodziewał się, że prośba jego zostanie wysłuchana, lecz nie ustawał w modlitwie i, jak wszyscy nawróceni w ostatniej chwili, z nadzieją czekał na znak.

Młody komik nie zginął owej nocy. Nie skąpał się nawet w obrzydliwej brei rzeki Liffey. Życie Fergala zostało oszczędzone, a modlitwa jego wysłuchana, gdy wyrznął pełnym whisky brzuchem o dno najsolidniejszej z rzecznych jednostek pływających – małego, lecz krzepkiego holownika. Minęła dobra minuta, nim dotarło do świadomości Fergala, że żyje i że jego upadek zamortyzowany został przez spiętrzony na holowniku ładunek: kartony zabezpieczonych bąbelkową folią różańców gwatemalskich ze srebrnym krzyżykiem.

Fergal Mahoney umiał poznać się na znaku. Oto sam Najwyższy udzielił mu drugiej szansy – należało więc spełnić daną Mu obietnicę. Pożegnawszy zapłakaną Pepitę, Fergal już nazajutrz wyruszył do najlepszego seminarium w Tipperary.

I aż do chwili gdy skosztował abgusztu Mardżan, ojciec Mahoney nie pofolgował ani razu dawnym komediowym ambicjom. Lecz po miesięcznych zmaganiach z własnym sumieniem odkrył wreszcie istotę dziwnego

entuzjazmu, który elektryzował całe jego ciało po każdorazowym spożyciu jagnięcego smakołyku. Pewnego popołudnia, dojadłszy lunch naprędce, ojczulek zerwał się od stołu, pognął na plebanię, wyciągnął starą elektryczną maszynę do pisania i zaczął tworzyć. Nie przerwał na tradycyjną czwartkową duszoną szynkę ze szczypiorkiem pani Boylan, a gdy przysła niedziela, omal nie przegapił chrzcin bliźniąt Henleyów – tak dalece pochłonoło go nowe przedsięwzięcie. Gdy po tygodniu wstał wreszcie od maszyny, miał przed sobą dwuaktową sztukę, poświęconą rozkoszom duszy i ciała.

– A ja zgodziłam się ją wyreżyserować! – wykrztusiła przez ściśnięte gardło Fiona, trzepocząc rzęsami z emocji.

– To wspaniale, gratulacje dla was obojga! Wezmę dwie ulotki, jeśli można. Jedną przykleję w oknie, a drugą na drzwiach, żeby nikt nie przegapił atrakcji. Resztę chce pani pewnie roznieść po ulicy?

– No właśnie. Postanowiłam zrobić to z samego rana, zanim otworzę salon. Trochę też po to, żeby zdążyć, zanim te cholerne plotkary wstaną i rozpuszczą swoje języki.

Fiona uściśnęła przyjacielsko ramię Mardżan i pomachała jej od progu, zanim zamknęła za sobą frontowe drzwi kawiarni.

Zebrawszy ze stołu resztki zaimprovizowanego śniadania, Mardżan wracała do kuchni całkiem nowym, dziarskim krokiem. Nie przypuszczała nawet, że rozmowa z Fioną tak dobrze jej zrobi. Wzmocnił ją jakoś ten pozytywny kontakt z nową znajomą. Czowała się lżej, jakby

ktoś zdjął jej z piersi gniotący ciężar.

Powoli uniosła gazę okrywającą misę z ciastem na *lawasz*. Pulchna biała masa wyrosła pod jej nieobecność i zdawało się, że nie waży prawie nic, gdy Mardżan wzięła ją w dłonie. Zagniatając ciasto ponownie, nie mogła się nadziwić, o ile łatwiej poddawało się tym razem jej palcom. Pomyślała sobie, że może i ona sama jest trochę jak to ciasto: trzeba dać jej trochę czasu, ciepła i sprzyjającego klimatu, a kto wie, co jeszcze pokaże.

## Torszi – marynata

2 duże bakłażany, pokrajane w kostkę  
½ kg drobnych ogórków, pokrajanych w kostkę  
½ kg marchewki, pokrajanej w kostkę  
2 duże białe ziemniaki, pokrajane w kostkę  
8 ząbków czosnku, bez łupiny  
3 szklanki różyczek kalafiora  
½ kg perłowych cebulek, bez łupiny  
½ kg zielonego grochu  
3½ litra białego octu winnego  
4 szklanki posiekanych świeżych ziół (pietruszka, bazylia,  
estragon, mięta, kolendra)  
2 łyżki soli  
2 łyżeczki mielonego czarnego pieprzu  
½ łyżeczki pieprzu cayenne  
mieszanka przypraw do torszi (½ łyżeczki mielonej kurkumy, 1  
łyżka mielonego kminku, 1 łyżeczka mielonego szafranu, 1  
łyżeczka mielonego kardamonu, 1 łyżeczka mielonego  
cynamonu)

Warzywa opłukać i starannie osuszyć papierowym ręcznikiem. Połączyć składniki w dużej misie. Mieszankę przełożyć do wysterylizowanych słoików. Hermetycznie zamknięte słoiki odstawić w suche, chłodne miejsce na co najmniej miesiąc.

W odróżnieniu od typowych konserwowanych ogórków, które znaleźć można w każdym niemal zachodnim supermarkecie, podrasowanych smakowo i pokrajanych w plasterki lub słupki – warzywne *torszi* miewa opakowania różnych rozmiarów i kształtów, a także rozmaite kolory. Na perskich stołach lub na czcigodnej połaci *sofre* – ręcznie szytego obrusu, który od biesiadujących wymaga pewnej gibkości, gdyż zasiąść przy nim muszą po turecku – *torszi* jest niemal zawsze pierwszym serwowanym daniem. Najpopularniejsza jego odmiana to mieszanka świeżych warzyw z ziołami, konserwowana wysokiej jakości białym octem winnym, lecz lista odmian *torszi* sięga aż po mango w słodkiej owocowo-octowej zalewie, marynowane daktyle, bakłazany i mieszankę owocową – wszystko konserwowane z dodatkiem bogatego zestawu przypraw i szczypty soli. Nieodzowne przy każdym niemal perskim posiłku, *torszi* jest nie tylko uzupełnieniem wszystkich dań, lecz także słono-kwaśną przestrogą dla podniebienia, aby żadnego smaku nie brało za oczywistość.

Bahar otrzymała zadanie przyrządzenia dwudziestu słoików *torszi*, które Mardżan obiecała paniom z Komitetu Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka, szykującym komunalny stół. Chociaż sama była wielką amatorką marynowanego kalafiora, to nie przepadała za



wszedobylską wonią octu, która ułatwiała się ze skóry dopiero po paru prysznicach. Osuszywszy starannie umyte warzywa, wrzuciła je do wielkiej misy, na której dnie czekała już sól, pieprz, pieprz cayenne i mieszanka przypraw *torszi*. Wreszcie napełniła gotowym *torszi* sześć słoików, zakręcając każdy mocno, aż poczuła pulsowanie krwi w swych mocarnych przedramionach.

Silne mięśnie przysłużyły jej się już nieraz, zwłaszcza kiedy pracowała jako pielęgniarka w Green Acres – domu opieki dla emerytów w Lewisham. Niejednego leciwego, krnąbrnego Anglika włoczyła dzięki nim z powrotem w szpitalną kaczkę, gdy koniecznie chciał jej demonstrować swoją przywiedłą kuśkę. Rządziła silną ręką, ale serce jej pękało na widok żalonych manifestacji męskości ze strony podstarzałych pacjentów. Pamiętała też, że właśnie te symptomy wędnącego życia kryją się za drugą, mniej apetyczną definicją słowa *torszi*.

W świetle tradycji, która zalecała zamążpójście w wieku lat piętnastu, a rozkwit macierzyństwa około dwudziestki, przekroczenie dwudziestego piątego roku życia było sygnałem staropanieństwa. W rezultacie wiele niezamężnych Iranek piętnowano budzącym grozę słowem na „t”. Naturalnie, pod koniec dwudziestego stulecia wiek zawierania małżeństw w Iranie podniósł się znacząco, niemniej jednak słowo *torszi* na określenie panny, która przekroczyła umowną datę przydatności do konsumpcji i mogła już tylko ścierać kurze z półek miłości, wciąż kursowało w potocznym plotkarskim obiegu. Bahar jako

nastolatce nie przyszłoby do głowy, że mając lat dwadzieścia cztery będzie ponownie osobą stanu wolnego, w dodatku całkiem zadowoloną z dalszej perspektywy samotności. Życie w pojedynkę było, jej zdaniem, ze wszech miar satysfakcjonujące. Niech sobie Lejla ma swojego chłopaka, a Mardżan – no cóż, Mardżan wystarczają sadzonki, kuchnia i kawiarnia, ale kto wie, czy na horyzoncie nie czai się już jakiś bladolicy Irlandczyk, który lubi dobrze podjeść. Za to ona, Bahar, bardzo chętnie dożyje swoich dni w samotności i, daj Boże, świętym spokojowi. W jej życiu nie ma już miejsca dla mężczyzny – nigdy więcej.

Kręcąc głową, Bahar opasała wcięcie każdego słoika *torszi* lśniącą fioletową wstążką, zawiązaną w dumnie sterczącą kokardkę. O nie, jej etykiетка *torszi* na pewno nie zawstydzi, tak sobie postanowiła. Warzywa w *torszi*, mimo agresywności octu, potrafiły jakoś przetrwać czas marynowania. Z nią będzie tak samo: przetrwa i nie ulęknie się niczego.

Napełnione i udekorowane słoiki ustawiła Bahar rzędem pod schodami, gdzie miały drzemać i nabierać charakterystycznego smaczku, w miarę jak kwaśny ocet łagodzić będzie pikanterię cayenne i czarnuszki. Do lipcowego Dnia Tańca Świętego Patryka *torszi* zdąży się zamarynować jak należy.

– Właśnie przyszła pani Delmonico. Zamawia zupę z soczewicy, *hummus*, grillowanego bakłażana w cieście i imbryczek bergamoty. A na deser bakławę i dwa kawałki

zulbii – oznajmiła Lejla, wpadając do nagrzanej kuchni. Karteczkę z zamówieniem Estelle przyklepała dłonią na kuchennym blacie roboczym. – Mogę już wyjść, Mardżan? Pani Athey ma dziś po południu wywiesić przy sekretariacie szkoły wyniki przesłuchań.

– Idź, ale szybko wracaj. Pod wieczór może nam się tu zwalić tłum gości, jak w ubiegłą sobotę – odparła Mardżan.

– Dzięki! – Lejla wybiegła z domu kuchennymi drzwiami.

– To pewnie ja teraz muszę iść na salę – skonstatowała kwaśno Bahar. – Wiadomo przecież, że wcześniej niż za godzinę na pewno nie wróci.

– Nie miej jej tego za złe, Bahar. To przedstawienie jest dla niej bardzo ważne. Kandydowała przecież do głównej roli. Fiona mówi, że była naprawdę dobra.

– Ciekawe, czemu wcale mnie to nie dziwi – burknęła Bahar, okazując przesadne niezadowolenie. W głębi serca była nawet trochę dumna z Lejli. Najmłodsza siostra objawiła spory talent do nawiązywania przyjaźni w tym nowym miasteczku, podczas gdy jej, Bahar, sztuka ta nie udawała się nigdy i nigdzie. Nawiązanie przyjaźni wymagało otwarcia się na obcą osobę, dzielenia z nią sekretów i emocji – a w tej roli Bahar nie widziała się zupełnie. Za czasów Green Acres jej rezerwa trzymała większość koleżanek pielęgniarek na dystans; Bahar nigdy nie była zapraszana na popołudniowego drinka w pubie U Doktora Watsona, a w przerwach na lunch, zamiast

przesiadująca z koleżankami w kafeterii i wymieniać uwagi o nieznośnych pacjentach, buszowała po sklepach ze starzyzną, ciągnących się szpalerem wzdłuż pobliskiej Aldergate Street. Grzebanie w zakurzonych, niegdyś cennych dla kogoś przedmiotach, sprawiało jej swoistą ulgę, a każdy okazjnie nabyty drobiazg – czy to ręcznie tkana narzuta z Toskanii, czy pokancerowany, lecz nadal śliczny miedziany imbryczek – oddalał jej myśli od dokuczliwej samotności.

Z bloczkiem zamówień w ręku podreptała Bahar do wypełnionej kakofonią głosów sali, z rezygnacją godząc się na kolejne popołudnie obsługiwania gości w pojedynkę. Po chwili jednak wpadła z powrotem do kuchni, wyraźnie czymś przejęta.

– Chodź tam prędko, Mardżan. Pani Delmonico nie najlepiej wygląda. Poczzerwieniała na twarzy i strasznie się poci.

Mardżan porzuciła sałatkę ze smażonego kurczaka, którą akurat przyrządzała dla bliźniaków Donnelly, i pobiegła do sali. Już z daleka widać było, że ze starszą panią jest niedobrze.

Od dnia, w którym przyniosła nowym lokatorom swoje słynne *osso buco*, Estelle Delmonico była jedną z najwierniejszych klientek Café Babilon. I chociaż przy sąsiednich stolikach sporo pań w jej wieku delektowało się codziennymi porcjami nasączonych wodą różaną przysmaków, Estelle zawsze spożywała podwieczorek w samotności. Przymykała oczy, zlizywała słodki pot znad

górną wargi i dopiero wtedy zaczynała popijać swoją ulubioną herbatę z bergamoty, przegryzając słoniowym uchem, czasami dwoma. Bywało, że włoska wdówka nuciała sobie przy tym cicho jakąś arię z bogatego repertuaru pieśni, które jej Luigi wyśpiewywał był z całą mocą swych potężnych płuc przy kuchennym blacie, skrobiąc na wiórki bryłę czarnej czekolady.

Mardzan czekała zazwyczaj, aż Estelle dopije pierwszą filiżankę, i dosiadała się do niej na pogawędkę. Nawet w tłocznej porze lunchu znalazła zawsze parę minut, aby wyrwać się z kuchennego chaosu i przywitać korpulentną staruszkę o coraz słabszym zdrowiu, ale końskim apetycie. Nigdy jednak nie obserwowała jej przez dłuższy czas. Dopiero teraz, patrząc na samotną postać przy stoliku, uświadomiła sobie, że dobrowolne odosobnienie Estelle Delmonico nie jest, być może, tak do końca skutkiem wolnego wyboru.

Panią Delmonico zdradziły oczy. Co pół minuty mniej więcej rzucała szybkie spojrzenie na długi, zbiorowy stół, przy którym zasiadały członkinie Komitetu Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka – natychmiast przenosiła wzrok z powrotem na łyżkę. Potem zaś osuszała obrzękłe nozdrza haftowaną jedwabną chusteczką, wyjętą z małej torebki z lakierowanej skóry. Panie z komitetu były zbyt zaferowane dyskusją o świątecznej dekoracji (czy pozostać przy tradycyjnych trzech kolorach, czy też może wprowadzić lekki akcent karaibski za pomocą takich barw, jak terakota, błękit Pacyfiku i róż hortensji?), aby

zauważyć, że są obserwowane. Nie dostrzegły – w przeciwieństwie do Mardżan – niemych błagań Estelle, nie odczytały znaków jej rozpaczliwej samotności.

Mardżan pomyślała, że można przecież podpowiedzieć Marie Brennan, aby zaprosiła Włoszkę na przyszłotygodniowe zebranie komitetu. Dodatkowa para rąk przyda się na pewno organizatorkom Dnia Tańca do realizacji wszystkich planowanych atrakcji. A Estelle, rozumowała dalej Mardżan, z chwilą gdy poczuje, że jest potrzebna, wyzbędzie się nieśmiałości w nawiązywaniu kontaktów z otoczeniem. Zadowolona z własnego pomysłu, podeszła ochoczo do stolika Estelle i już miała przywitać sympatyczną właścicielkę lokalu, gdy uderzył ją dziwny wygląd staruszki. Jej twarz purpurowiała niebezpiecznie z sekundy na sekundę, a po policzkach spływał ciurkiem pot, którego nie nadążała ocierać. Zaniepokojona Mardżan przyjrzała się bliżej poczerwieniałemu obliczu Estelle i stwierdziła, że rzekomy pot to w istocie łzy. Wielkie, grube łzy. Zanim zdążyła do niej doskoczyć, włoska wdowa runęła na podłogę, wypuszczając z dłoni zmiętą różę, którą przyciskała do zdyszanej piersi.

Ciężka melancholia rozgościła się w Café Babilon na całe popołudnie.

Bliźniacy Donnelly pomogli Mardżan dźwignąć z ziemi bezwładną, omdlałą Estelle i przenieść ją do tylnej części zielonej hipisowskiej furgonetki. Ojciec Mahoney, który wpadł akurat do kawiarni na kanapkę z jagnięciną i ogórkiem, wgramolił się tam również, a przycupnąwszy

obok zwiotczonego ciała Estelle, ścisnął jej bezwolne dłonie, modląc się gorąco przez cały czas szaleńczej jazdy do Szpitala Ogólnego Mayo w Castlebar. Reszta gości opuściła niebawem kawiarnię i rozpięchła się jak przed burzą, porzucając resztki niedojedzonej bakławy i niedopitych drinków ze słodkim syropem.

Bahar zamknęła lokal i wzięła się do sprzątnięcia różanych płatków spod stolika Estelle. Nie zawahałaby się przyznać, że właśnie ją szczególnie poruszyło zasłabnięcie leciwej wdowy. Potwierdziło się, że wcale nie jest tak różowo, jak to wmawiała siostrze Mardżan. Byle incydent mógł je z powrotem wykorzenić, zamieniając sukces działalności kawiarni w odległe wspomnienie. No bo co sobie teraz pomyślą wszyscy stali bywalcy? Pewnie dojdą do wniosku, że podawane tu potrawy są niestrawne, niezdrowe, a na dodatek przyrządzane w kuchni pełnej szurów i innej zarazy. I że Estelle na pewno się czymś struła – dlatego padła jak nieżywa.

Mardżan i Lejla, omamione własnymi fantazjami, wielu rzeczy nie dostrzegają, utyskiwała w duchu Bahar, ale ona nie jest ślepa i widzi, jak patrzą na nią ludzie, gdy tylko przekroczy próg kawiarni. Jak mogłaby nie zauważyć, że grupki miejscowych milkną nagle, przerywając rozmowy, kiedy ich mija? Tak się zdarzyło parę dni temu u rzeźnika, gdzie poszła zapłacić za cotygodniową dostawę jagnięciny i mielonego mięsa do kebabów szisz. Podejrzliwe plotkary stojące przy gablocie z boczkiem lustrowały ją krótkowzrocznymi oczkami od

stóp do głów, gdy zdawało im się, że tego nie widzi. Trzeba je było w rewanzu spiorunować wzrokiem, pomyślała poniewczasie Bahar. Przywołać stare pudła do porządku. A co ona zrobiła? Spuściła głowę i pośpiesznie zrejterowała ze sklepu, szczęśliwa, że wymknęła się z bezlitosnej obławy wrogich spojrzeń.

A czego innego należało się spodziewać po takiej zabitej deskami mieścinie? Kto wie, kiedy teraz stali bywalcy odważą się wrócić do kawiarni – jeśli w ogóle wrócą. Bahar westchnęła, zgarniając kupkę okruchów na śmietniczkę.

Szczerze mówiąc, dopóki było z czego żyć, dopóki jakoś się ciągnęło w tym sennym miasteczku, Bahar nie dbała specjalnie ani o jego rozmiar, ani o uprzedzenia. Najważniejsze, żeby nikt z zewnątrz, spoza kamienistych granic tej zachodniej mieściny, nie wiedział, że siostry Aminpur są tutaj. Tylko to się liczyło.

Estelle Delmonico ocknęła się w szpitalnym łóżku, odwodniona i zziębnięta po przebytych udarze i zapaści, które spowodowały omdlenie. Tak przynajmniej zdiagnozował jej stan lekarz, na podstawie dziwnej barwy skóry i urywanego oddechu, gdy Mardzan z ojcem Mahoneyem dowieźli chorą do Szpitala Mayo. Po godzinie, odżywiona jak należy przez zbawienną kroplówkę, Włoszka zdradziła im jednak rzeczywisty powód swej nagłej słabości.

– Zlitujcie się! Jaki znów udar! Nie ma przecież upału na dworze! – Urwała na moment, a jej wzrok powędrował



ku szpitalnemu oknu, za którym roztaczał się widok zielono-brązowych wzgórz, falujących pod szarymi, rozpedzonymi chmurami. – Powiem wam prawdę. Dzisiaj ja i mój Luigi obchodzimy pięćdziesiątą rocznicę ślubu. No i smutno mi się zrobiło, rozumiecie?

Zamilkła, nagle świadoma obecności ojca Mahoneya i potakującej skwapliwie Mardzan – i poczerwieniała na nowo. Przez całe czterdzieści pięć lat życia w Ballinacroagh, a zwłaszcza przez ostatnie pięćdziesiąt lat, odkąd zmarł jej mąż, Estelle nigdy nie zdradziła się przed miejscowymi ze swoją słabością i zwyczajną potrzebą towarzystwa. Nawet w cotygodniowych spowiedziach, których wysłuchiwał ojciec Mahoney, rozwodziła się obszernie nad swoim serdecznym, choć utrzymywanym na odległość związkiem z siostrzenicą Glorią, nigdy natomiast nie wspomniała o odosobnieniu ani o potrzebie obcowania z innymi organizmami ożywionymi, poza boleśnie pięknym krzewem różanym przed domkiem. I oto w rocznicę dnia, w którym jeszcze jako panna młoda spodziewała się ujrzeć siebie w otoczeniu rozkosznej gromadki kochających wnucząt, wystarczyło jej rzucić okiem na zgromadzenie rozdiskutowanych, zadowolonych pań z komitetu, połączonych przyjaźnią złotego wieku, a następnie na pustkę własnego stolika, aby utraciła resztki kontroli nad własną prywatnością i – o zgrozo! – zemdląca.

Szczęściem ojciec Mahoney uratował sytuację, przerywając bolesną ciszę z właściwą sobie pokorą i komediowym wdziękiem:

– Proszę pamiętać, Estelle, że nie obejdziemy się bez pani fachowego doradztwa na próbach sztuki. To coś w rodzaju współczesnych bachanaliów – miłości, wino, i takie tam – dla mnie to istna greka. Pani na pewno zna się na tym dużo lepiej.

Mardzan spłonęła rumieńcem na słowo „miłości” w figlarnie uśmiechniętych ustach podstarzałego księdza, ale Estelle Delmonico zachichotała bez żenady. Poczciwość ojczulka Mahoneya przełamała lody, otwierając samotnej dotąd wdowie drzwi do międzyludzkiej bliskości i wspólnoty, za którą pani Delmonico tęskniła od czterdziestu lat.

– Gdzie ona jest, Mardzan? Już prawie szósta! A może coś jej się stało po drodze do domu? – Bahar, z miną szaleńca zbiegłego z zakładu, krążyła tam i z powrotem między stolikami pustej kawiarni, załamując ręce. Upłynęło pięć godzin, odkąd Lejla wyszła sprawdzić wyniki przesłuchań, a zdaniem Bahar, nie powinno jej to było zająć nawet godziny.

– Mówiłam ci już, Bahar. Dzwoniłam do Fiony. Widziała Lejlę przed szkołą z Malachym. Oboje dostali główne role w sztuce. Lejla na pewno poszła gdzieś z kolegami uczcić ten sukces – odparła cicho Mardzan, usiłując nie dopuścić do głosu paniki.

– Z Malachym! A któż to w ogóle jest, ten Malachy? Owszem, grzeczny, inteligentny – ale czy my wiemy cokolwiek o jego rodzinie, o rodzicach? A jeśli to niepoczytalni mordercy?

– Bahar. Proszę cię. – Mardżan pokręciła głową. Jej siostra potrafiła czasem nieznośnie dramatyzować. Jeszcze chwila, a wybuchnie histerycznym płaczem i zwali się na ziemię, tu, na samym środku kawiarni. Dobrze, że przynajmniej na razie przestała sprzątać. Zaraz po powrocie ze szpitala do domu Mardżan zorientowała się, że coś jest nie tak. Zastała Bahar w kuchni, z druciakiem i butelką ługu w rękach, czyszczącą z obłąkańczą pasją drzwi piecyka. Takie napady sprzątania zdarzały się Bahar tylko wtedy, gdy była zbyt przygnębiona, aby narzekać: wówczas tak długo szorowała podłogi i blaty, aż wyzbyła się nadmiaru neurotycznej energii.

– Okej, w porządku, może nie są mordercami, ale i tak niewiele wiemy o Malachym, a Lejla spotyka się z nim codziennie. Powinna pomóc mi obsługiwać salę, zamiast wyprawiać Bóg wie co z tym smarkatym Irlandczykiem. A ty, Mardżan – ty też jesteś temu winna! – Bahar wymierzyła w siostrę oskarżycielski palec.

– Ja? A cóż ja takiego zrobiłam?

– Wypuściłaś ją z domu, nie wyznaczając godziny powrotu. Już prawie dziesięć po szóstej!

– No dobrze – odparła ugodowo Mardżan. – Sprawdzę w szkole. Na pewno jeszcze tam jest. Tylko się nie denerwuj, dobrze?

Wskoczyła do furgonetki i po raz drugi tego dnia wyjechała z uliczki pełnym gazem, usilnie tłumiąc straszne myśli, które kłębiły jej się w głowie. Przy Bahar udawała opanowaną, ale i ją trawił dojmujący niepokój. Lejli nie

było od blisko pięciu godzin i nawet nie zadzwoniła, żeby powiedzieć siostrze, gdzie się podziewa. Oczywiście, perswadowała sobie Mardżan, Ballinacroagh z pewnością nie jest najniebezpieczniejszym miastem, w jakim przyszło im mieszkać – Lejla mogłaby sondować granice własnej dorosłości w znacznie gorszych miejscach. Ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

Szkoła Świętego Józefa stała na niskim wzgórzu, o jakieś ćwierć mili od końca Main Mall, więc Mardżan zajęła na jej zwirowany parking w parę minut po wyjściu z kawiarni. Poziom jej paniki wzrósł gwałtownie na widok opustoszałego, spłukanego deszczem trawnika przed budynkiem. Drzwi wejściowe stały, co prawda, otworem, ale w żadnym z wysokich gotyckich okien nie paliło się światło. A jedynym dźwiękiem, jaki dobiegł Mardżan, było odległe bicie zardzewiałego dzwonu kościoła Świętego Barnaby. No tak, przecież to sobota, przypomniała sobie Mardżan, próbując odzyskać opanowanie. Zaparkowała furgonetkę przed wejściem i zapuściła się w mroczne korytarze szkoły.

Ciężkie drewniane drzwi klas, ciągnące się szpalerem po obu stronach holu, kontrastowały z pistacjową zielenią ścian. Mniej więcej co dziesięć jardów stłumione światła, zainstalowane w łukach podporowych, rzucały upiorne blaski na cętkowane antypoślizgowe płytki pod jej stopami. Sekretariat musi być gdzieś dalej, uznała, skręcając w długi boczny korytarz. Może Lejla wciąż tam jest, z Malachym i kolegami – tłoczą się przy ogłoszeniu

i z emocji nawet nie zauważyli, że na dworze szybko zapada zmrok.

Korytarz skręcił nagle i Mardżan zderzyła się z dwiema ciemnymi burkami. Wpadły na nią tak gwałtownie, że wrzasnęła z przerażenia. Uchwyciła się najbliższej gabloty z uczniowskimi trofeami, czując, że miękną jej kolana.

Burki – a dokładnie mówiąc: habity – należały do dwóch niemłodych zakonnicy. Siostry Agata i Bea wracały właśnie do klasztoru po dopiero co zakończonym spotkaniu Kółka Miłośników Kantyczki, które odbyło się w nowej sali gimnastycznej.

Mardżan otrząsnęła się z szoku i odzyskała głos.

– Przepraszam najmocniej. Czy szkoła jest już zamknięta?

Siostra Agata, która dla Chrystusa porzuciła wesołe życie ery jazzu, uśmiechnęła się do niej życzliwie.

– Panienska przejęła lokal po Estelle Delmonico, prawda? – spytała, trącając łokciem niższą od siebie siostrę Beę. – To jedna z tych dziewcząt, o których nam opowiadał ojciec Mahoney! Ojciec Mahoney! – wrzasnęła towarzysze wprost do ucha. – Siostra Bea ma kłopoty ze słuchem – wyjaśniła.

Siostra Bea, wyraźnie skonfundowana, wlepiała w Mardżan nieobecny, przymglony wzrok.

– Tak, to ja – potwierdziła Mardżan. – Przyszłam tu szukać swojej młodszej siostry. Lejli Aminpur. Z trzeciej klasy. – Jej roztrzepotane serce powoli zwalniało.

– Niestety, nie znam żadnej z obecnych uczennic. Razem z siostrą Beą nie uczymy już w szkole od dobrych paru lat. – Siostra Agata nachyliła się do prawego ucha siostry Bei. – Nie uczymy tu od dawna! Prawda, siostro?

Skrzekliwy głos siostry Agaty dotarł wreszcie do przygłuchej zakonnicy. Siostra Bea uśmiechnęła się szeroko i pokiwała głową, demonstrując lśniący garnitur sztucznych zębów.

– Obawiam się, że trudno będzie dzisiaj kogoś znaleźć, bo to przecież sobota. Ale cieszę się bardzo, że miałyśmy z siostrą Beą okazję poznać panienkę. Można wiedzieć, jak zdobyć ten wspaniały szafran, o którym tyle nam opowiadał ojciec Mahoney?

Dzięki licznym pochwałom księdza obie zakonnice wiedziały wszystko o niezwykłych zaletach abgusztu Mardżan. Nawet półgłucha siostra Bea знаła boskie składniki gulaszu, a przepis na tę potrawę pobrzmiwał echem w klasztornych murach jeszcze długo po zakończeniu ostatnich szeptanych modlitw. Udzieliwszy w miarę wyczerpujących odpowiedzi na serię pytań kulinarnych, którymi zasypały ją zakonnice, Mardżan pośpiesznie wróciła do furgonetki. Z dudniącym nadal sercem siadła za kierownicą i wcisnęła kluczyk do stacyjki, lecz nie była w stanie go przekręcić. Nagle wystąpił na nią zimny, lepki pot, aż zaczęła mimo woli szcząkać zębami. Zakonnice może i były komiczne, ale ich granatowe habity zbyt przypominały Mardżan duszne zawoje czadorów. Gdyby nie to, że znajdowała się

w spokojnym Ballinacroagh, pewnie wzięłaby je za zapowiedź bliskiego nieszczęścia.

Bursztynowa smuga – ostatnie westchnienie ciemniejącego horyzontu – wiodła Bahar szlakiem jej własnych poszukiwań zagubionej siostry. Bahar nigdy jeszcze nie zapuściła się pieszo tak daleko na Main Mall. Wszystkie zakupy robiła w pobliżu kawiarni – i rzeźnik, i minimarket Faddena znajdowały się o parę minut spacerem od Babilonu. Tym razem postanowiła jednak stawić czoło nieznanemu, pewna, że zwariuje, jeśli choć chwilę dłużej posiedzi w kawiarni. Jeśli Lejla wybrała się gdzieś z kolegami (co daj Boże), to pewnie popija teraz koktajl mleczny w barze z burgerami i frytkami na Main Mall albo – kto wie – kosztuje bardziej zakazanych napojów w którymś z trzech pubów miasteczka. Gdziekolwiek była, Bahar poprzysięgła sobie, że ją znajdzie. A jak już znajdzie, obsztorcuje siostrunię tak, że jej uszy spuchną.

Lejli nie było ani w barze burgerowym Błękitny Grom, ani w sąsiadującym z nim pubie U Paddy’ego McGuire’a. Bahar, na szczęście, zdołała to stwierdzić bez przekraczania progu któregokolwiek z tych lokali – oba miały bowiem wielkie witryny, przez które widać było, jak goście żłopiają piwo, zagryzając garściami tłustych czipsów o smaku curry. A może należałoby popytać sklepikarzy z Mall, czy nie zauważyli wałęsającej się bez celu ciemnowłosej dziewczyny? Bahar przystanęła przed pierwszym sklepem, który wyglądał na otwarty. Była to

piekarnia Corcorana. Całkiem dobre miejsce na początek śledztwa, uznała Bahar i sama sobie przytaknęła ruchem głowy. Pchnąwszy żółte drzwi, w najlepszej wierze wkroczyła do środka, całkiem nieprzygotowana na chłodne przyjęcie, jakiego doświadczyć miała ze strony Assumpty Corcoran.

Wiele zmieniło się w domostwie Corcoranów od poranka sprzed siedmiu bez mała tygodni, kiedy to Lejla przecięła drogę Benny'ego Corcorana i jego wyładowanej chlebem dwukółki. Tchnąca młodzieńczą obietnicą Lejla ożywiła w sfrustrowanym piekarzu kalejdoskop żalów za przeszłością, nakłaniając go do rewizji życiowych wyborów.

Małżeństwo bez miłości i zażyła przyjaźń z whisky marki Jack Daniel's zamieniły atletyczne niegdyś ciało Benny'ego w żaloszny, usiany piegami, zwał tłuszczu, a imponującą za młodu szopę jego rudych włosów – w przerzedzone, zmierzwiłone kosmyki. Teraz jednak, natchniony nowym duchem, Benny rzucił się w wir gimnastycznego reżimu, jakiego nie powstydziliby się najsroższy obóz wojskowy. Nad tylnymi drzwiami piekarni zainstalował drążek, na którym podciągał się z zapalem od trzeciej nad ranem, zaczął też eksperymentować z fryzurą „na pożyczkę” i preparatami na zagęszczenie włosów, zakupionymi w salonie fryzjerskim Athey (po uprzednim zobowiązaniu Fiony Athey do zachowania ścisłej tajemnicy). Wygrzebał nawet na porośniętym pajęczynami strychu piekarni skórzaną marynarkę z szerokimi klapami,



a razem z nią puchary, które zdobył w futbolu jako nastolatek i o których całkiem zapomniał przez lata ugniatania nieapetycznego ciasta i ciała swej oziębłej małżonki, Assumpty.

Wbrew imieniu nadanemu jej na cześć wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, Assumpta Corcoran uważała swoją duszę za skazaną na wieczne potępienie. Treścią jej cotygodniowych spowiedzi w kościele były grzeszne funkcje cielesne, łóżkowe wymagania męża i obowiązek małżeński, który przerastał (a raczej był poniżej) jej możliwości. Po każdej spowiedzi Assumpta gnała do domu, aby oczyścić się w ukropie kąpieli za pomocą szorstkiej myjki, którą miała nadzieję wyszorować przy okazji swoją skonfundowaną duszę. Kiedy zauważyła, że brzuch Benny'ego nie wylewa się już ponad zapięty na ostatnią dziurkę pasek, a jego ceglasta cera nabrała miłej różowawej barwy, zrozumiała, że wszystkie jej modlitwy poszły na marne – mąż uległ w końcu swoim niecnym skłonnościom i wziął sobie kochankę, o co spora część miasteczka od lat go już podejrzewała. Pomimo oziębłości Assumpta zawsze dotąd ufała w nienaruszalną świętość swego małżeństwa, bez względu na plotki. Ale ten nowy Benny, który odsuwał kieliszek i studiował dietetyczne książki kucharskie, w oczywisty sposób łamał reguły gry. Benny Corcoran zmieniał się na oczach żony, i to nie z korzyścią dla niej – tego była pewna. Tylko co to za flądra wpadła w zdeprawowane oko jej małżonka? Fragmenty łamigłówek ani rusz nie składały się Assumpcie

w całość – aż do chwili, gdy do piekarni wkroczyła nieśmiało zarumieniona i wyraźnie zmartwiona Bahar.

– Dobry wieczór, jestem Bahar Aminpur. Razem z siostrami prowadzę kawiarnię przy tej ulicy.

Oczy Assumpty zwęziły się w szparki. Kilka razy od dnia otwarcia przeszła specjalnie obok nowego lokalu, w nadziei, że zoczy którąś z prowadzących go cudzoziemek. Ale oprócz młodej czarnowłosej dziewczyny, mijającej codziennie piekarnię w drodze do szkoły, nie widziała jeszcze dotąd żadnej z tych „czarniawych”, na które tak pomstowała Dervla Quigley. Teraz przekonała się, że podejrzenia starej plotkarki były ze wszech miar słuszne. Stojąca przed Assumptą brązowoskóra kobieta była ucieleśnieniem ostrzeżenia z Apokalipsy świętego Jana: wypisz wymaluj – istna nierządnica babilońska. Boże, miej nas wszystkich w swojej opiece.

– Czym mogę służyć? – spytała Assumpta lodowatym tonem.

– Szukam mojej młodszej siostry, Lejli. Piętnaście lat, ciemne włosy, mniej więcej tego wzrostu. – Bahar wzniosła rękę o jakieś piętnaście centymetrów ponad głowę, po czym pozwoliła jej opaść bezwładnie.

– Nie. Nikogo takiego nie widziałam w okolicy – odparła Assumpta, nadając słowu „takiego” brzmienie wręcz obsceniczne.

– No cóż... dziękuję w każdym razie. – Bahar potulnie odwróciła się do wyjścia, czując, że zaraz znów dopadnie

ją straszny ból głowy.

W tej samej chwili z kuchennego zaplecza wpadł do sklepu zziajany małżonek piekarni. Ukończył właśnie morderczą rundę biegiem wokół centrum miasteczka. Welurowe opaski na jego czole i przegubach przesiąkły na wskroś potem mężczyzny w średnim wieku. Piekarnik natychmiast rozpoznał Bahar jako jedną z trzech anielic, obsługujących kawiarnię – widywał je przecież, gdy codziennie rozwoził chleb po Main Mall.

– O, witam, witam. Czym można pani dzisiaj służyć?

Oczy mu rozbłysły, co dla Assumpty było oczywistym potwierdzeniem domysłu, że ma oto przed sobą metresę męża.

– Dziękuję, nic nie trzeba. Przepraszam, że państwa niepokoiłam. – Bahar skinęła wstydliwie głową na do widzenia i pośpiesznie wymknęła się z piekarni. Owładnięta nagłym zmęczeniem, przycisnęła prawą dłońią pulsującą skroń i nieco chwiejnym krokiem podążyła dalej ulicą.

Benny odprowadził ją wzrokiem, po czym odwrócił się do żony. Zaskoczył ją wyraz triumfalnej satysfakcji na skrzywionej na ogół twarzy Assumpty.

– Coś ty jej powiedziała, że wypadła stąd jak oparzona?

– Tylko mnie nie pouczaj, co wypada, a co nie, Benny Corcoranie. Ja dobrze wiem, co znaczy ten twój cały jogging i wegetariańskie diety. Wystawiasz mnie na pośmiewisko! Całe miasto o tym gada! I nie wyobrażaj

sobie, że będę spokojnie patrzeć, jak się pitigrilisz z pierwszą lepszą zagraniczną dziwką!

Assumpta, bliska płaczu, złapała płaszcz i rzuciła się do drzwi.

– Assumpta! – wrzasnął Benny. – Dokąd to?

– Na mszę! Pomodlić się za nasze dusze, ty świntuchu! I radzę ci, żebyś był w pubie, jak tu wrócę!

Cytrynowozielona furgonetka sterczała dalej na szkolnym parkingu, a myśli Mardżan tłukły się niespokojnie o spowitą mrokiem przednią szybę wozu. Ciemne habity sióstr ożywiły nieoczekiwane upiory, wspomnienia, które zdawały się już szczęśliwie martwe i pogrzebane na zawsze. Może niektórym duchom po prostu nie jest sądzone przenieść się w zaświaty, pomyślała Mardżan, może ich sezon na straszenie trwa wiecznie.

Zmory wychynęły ze swych koszmarnych grobów pod jej nieobecność, właśnie owego wiosennego dnia roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego, kiedy Mardżan wyszła na wolność z Ośrodka Internowania Gohid. Pierwszą osobą, którą ujrzała, dobrnąwszy do mieszkania po utajnionej odsiadce, była Lejla. Upasiona na maślanych potrawach, z główką jak jabłuszko, spowitą w chustę dojrzałej matrony, siedziała na dywanie w dużym pokoju, trzymając w pulchnych paluszkach fotografię ustrojonego w turban idola rewolucji. Mardżan drżącymi rękami wyrwała jej zdjęcie i już miała podrzeć je na tysiąc kawałków albo i więcej – tyle, ile trzeba, by do szczętu

wymazać pobrużdżoną twarz, wymalowaną na wszystkich okolicznych murach – kiedy ujrzała duchy.

Roiło się od nich w kuchni. Czarne czadory, jędzowate twarze, szczerbate zęby. Duchy siorbały tłusty rosół i żarły rozgotowany *czelou*. Mardżan omal nie zemdleła, gdy w jednym z duchów rozpoznała swoją siostrę.

Szesnastoletnia Bahar w niespełna cztery dni została waleczną członkinią Partii Kobiet.

Hołubiona siostrzyca ściśle męskiego Komitetu – Partia Kobiet – była organizacją lokalną, na której czele stała ich sąsiadka, rosła kobieta o ostrych rysach, nazwiskiem Chanum Dzaferi. Jej ojcem był zaklinacz węży, a matką – Cyganka o specyficznych upodobaniach, od wrózenia z fusów po poobiednie igraszki z nieletnimi pastuszkami. Chanum Dzaferi od dziecka nienawidziła podobnych ekscesów. Ukończywszy dwadzieścia lat, przywdziała chustę i czador, po czym krok za krokiem awansowała w szeregi pobożnych kobiet, uczęszczając na comiesięczne konferencje dotyczące właściwej długości czadorów oraz technik unikania przyjemności podczas obowiązkowej małżeńskiej kopulacji.

I nim się kto spostrzegł, sprytna Chanum Dzaferi wybiła się na czoło ruchu rewolucyjnego, zakładając własny żeński korpus fundamentalistyczny – Partię Kobiet. Cotygodniowe zebrania Partii Kobiet odbywały się w jej bogato wyściełanym kobiercami mieszkaniu. Gorliwe towarzyszki godzinami wychwalały tam cnoty Nosiciela Turbanu – mułły, który obiecywał wypłenić z kraju

wszelką szatańską dekadencję i ustanowić społeczeństwo islamskie. Przy parzącej usta czarnej, niesłodzonej herbacie i gulaszu z kozich ozorów Chanum Dżaferi wygłaszała płomienne kazania o potrzebie oczyszczenia ukochanej Persji z wpływów Zachodu – z szachem, tym pupilem Ameryki, na czele. Od trzydziestu lat, zwierzała się obleczonym w czadory kobietom, czeka na islamską rewolucję, która oczyści społeczeństwo, i nie poniecha starań, aż ziści się jej marzenie.

Chanum Dżaferi, jak się później dowiedziała Mardżan, przeniosła się do ich mieszkania z garnkami ryżu i grochówki, gdy dotarła do niej wieść, że najstarsza z sióstr Aminpur nie wróciła do domu z restauracji Rajska Ptak. A ponieważ bojowa matrona nie zwykła tracić okazji do rekrutacji, przyniosła również farby i białe transparenty, natychmiast zatrudniając Bahar do malowania antyamerykańskich sloganów, podczas gdy sama zajęła się odgrzewaniem pozbawionego smaku jedzenia.

*Gdyby nie Chanum Dżaferi i Partia Kobiet, Lejla i ja umarłybyśmy z głodu*, oświadczyła Bahar, lekceważąc ostrzeżenia Mardżan o zagrożeniu, jakim jest urzędująca w kuchni grupa reakcjonistek w czadorach. *Niepodległość, Wolność, Republika Islamska!* Marg bar Amrika, *Śmierć Ameryce!*, wykrzyknęła, po czym jęła cytować fragmenty Koranu, tak długie i zawiłe, że Mardżan całkiem osłupiała, zaskoczona zdolnością siostry do uczenia się na pamięć. Ale tym, co przeraziło ją najbardziej, nie była ani neoficka gorliwość rewolucyjna Bahar, ani cotygodniowe zebrania

Partii Kobiet, na których z woli Bahar musiały bywać wszystkie trzy, tylko ślepa lojalność, jaką jej młodsza siostra okazywała jedynakowi Chanum Dżaferi – mężczyźnie, który wkrótce miał zostać jej mężem.

Hossein Dżaferi. Salamandra w ludzkiej skórze, osobnik niepouczony jeszcze o odpowiedzialności związanej z przynależnością do rasy ludzkiej. Srodze pokaleczony przy narodzinach niewprawnie użytymi kleszczami, Hossein nosił swoją zeszpeconą skórę niczym odznakę honorową, dumny, że zdołał przeżyć pierwszą z licznych życiowych przeszkód. Metalowe szczytce odcisnęły na twarzy noworodka tak głębokie ślady, że jego zszokowana matka spadła z łóżka porodowego, łamiąc biodro w dwóch miejscach. W młodości Hossein został aresztowany przez tajną policję za spalenie naturalnych rozmiarów kukły filigranowego szacha, ale nie ustatkował się zanadto przez sześć lat więzienia i pierwszym miejscem, do którego udał się po zwolnieniu, był lokalny meczet. W jego chłodnych, wyłożonych kafelkami ścianach, Hossein usłyszał głos z nieba, że ma kreować się na przywódcę wiernych mężczyzn. Tak więc, za podszeptem Boga i gorliwej matki, wstąpił do lokalnej komórki organizacyjnej, czyli Komitetu. Była to idealna odskocznia dla sadystycznego trzydziestojednolatka do kariery na otwartym terenie rewolucji.

Mardżan zemdląca prawie, słysząc słowo „Komitet”. Lecz jej obiekcje na nic się nie zdały – Bahar podjęła już decyzję, mogąc liczyć na poparcie całej podziemnej

społeczności czadorów.

W bezsennej noc przed ślubem Bahar i Hosseina Mardżan zabijała ciemne godziny, babrząc się po łokcie w lepkim cieście i rozmyślając, jak powstrzymać siostrę przed zrujnowaniem sobie życia. Do niej należało przygotowanie smakołyków na weselną ucztę – bakławy, pasty morwowo-migdałowej oraz ciasteczek z orzechami, ciecierzycą i ryżem. Zagniatając ciasto na bakławę (w ilości wystarczającej do nakarmienia całej dwuosobowej czeredy bojowników), Mardżan próbowała się uporać z dojmującym uciskiem w żołądku, z głosem, który powtarzał jej: bierz siostry i uciekaj. Ten Hossein i wszystko, co się z nim wiązało – jego akcje z koktajlami Mołotowa, wuj męczennik, którego czcił jak bóstwo, despotyczna matka, która najwyraźniej więziła Bahar w szponach swego niezłomnego uroku – było złe. Z gruntu złe. A Mardżan nic nie mogła zrobić, aby odmienić przeznaczenie siostry.

Nazajutrz po swoim niefortunnym ślubie Bahar przeniosła się do rodziny męża. Posunięciem tym zwolniła siostry z obowiązku uczęszczania na cotygodniowe zebrania Partii Kobiet, ale też pozostawiła niezmierną, głuchą pustkę w sercu Mardżan. I choć Bahar mieszkała teraz zaledwie cztery ulice dalej, Mardżan nie widziała jej przez blisko cztery miesiące od dnia ślubu.

Zimne spojrzenie Assumpty Corcoran odcisnęło się lodowatym piętnem na skroniach Bahar, która przy akompaniamencie pulsującej uwertury do bólu głowy



przekraczała właśnie próg piwiarni McGuire'a. Miała nadzieję, że w którymś z rozklekotanych boksów znajdzie Lejlę.

Trzeba zaznaczyć, że Thomas McGuire nie zaliczał się do mężczyzn skłonnych zlekceważyć obecność atrakcyjnej kobiety w swoim lokalu. Choć najżywsze uczucia rezerwował dla dam pokroju Donny Summer, Glorii Gaynor czy Thelmy Houston, a dorodne intymne partie ciała wystawiał tylko i wyłącznie na uściski chutliwej żony, to przecież nie był ślepy na kołysanie kobiecych bioder. Gdy Bahar weszła do pubu, Thomas omawiał właśnie z barmanem tygodniowy grafik dyżurów – urwał jednak w pół słowa i z rozdziawioną gębą zagapił się na młodą kobietę, której obecność rozproszyła stęchły papierosowy dym i zapyziałą atmosferę.

*To nie jest zwyczajna baba*, uświadomił sobie nagle, i aż go zatrzęsło. *To jedna z tych dziwek z kawiarni!* Demonstracyjnie odwrócił wzrok od Bahar i wykrzywiając usta w szyderczym uśmiechu, skinął porozumiewawczo do barmana. *Cholerne arabstwo!*

Bahar szła do kontuaru jak owieczka prowadzona na rzeź.

– Przepraszam bardzo – zagadnęła, unosząc dłoń jak uczennica.

Pyzaty barman z gęstymi ryżymi bokobrodami zmałpował szyderczy uśmiech szefa. Odwróciwszy się plecami do Bahar, udał zajętego rozmową z pijanym stałym bywalcem, pograżonym w alkoholowym

zamroczeniu.

– Chciałam tylko spytać, czy nie widział ktoś mojej...

Wszyscy obecni w barze – od Thomasa McGuire’a po usadowioną przy stoliku w kącie starą panią Lennon, tulącą w dłoniach szklanę dzinu z tonikiem – pokazali jej plecy. Milczenie. Przez kilka sekund słychać było jedynie uwodzicielski, aksamitny głos Chaki Khana, dobywający się z wielkiej szafy grającej w kącie. Ktoś zakaszłał, gdy leniwy obłok dymu tytoniowego przedryfował tuż przed twarzą Bahar. Dziewczyna spuściła wzrok na dywan w romboidalny deseń, zaśmiecony po uciechach minionej nocy okruchami chrupek ziemniaczanych, petami i łupinami fistaszków.

Chaka Khan wyciągnął nienaturalnie wysoki ton, po czym płyta została automatycznie zdjęta z gramofonu i odłożona na nierówny stos czarnych, lśniących longplayów. Zapadła cisza. I wciąż nikt nie odwracał się do Bahar.

Gniewny wstyd rozplómił jej policzki i zakotłował się w żołądku. Tu się działo coś bardzo niedobrego, nie tylko w tym zaświnionym pubie, ale też w sąsiadującej z nim piekarni. Coś groźniejszego niż żałośnie wścibskie popatrywania starych bab u rzeźnika. Ciasnota umysłowa tych kobiet, jakkolwiek irytująca, była niczym w porównaniu z jawną nienawiścią, jakiej w tej chwili doświadczała Bahar. Podobnego poczucia haniebnego wykluczenia zaznała podczas pierwszych przerażających lat w Londynie, gdy całe miasto żyło w stanie

podwyższonej gotowości pod groźbą zamachów terrorystycznych i każdy, kto choć trochę wyglądał na cudzoziemca, ścierał na siebie podejrzliwe spojrzenia.

Bahar odwróciła się, rozdeptując z chrzęstem śmieci na podłodze, i pchnęła drzwi pubu, gnana pragnieniem ucieczki przed wzbierającym w piersi lękiem. Zanim drzwi zatrzasnęły się za jej plecami, usłyszała zjadliwy okrzyk:

– Wracaj do swoich śmierdzących wielbłądów!

Dalszy ciąg inwektywy zagłuszył charczący rechot z przeżartych tytoniem gardeł.

– O, tam. Tuż obok tego cumulusa w kształcie zająca – to jest Jowisz. Widać go zawsze w tym miejscu, nawet za dnia. Ale najlepiej nocą, przez teleskop. – Malachy długim ramieniem wskazywał niebo nad zatoką Clew.

– Z twojego okna też go widać? – Lejla przytuliła się mocniej do chłopca. Leżeli na zdumiewająco ciepłej kępie morskich traw.

– Tak, ale kiedy tylko mam okazję, wynoszę sprzęt tutaj. Mimo że to strasznie drażni moją tatę.

– Twojej taty? – Lejla przypomniała sobie nagle ostrzeżenie Emer. Ciekawa była, czy prawdą są pogłoski o zakusach ojca Malachy’ego na lokal kawiarni, lecz przeczuwając, że temat mógłby być bolesny, nie poruszyła go. Woląa oprzeć głowę na piersi chłopca i zapatrzeć się marzycielsko w wysokie niebo. – Więc wszystkie konstelacje noszą nazwy greckich bogów i bogiń?

Malachy – zadowolony, że nie musi rozwijać tematu

apodyktycznego ojca – uśmiechnął się i przytaknął ruchem głowy.

– No właśnie. Chociaż przed Grekami odkryli je Babilończycy. Mieli rozpracowany cały system. –

Przeciągnął dłonią po nieboskłonie, aż dotarł do plamki, która jaśniała mocniej niż otaczające ją blade obłoki. – Tuż obok tej jasnej plamy nieba znajduje się Wenus. Chwilowo niewidoczna, ale wierz mi: ona tam jest.

Lejla przełknęła głośno ślinę i pokiwała głową. Wenus. Bogini miłości. O tak, z całą pewnością tam była.

Nie wiadomo jak i kiedy, ale błogosławieni przez planety, ukołysani łagodnym przypływem Atlantyku, pod baldachimem splecionych palców – usnęli. Lejla ocknęła się na wprost czarnej dziury rozchichotanej, szczerbatej gęby sześciolatka.

– Myślis, że umarli?

– No coś ty, migdała się, i tyle.

Śmiech i plwocina dosięgły uchylających się powiek Lejli i Malachy’ego. Otaczała ich banda łobuziaków – trzech chłopców i dziewczyna – w wieku od sześciu do dwunastu lat: szare lub granatowe dresy, skołtunione ryże czupryny, umorusane piegowate twarze z ropną wydzieliną w kącikach oczu i śladami czekolady wokół ust.

– Jazda stąd! Wynocha!

Malachy przepędził dzieciaki w stronę kolonii domów na kółkach, parkujących nieopodal, u podnóża piaszczystego pagórka. Między dwiema kempingówkami rozpięto sznur do suszenia bielizny, a kilka rozkładanych

plastikowych krzeseł okalało ognisko, przy którym trzy kobiety w ciasnych, spranych dżinsach, opinających ich wychudłe uda, dygotały jak w febrze, paląc na zmianę długiego papierosa. Wszystkie trzy gapiły się apatycznie na wynędzniałego koguta, który podrygiwał wokół dwóch parchatych, pochrapujących terierów. Lejla zdziwiła się, że wcześniej nie spostrzegła obozowiska. Ale nie da się ukryć, że całą jej uwagę zaprzętał Malachy. Drżała na samą myśl o tym chłopcu u swego boku.

Dzieciaki druciarzy roześmiały się w głos i uciekły. Najstarszy chłopak, zanim zniknął za wałem ogromnej, pogrążonej w cieniu wydmy, wykonał stary jak świat, nieprzystojny gest dwoma palcami. Dopiero wtedy, jakby nagle wyrwana z transu, Lejla dostrzegła, że dokoła zapadł już zmrok. Nawet pierwsze gwiazdy uśmiechały się migotliwie z nocnego nieba.

Bahar siedziała przy kuchennym stole z twarzą w dłoniach. Płakała i – po raz pierwszy od dawna – modliła się. To przez nią utknęły w tej zabitej deskami mieścinie na końcu świata, bez widoków na cokolwiek innego niż przypalone garnki i smród smażonej cebuli. Wszystko przez nią – i nie miała jak zadośćuczynić tej sytuacji.

– Bahar? – szepnęła Lejla. Stała w drzwiach kuchni, bojąc się poruszyć.

Uniósłszy mokrą od łez twarz, Bahar gapiła się w milczeniu na młodszą siostrę. Opalizujące promienie ulicznego światła utworzyły aureolę wokół głowy Lejli.

Oślepiąca ich blaskiem Bahar musiała kilkakrotnie zamrunąć z całych sił, aby rozpoznać twarz postaci w drzwiach, upewniwszy się jednak, że to Lejla, cała i zdrowa – natychmiast wpadła w gniew.

– Gdzieś ty była? Ja tu czekam i czekam, mało nie zwariowałam! – wrzasnęła, wstając chwiejnie z krzesła.

– Byłam z Malachym. Na plaży – odparła Lejla, jakby nigdy nic.

– O siódmej wieczór! Lejla!

– Wiem. Przepraszam.

Zaszokowana nonszalancją siostry, Bahar wybałuszyła oczy i bezwiednie rozdziawiła usta. Widać, pomyślała z rosnącą złością, że Lejla nic sobie nie robi z tego, co ona tu przeżyła, ganiając tam i z powrotem po ulicy, płaszcząc się przed bandą prostaków... Ona była z Malachym – tylko tyle ma do powiedzenia. Jak śmie? Przemawia, jakby należała jej się taka wolność, jakby miała prawo w tym wieku chodzić na randki! Czy już całkiem zapomniała o gehennie starszej siostry? Bahar gorączkowo szukała słów, które obudziłyby w Lejli lęk przed mężczyznami, lecz nie zdobyła się na nic ponad ostrzeżenie:

– Zobaczysz, skończysz tak jak ja! Tego sobie życzysz? Zabraniam ci spotykać się z tym chłopakiem!

– Bahar!

– Dość! Mówię serio, Lejlo! Nie po to tłukłyśmy się aż tutaj, żebyś wylądowała w łóżku z jakimś głupim Irlandczykiem! – pomstowała coraz piskliwszym głosem.

– Po prostu chciałybyś, żebym zgorzkniała tak jak ty! –

odparowała Lejla. – A mnie się należy trochę szczęścia!  
Nie zapominaj, że to przez ciebie właśnie znalazłyśmy się  
tutaj!

Lejla pobiegła na górę. Drzwi mieszkania trzasnęły  
głośno i Bahar została sam na sam z dławiącym,  
wściekłym, źle ulokowanym lękiem.

## Czelou

3 szklanki długoziarnistego ryżu basmati

6 szklanek wody

2 łyżeczki soli

$\frac{1}{2}$  szklanki oliwy z oliwek

Ryż wsypać do dużej misy, przepłukać letnią wodą i odcedzić. Proces powtórzyć trzykrotnie. Osoloną wodę zagotować w wysokim garnku. Wsypać opłukany ryż i gotować ok. 30 minut, aż będzie *al dente*. W oddzielnym dużym garnku rozgrzać oliwę. Dno przykryć warstwą ugotowanego ryżu grubości ok. 2,5 cm. Stopniowo dodawać resztę ryżu, formując go w stożek. Przykryć i trzymać ok. 30 minut na wolnym ogniu. Na dnie garnka utworzy się *tadig*.



Mardżan odebrała Estelle Delmonico ze szpitala następnego dnia rano. Lekarze chcieli zatrzymać pacjentkę jeszcze przez dobę, na wypadek kolejnego omdlenia, jednak dziarska Włoszka uparła się, by jak najszybciej wracać do domu.

– Nic mi nie jest, nie ma co się tak martwić. A szczerze mówiąc, nie zniósłabym drugiej porcji tego szpitalnego kurczaka. Całkiem bez smaku, pozał się Boże! – zaprotestowała Estelle. Nawet w ponurych czasach drugiej wojny światowej, kiedy całą rodziną trzeba było wyżyć na tygodniowych racjach makaronu wstążek i sosu z mały, nie jadała nic równie mdłego i pozbawionego fantazji.

Pamiętając narzekania Estelle, Mardżan przed wyjazdem do szpitala zapakowała w papierową torbę świeżutkie słoniowe uszy i sporą porcję ziołowego naleśnika *kuku*. Wystarczy, pomyślała sobie, raz powąchać smażone przysmaki, aby smak rozgotowanych szpitalnych potraw na zawsze poszedł w zapomnienie.

Mardżan nie mogła nie zauważyć, jak słabowicie wygląda drobna wdówka w cienkim szpitalnym szlafroku. Estelle odmówiła jednak wózka proponowanego jej przez pielęgniarkę, i gdyby nie artretyzm, wyszłaby ze Szpitala Ogólnego Mayo całkiem samodzielnie. Przebyty atak wywołał zapalenie stawów, a ból napiętych ścięgien

w chorych biodrach i kolanach stał się tak dotkliwy, że Mardżan musiała podtrzymywać starszą panią za łokieć i ramię, kiedy szły na parking. Całe szczęście, że dzielna zielona furgonetka była dość wąska, by podjechać ostrą serpentyną do białego domku Estelle. Z pomocą Mardżan Włoszka zeszła pomalutku z fotela pasażerskiego, po czym wspólnymi siłami przebrnęły przez stromą zwirowaną ścieżkę, wiodącą do jaskrawoczerwonych drzwi.

– Piękny ten krzew różany – zachwyciła się Mardżan.

– Dzięki, kochanie. Tak, to mój Luigi – odparła z zadowoleniem Estelle.

– Co za szczęście, że ma go pani tak blisko – ciągnęła Mardżan, łapiąc w lot znaczenie róż.

– On jest zawsze przy mnie.

Estelle wręczyła Mardżan zębaty, zardzewiały klucz na dużym metalowym kółku. Drzwi otwały się wprost na cienisty, przytulny salonik, mały, lecz schludny, wyposażony w komplet mebli z kremowym obiciem, koronkowe firanki i wazony pełne gardenii. Obie panie przystanąły w progu, gdy morska bryza zaszeleściła liśćmi różanego krzewu za ich plecami – to Luigi mówił żonie dzień dobry. Potem Mardżan poprowadziła Estelle po polerowanej kamiennej posadzce saloniku.

– Którędy do sypialni, Estelle?

– Z holu w lewo, kochanie.

Weszły do holu obitego barwną tapetą i obwieszzonego fotografiami w ramach. Na jednej figurowała młoda Estelle w dniu ślubu, z włosami upiętymi w koczek,

osłonięty welonem z kunsztownej koronki. Inna, w barwach sepii, przedstawiała Estelle w ślubnej sukni, tym razem stojącą u boku przysadzistego młodzieńca o wesołej twarzy, z gęstym wąsem podkreślonym na obu końcach. Luigi.

– Ach, ileż wspomnień! – westchnęła głośno Estelle. Wodząc po zdjęciach osłabłymi palcami, wędrowała przez swoje szczęśliwe lata: państwo Delmonico w podróży poślubnej do Maroka; państwo Delmonico pozujący na tle swojej ciastkarni w dniu jej otwarcia; trafiło się nawet zdjęcie siostrzenicy Glorii w kraciastym uniformie szefa kuchni i wysokim papierowym czepku.

Minęły po prawej słoneczną, żółciutką jak żonkile kuchnię, w której ledwo mieścił się drewniany stół, zabójcowany na fioletowo, oraz krzesła i szafki w okleinie ze wzorem w bładniebieskie niezapominajki. Gdy wreszcie dotarły do sypialni, Mardżan pomogła Estelle przebrać się w bawełnianą nocną koszulę i otuliła ją troskliwie w mahoniowym łóżu wyściełanym kaczym puchem.

– Proszę tutaj poczekać. Mam coś dla pani, zostawiłam w aucie – przypomniała sobie Mardżan. Po chwili wróciła z papierową torbą smakołyków.

– Słoniowe uszy! – Estelle aż klasnęła w dłonie z uciechy, jak małe dziecko.

Mardżan rozwijała kolejno słodkie pakunki na ręcznie szytej kołdrze Estelle, a upojna woń ciast oraz ciepłego jeszcze naleśnika z jajkiem i ziołami natychmiast

podziałała jak balsam na zeszywniałe stawy starej Włoszki. Po jedzeniu pani Delmonico wyglądała tak zdrowo i spokojnie, że Mardżan ośmieliła się skorzystać z okazji i poprosić ją o radę w ważnej sprawie.

– Niech to same rozwiążą między sobą – orzekła mądrze Estelle, wysłuchawszy opowieści Mardżan o sprzeczce sióstr. – To już duże dziewczynki, Mardżan.

– Wiem, ale czasami nie umiem zrzec się odpowiedzialności za wszystko, co robią. Jestem przecież najstarsza – odparła Mardżan, bezwiednie skręcając w powrót papierową torbę.

– Najstarsza siostra – owszem. Ale nie matka. Mnie los poskąpił szczęścia posiadania dzieci, ale mam Głorię i powiem ci, że dziewczynki wcale nie są łatwe. A ten Malachy? Powiadasz, że to dobry chłopak? – Estelle zadała to pytanie ze sceptyczną miną. Zbyt dobrze знаła Thomasa McGuire’a, aby spodziewać się cudów po jego potomstwie.

– Wspaniały. Bardzo dobry chłopak.

– No to w porządku, tak? Ja mojego Luigiego poznałam, mając piętnaście lat. Nie mówię, że Lejla ma zaraz wychodzić za mąż, ale jeśli chłopak dobry, to w porządku. Jego ojcem jest Thomas McGuire?

– Właśnie chciałam panią o niego zapytać – odparła Mardżan. Dowiedziała się już od Bahar o nadętym pyszałku, który dzień wcześniej dał się jej we znaki w piwiarni McGuire’a. I skojarzyła to z ostrzeżeniem Emer Athey, przekazany z opóźnieniem przez Lejłę.

– Wygląda na to, że ojciec Malachy’ego chce się nas pozbyć z lokalu.

– Coś ci powiem o Thomasie McGuire i całej reszcie tych głupków – rzekła Estelle. – Wszyscy tu się go boją. Trzeba było ich widzieć, kiedy sprowadziliśmy się tutaj z moim Luigim. Dwoje, troje klientów dziennie – a jak długo to trwało! I wiesz, co wtedy zrobił mój Luigi? Wystawił przed witrynę stół, na którym wszystko było za darmo! Darmowe *biscotti*, darmowe rożki z *amaretto*, darmowe *cannoli*! Nawet darmowe espresso! Ludzie uwielbiają dostawać za darmo!

Estelle usiadła prosto w pościeli, gestykułując zawzięcie rozgrzanymi rękami.

– Więc nic się nie martw. Uśmiechaj się do nich wszystkich, i do tego McGuire’a, i do tych bab w kościele, które krzywią się, jakby właśnie zjadły zepsute jajko. Ty ich naucz, co to znaczy być dobrym.

Podniesiona na duchu mądrością Estelle, Mardżan postanowiła nie zamartwiać się, tylko stale uśmiechać i trzymać drzwi otwarte. Kawiarnia prosperowała dzięki codziennym wizytom stałych bywalców, a nawet gdyby nikt inny nie przyszedł, zawsze można było liczyć na ojca Mahoneya i Fionę Athey. Co do reszty mieszkańców miasteczka, pomyślała Mardżan, to i oni w końcu ulegną aromatom smażonych słoniowych uszu i faszerowanego ziołami *kuku*. Może nie da się zwabić do Babilonu całego Ballinacroagh, ale z pewnością wystarczy klientów, aby Bahar, Lejla i ona sama miały co robić od rana aż do

zamknięcia lokalu. Mardżan niczego więcej nie chciała dla siebie i sióstr – i oto spełniało się jej marzenie.

Jedno było pewne: nie przybyły tutaj z tak daleka, aby ulec osobnikom pokroju Thomasa McGuire'a. Czy też komukolwiek innemu.

*Czelou*, czyli specjalnie gotowany ryż, to podstawa perskiej kuchni, na której tworzy się wszystkie inne główne dania. Stanowi nie tylko wyśmienity dodatek do duszonych potraw, jagnięciny z rusztu, kornwalijskich kurczaków, wołowiny czy ryb, ale można go też połączyć z najrozmaitszymi produktami, jak orzechy pistacjowe, soczewica, suszone wiśnie i fasola, otrzymując w ten sposób kompletne danie. Jednak wersją najprostszą i najpopularniejszą jest biały *czelou*. Ryż – każde ziarenko jak osobna perła mądrości – gotować trzeba na małym ogniu przez pół godziny, zanim uformuje się słynny *tadig*.

Mardżan szykowała właśnie *tadig* – chrupką spodnią warstwę *czelou*, która zestala się w duży ryżowy placek, ociekający samą dobrocią. W głębokim garnku do zupy rozgrzała oliwę z oliwek, a gdy tłuszcz zaczął pryskać z niecierpliwością, zasypała go grubą na cal warstwą ryżu. *Tadig* trzeba teraz było przykryć i trzymać na wolnym ogniu przez pół godziny, zanim powstanie z niego wonny krakers, którego chrupkość wabi gości do stołu jak nic innego.

Prostota i łagodność – Mardżan z powagą kiwała głową w takt własnych myśli, zmniejszając ogień pod garnkiem ryżu. Tak należy podchodzić do każdej sytuacji,

czy to w kuchni, czy w życiu. Cieszyła się, że wysłuchała rady Estelle Delmonico.

Café Babilon prosperowała tak świetnie w trzy miesiące od otwarcia, że Mardżan podnajęła Jerry'ego Mulligana – jednego z chłopców pracujących w sklepie z artykułami metalowymi Healy'ego – żeby dorabiał sobie u niej jako dostawca. Żyłasty dziewiętnastolatek pedałowal dzielnie po górzystych drogach, rozwożąc w koszu za siodełkiem papierowe torby chleba *lawasz* i gołąbków *dolme*. Dostawy do domu ograniczone były do pory obiadowej – chwilowo tylko to było możliwe, zwłaszcza że Babilon zamykał się coraz później. Z nadejściem letnich miesięcy amatorzy podwieczorków przedłużali sobie chwile ekstazy, sącząc herbatę ulung lub jaśminowo-miętową aż do wczesnej kolacji i zmuszając Mardżan do nadludzkich wyczynów szykowania wszystkiego w podwójnych, a nawet potrójnych ilościach. W czerwcu zaczęły się szkolne wakacje i Lejla mogła pomagać siostrze cały czas – z przerwami na próby teatralne – obsługując pełne gości stoliki i sprzątajac kuchnię. Wspólna praca znacznie złagodziła napięcie między Lejlą a przemęczoną Bahar – niebawem znów zapanowała między nimi zgoda i spokój, błogi jak przepysznie zielona dolina wokoło.

Czerwcowe upały zaskoczyły całe miasteczko. Bo choć szósty miesiąc roku niesie przesilenie letnie, to na zachodzie Irlandii prześladowają go zwykle ciężkie, złowieszcze chmury z lodowatym deszczem, chłoszczącym

poła uprawne. Gdy inne hrabstwa pływają się w słonecznych początkach lata, hrabstwo Mayo, a zwłaszcza Ballinacroagh, spływa obfitszymi niż zazwyczaj ulewami. Tymczasem czerwiec roku osiemdziesiątego szóstego przyniósł nieustanny żar z nieba, który skwaszonemu Thomasowi McGuire'owi przypomniał błogie popołudnia na Majorce, a panie z Komitetu Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka wprawił w popłoch, nie wiedziały bowiem, co począć z wysokiej klasy grzejnikami zewnętrznymi, zakupionymi raptem rok wcześniej na okoliczność wyjątkowo zimnej nocy czerwcowego święta.

Większość obywateli z radością powitała jednak drastyczną zmianę klimatu, wraz z towarzyszącą jej obfitością słońca i flory. Bezimienne pączki wyrastały z dnia na dzień na pokrytych bluszczem murach; zgrzebne domki budziły się nagle na kobiercach amarantowych, żółtych i liliowych kwiatusków, nazbyt długo uśpionych pod omszałymi kamieniami; nasiąkłe trawy okolicznych łąk, prażone słońcem, mieniły się odcieniami złota, a niebo nad Ballinacroagh przybrało odcień nieskazitelnego kobaltowego błękitu, jaki dotychczas można było oglądać tylko na freskach z Pompei. Nic dziwnego, że ów niespodziewany ukłon w stronę włoskiej ojczyzny tak szalenie rozradował Estelle Delmonico.

Mardżan, niestety, przegapiła początek letniego przepychu – zbyt zajęta była realizacją nieustannych zamówień na ryż z wiśniami i *dolme*, które Bahar z Lejlą



w ekspresowym tempie roznosiły po sali. Dopiero po szczytowej godzinie lunchu mogła pozwolić sobie na mały oddech. Pozostawiając sprzątaną kuchnię siostrze, wychodziła na ciepłą, słoneczną ulicę, przecinała jezdnię i przystawała pod sklepem rzeźnika. Stamtąd, oparta o obdrapaną aluminiową reklamę Clonakilty Blackpudding, zdobiącą ceglana fasadę masarni, lustrowała uważnie dzieło, które stworzyła wraz z siostrami.

Okna kawiarni stały otworem na pionowych zawiasach, a ciepła popołudniowa bryza od zatoki Clew niosła woń smażonej cynamonowej zulfii i przetworów wiśniowych, przyrządzonych jeszcze tego ranka. Zasadzony przez Mardżan bez i perski jaśmin wreszcie się przyjęły – kipiały kwieciami z dwóch okazałych rozhuśtanych donic nad witrynami. Jaśmin, muskany łagodnym wiatrem, mrugał zalotnie tygrysimi oczkami. Mardżan także przytknęła orzechowe oczy – było prawie tak, jakby znalazła się z powrotem w ogrodach swego dzieciństwa, w północnym Teheranie.

Café Babilon. Wiszące ogrody Babilonu. Ten szereg witryn – pomyślała sobie Mardżan, ta Main Mall, to są teraz ich wiszące ogrody, ich własny mały odprysk raj.

Wdzięczność za proste uroki życia, za pomyślny los, jaki przypadł mu w udziale, była uczuciem, które Thomas McGuire – samozwańcze ucieleśnienie wszystkiego, co kryło się pod nazwą Ballinacroagh – poznał zbyt późno. Gdyby nie nękająca go ustawicznie pokerowa ambicja,

zorientowałby się w porę, że ma już wszystko, co do życia konieczne – zdrowe dzieci, pieniędzy więcej niż kiedykolwiek będzie w stanie wydać, i jurną, krzepką jak nosorożec żonę, która umiała sprawić, że nie nudził się w sypialni (w czym wspomagał ją katalog przysyłany przez niejakiego Hansa, jednookiego holenderskiego dostawcę zabawek erotycznych). Krótko mówiąc, Thomas McGuire był szczęściarzem, a zarazem jedynym w mieście człowiekiem, który o tym nie wiedział.

Ów bezwzględny tyran nie miał już wątpliwości, że metodą bojkotu i zastraszania nie zdołał wpłynąć na popularność Café Babilon. Co prawda, większość jego kolesiów i dłużników omijała z daleka pachnące jaśminem progi kawiarni, lecz i tak rzesze miejscowych ciągnęły tam tłumnie. Dla niektórych równie silną pokusą jak *abguszt* Mardżan była świadomość, iż samą swoją obecnością w lokalu rzucają wyzwanie Thomasowi McGuire'owi. Ten wyrafinowany bunt stanowił podskórny powód sukcesu Babilonu, nie tak jawny jak oczywiste uroki oferowanej tam kuchni, niemniej jednak – powód wielkiej wagi. Trudno zwalczyć połączenie satysfakcji ciała z niezależnością ducha. Mimo to Thomas ani myślał składać broni.

Rezygnując z bojkotu, postanowił uciec się do sztuczek, na których znał się najlepiej (poza muzyką dyskotekową): konkurencyjnych cen i wykańczania rynkowego rywala zgodnie z prostymi zasadami popytu i podaży. Mimo usilnych starań nie udawało mu się jednak

odkryć sekretu popularności Café Babilon. Gryzmołone codziennie raporty Dervli Quigley nie wnosiły nic nowego, a Thomas nigdy w życiu nie postawiłby nogi w tym przeklętym miejscu, aby sprawdzić rzecz osobiście. Nie mógł też posłać Toma Juniora po porcję *dolme* lub *czelou* do celów analitycznych, bo w parę sekund rozniosłoby się to po całej ulicy. Postanowił więc przeprowadzić badania terenowe. Od Westport po Galway i od Tuam po Killalę penetrował główne ulice ruchliwych miasteczek, próbując na własną rękę ustalić, dlaczego ludzie wolą chodzić na lunch do Café Babilon niż do Karczmy Wilton.

Odpowiedź znalazł wreszcie w Galway City, a dokładnie w tamtejszej nadmorskiej dzielnicy Quay, gdzie w ciągu ostatnich lat otwarto kilka etnicznych restauracji. Gdy przechadzał się tam i z powrotem rojnym bulwarem Quay, mijając tłoczne lokale Real Greek i Dim Sum More – olśniło go nagle, skąd wziął się oszałamiający sukces Babilonu. Co więcej, rozwiązanie tej zagadki od dawna miał przed nosem. Przedmiotem tęsknoty Ballinacroagh, tym, czego od lat brakowało miasteczku, był powiew egzotyki, posmak nieznanego. Café Babilon nie wyróżniała się w istocie niczym szczególnym – po prostu pojawiła się we właściwym czasie, ot co. Gdyby on, Thomas McGuire, nie skupił się na trzymaniu w ryzach całego miasteczka za pomocą otepiania go alkoholem, sam dawno zobaczyłby, co się święci.

Proszę bardzo, postanowił Thomas, skoro miasteczko życzy sobie egzotyki, to egzotykę dostanie. I nie żadne tam babilońskie gówno. Tłumiąc w sobie odrazę do wszystkiego, co obce, Thomas postanowił spojrzeć jeszcze dalej na wschód i tam szukać inspiracji dla swego najnowszego przedsięwzięcia – w ojczyźnie smażonej wieprzowiny i taniego importu wyrobów elektronicznych. Tam, gdzie wciąż jeszcze króluje muzyka disco, a lud szanuje rządy tyranów. Thomas McGuire postanowił wystawić sobie pałac: Pałac Tom Tom – pierwszą w Ballinacroagh chińską jadłodajnię z potrawami na wynos.

Dzień Świętego Patryka przypadał dopiero za cztery doby, ale całe Ballinacroagh już tętniło ożywieniem. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów ulice miasteczka zaroily się od turystów, którzy w minionych latach wybierali większe miejscowości, Castlebar lub Westport. Nareszcie i tutaj dotarł ruch turystyczny. Ballinacroagh przeżywało swój wielki dzień.

Wierni czciciele świętego Patryka i amatorzy wędrownych pielgrzymek zjeżdżali do miasteczka już w czwartek, autokar za autokarem. Pobożni turyści przybywali i z pobliskiego miasta Balla, i z odległego Chicago – a wszyscy meandrowali tam i z powrotem pocziwą Main Mall, dzierżąc w dłoniach aparaty fotograficzne oraz Biblie, i rozglądali się z nabożnym podziwem, jakby mieli przed sobą pozostałości starożytnego miasta Majów. Rozentuzjasmowani

pielgrzymi szturmowali sklep z dewocjonaliami Antonii Nolan, nie szczczędząc grosza na butelki święconej wody i pamiątkowe skórzane sakiewki, wypełnione górskimi kamykami; fotografowali się też chętnie na tle nadwątlonej zębem czasu figury świętego Patryka na miejskim rynku.

Bliźniacy Donnelly sterczeli jak zwykle pod minimarketem Faddena. Obserwowali autokary pozbywające się balastu gorliwych pielgrzymów, z których wielu miało czerstwe, ogorzałe twarze, promieniejące zarówno urokami lata, jak i nadzieją na ucztę duchową.

– Jak myślisz, Michael, po ilu minutach ktoś by się skapował, że brakuje jednej z tych trzech bryczek? – zażartował Peter, lustrując spod oka zaparkowane równo autokary Hibernian Holiday Tours.

– Zdążylibyśmy ujechać kawał do Dublina – odparł Michael, czytając w zdrożnych myślach brata bliźniaka.

– No to warto by spróbować, nie?

– No.

W ciągu pięciu minut chuligani porozumieli się telepatycznie co do metody uprowadzenia autokaru. Odczekają do pory obiadowej, gdy pielgrzymi ruszą tłumnie do Café Babilon. Wtedy Michael wywabi kierowcę z klimatyzowanej kabiny pod pretekstem zapytania o drogę, a Peter wskoczy za kierownicę i da gazu. Potem spotkają się w pobliskim Louisburghu i odbędą przejażdżkę swego życia.

– Ale numer, Michael! Pomyśl tylko, jakie balangi można w czymś takim urządzić!

– Plan jest niezły. Chodźmy go teraz oblać.

– U Paddy’ego, no nie?

– Nie, w markecie, jak za dawnych dobrych czasów.

Od ukończenia szkoły średniej, czyli od miesiąca, bliźniacy zaniechali złodziejskich podchodów, uznając, że wyrosli z tak dziecinnych psot. Nadal, co prawda, podkradali piwo u nieszczęsnego Danny’ego Faddena, ale nie zostawiali już na pustym miejscu weksli od krasnala Finnegana. Zarzucenie tego zwyczaju miało skutki znacznie poważniejsze, niż którykolwiek z bliźniaków skłonny byłby sądzić.

– Czołem, Danny. Jak tam się sprawuje twój Finnegan?

– Michael stanął przy ladzie, sprytnie zasłaniając Danny’emu widok na półki z piwem, z których Peter ściągał właśnie dwie ciemne butelki Beamish.

– Nie za dobrze, synku. Nie za dobrze – odparł ze smutkiem Danny. Wielkie szkła okularów miał zapaćkane odciskami palców, których nawet nie chciało mu się zetrzeć. Prawdę mówiąc, wyglądał jakby nie mył się od dobrych paru dni. Marne resztki czupryny sterczały mu na jeża, a kosmatą dzierganą kamizelkę włożył na lewą stronę.

Danny bowiem od miesiąca pogrążał się w depresji, ze wstydu, że opuszczają go nie tylko ludzie, ale nawet krasnoludki. Nie dość że pięć lat temu rzuciła go żona, Deirdre, to teraz jeszcze Finnegan – jego odejście do reszty załamało nieśmiałego sklepikarza. Skrajnie przygnębiony, zabijał samotne godziny za sklepową ladą,

wertując stare teksty historyczne i księgi o celtyckiej mądrości z nadzieją znalezienia pociechy w opisach losów tragiczniejszych niż jego własny. A jakby nie dość spadło na niego nieszczęść, od pewnego czasu nękał go regularnie nie kto inny, jak Thomas McGuire. Piwny baron w ciągu trzech dni odwiedził jego sklep dwukrotnie, ostatnim razem z grubą kopertą w garści.

– Dwadzieścia tysięcy. Proponuję ci dobrą cenę, Danny – zachęcał, kładąc pękata kopertę na kontuarze. – To trzy razy więcej niż ta buda jest warta, dobrze wiesz. Daję ci czas do namysłu, ale niedługo wrócę po odpowiedź. Mam wielkie plany w związku z tym lokalem.

Przeraziło to Danny’ego bardziej, niż gdyby Thomas McGuire zagroził, że rozwali mu łomem łeb. Gapił się tępo w kopertę, układając nieme usta w odmowę, której nigdy nie wyartykułował.

Bo właściwie co go tu trzymało? – pytał sam siebie. Na co liczył, wysiadując dzień po dniu w tej nędznej namiastce sklepu spożywczego i wypatrując na zakurzonych półkach krasnala, który nigdy mu się nie pokazał? Kogo oszukiwał? Jakby czary przeznaczone były dla takich jak on, Danny Fadden... A tu Thomas McGuire proponuje, że uwolni go od tej nory pełnej szcurzych bobków i przywiedłych warzyw – na co on, Danny, potrafi tylko milczeć, gapiąc się w kopertę jak idiota.

A może rzeczywiście sprzedać minimarket? I poświęcić się bez reszty zbieraniu materiałów do encyklopedii czarodziejskich stworzeń, którą już zaczął

układać. To właściwie kapitalny pomysł, wymamrotał sam do siebie.

Michael Donnelly z niepokojem zerknął na brata. Peter kiwnął głową na znak, że rozumie nieme przesłanie bliźniaka. Odstawił z powrotem na półkę dwie butelki Beamish, które zdążył już schować w kieszeni spodni, i przeszedł do działu chłodni. Zapłaciwszy za dwie lemoniady, chłopcy pożegnali zgnębitego sklepikarza i wyszli na rojną ulicę.

– Myślisz, Peter, że go tak ścięło z braku krasnoludka?

– Czuję się jak pieprzony idiota, Michael. Obaj jesteśmy świnię.

– Jeszcze dziś po południu pogrzebię w filcowych skrawkach u matki. Ściągniemy mu z powrotem tego Finnegana – postanowił Michael.

Bliźniacy szli ulicą w milczeniu, każdy z poczuciem winy za pozbawienie Danny'ego Faddena jedyne go towarzysza. Zanim jednak doszli do piwiarni McGuire'a ich skrupuły rozwiały się i obaj nabrali chęci na kufelek. Peter miał właśnie otworzyć drzwi pubu, gdy rozwarły się same i na zewnątrz wypadł Tom Junior, wyrzucony z lokalu w tumultie zajadłej bójki.

Tłum ciekawskich przechodniów zebrał się błyskawicznie wokół postaci rozciągniętej plackiem na trotuarze przed lokalem. Pewien rozmiłowany w fotografii pielgrzym, członek filii Towarzystwa Świętego Patryka z Long Island, zużył pół rolki filmu Kodak na udokumentowanie niechlubnej sceny wyrzucenia z pubu



Toma Juniora, uwieczniając na zdjęciach błędny wzrok i oglupiałą minę młodego brutala, gdy ten dźwigał z bruku swoje ociężałe cielsko.

– Chamy pierdolone! – wrzasnął Tom Junior, wygrażając pięścią w stronę drzwi pubu. Pobożni pielgrzymi zamarli ze zgorzenia. Bliźniacy Donnelly, zachwyceni perspektywą porannej awantury, wspięli się na palce, z trudem powściągając emocje. Lecz Tom Junior, zamiast wpaść z powrotem do lokalu jak taran i przypuścić mściwy kontratak na niewidocznego z ulicy oponenta, przecisnął swą baryłkowatą postać przez mur zaintrygowanych turystów i podążył chwiejnym krokiem wzdłuż Main Mall.

Po paru minutach dotarł do furki kościoła Świętego Barnaby. Tam, padłszy na kolana, zaczął czołgać się za żywopłotem kolącego agrestu, omijając starannie gałęzie, które mogłyby pokieroszować jego i tak już mocno obolałą twarz. Z prawej strony szczęki wciąż czuł pulsujący ból po ciosie druciarza, dlatego lewym okiem wyrzał przez ciemnozielone liście na widoczne za zapuszczonym trawnikiem boczne wejście kościoła. Zazwyczaj siedziałby w swojej kolczastej kryjówce już od dawna, lecz dziś spóźnił się przez tę cholerną bijatykę.

Nie trzeba było zaczynać z tymi druciarzami, wyrzucał sobie. Mógł Jimmy’emu zlecić wyrzucenie ich z lokalu, albo, jeszcze lepiej, wezwać tych dwóch nygusów z komisariatu Garda, zamiast brudzić sobie ręce śmierdzącymi chamami. Chociaż, z drugiej strony, trudno

było siedzieć i patrzeć spokojnie, jak pijana banda brudasów z kempingówek wtacza się do pubu jego ojca jak do własnej knajpy. No i skąd mógł Tom wiedzieć, że jeden z tych śmierdzieli ni stąd, ni zowąd załatwi go czyściutkim lewym sierpowym?

Wzdrygnął się i aż syknął z ostrego bólu w prawym oku. Do jutra zrobi się tam siniak jak ta lala. Ale Tom Junior gotów byłby przyjąć jeszcze jeden cios na szczękę, zamiast stracić popołudniowe *rendez-vous*, podglądane spoza imponujących agrestowych chaszczki okalających kościół. Kucnął i wychylił się do przodu, przyjmując pozycję obserwacyjną. Lada moment z kościelnych drzwi, wiodących do sali katechetycznej, miała wyłonić się Lejla.

Tom Junior śledził każdy krok Lejli od miesiący, odkąd ojciec zlecił mu szpiegowanie romansu brata z tą dziewczyną. Początkowo trzymał się z dala od pary zakochanych. Niby wyćwiczony komandos czyhał w pozycji „padnij” na podmokłym polu, graniczącym z brukowaną uliczką za kawiarnią, za pomocą wojskowego stopera ustalając dokładny czas powrotu Malachy’ego i Lejli ze szkoły. Porastające pole kępy traw i krzaków maskowały go doskonale, stanowiąc zarazem świetne schowki na sprzęt szpiegowski, w którego skład wchodził kompas Huntsmana, zakupiony w sklepie przemysłowym Healeya, butelka ciepłego guinnessa na zwilżenie gardła oraz stara lornetka z oprawką w panterkę, którą Tom Junior dostał od ojca na siedemnaste urodziny, w tym samym roku, w którym obejrzał Sylvestra

Stallone'a w *Pierwszej krwi*.

To było wprost niesmaczne, jak Malachy spoufalał się z tą Arabką, nie myśląc nawet, jaką hańbą okrywa nazwisko McGuire. Co w niej takiego szczególnego? – dziwił się Tom Junior. Słyszał już wcześniej, w pubie, jak bliźniacy Donnelly i grupa młodszych chłopców rozprawia o Lejli – jakby widzieli w niej niezwykły dar dla rodu męskiego, albo co! Fakt, że jak na czarniawą była nawet niebrzydka, ale o co aż tyle szumu? Tom Junior zdecydowanie wolał blondynki z różowiutkimi sutkami. No i musiała się ucześcić akurat Malachy'ego! Już samo to dowodziło, że ma nie po kolei w głowie.

Tom Junior co popołudnie trzymał wartę na bagnach. A gdy zaczęły się próby sztuki ojca Mahoneya, odbywane w salce katechetycznej kościoła Świętego Barnaby, przeniósł się do kryjówki w krzakach na tyłach kościoła i tam czekał na zakończenie trzygodzinnej sesji, po czym podejmował dalsze tajne operacje. Kryjąc się za murkami, stosami torfu i stogami siana, Tom Junior podążał za parą zakochanych nad zatokę Clew, gdzie upatrzył sobie własną wydmy do celów szpiegowskich. Z owego piaszczystego fortu mógł nie tylko podsłuchiwać intymne rozmowy tych dwojga, ale i docenić nareszcie urodę Lejli. Bliskość jej smukłych jak u gazeli nóg i lśniących czarnych włosów pokonała go w końcu bez reszty.

Gdy po raz pierwszy poczuł naturalny cynamonowo-różany zapach Lejli, z wrażenia zatoczył się tak, że wpadł w piekące pokrzywy u stóp wydmy. Prąd przeszył całe

jego ciało; pod powiekami i w ustach czuł suchość pragnienia. Atak minął po chwili, a Tom Junior skulił się niczym ślimak, kompletnie oszołomiony. Stwierdził, że płacze bezwiednie, lejąc łzy z mrocznej głębi serca. Płakał wciąż, gdy Malachy i Lejla odeszli z powrotem do miasta. Płakał i pojękiwał z nieokreślonego smutku, aż słońce zaszło i księżyc pokazał mu swą litościwą, pyzată twarz.

Nazajutrz czuł się pusty w środku, a zarazem dziwnie spokojny. Zrozumiał bowiem wreszcie, co mu się stało, dlaczego tak strasznie płakał. Lejla pokazała mu, do czego byłby zdolny, czym mógłby się stać, gdyby nie górujący nad nim nieustannie cień ojca. Wzniósłszy się na fali jej cudnego aromatu ponad własny ból i złość, Tom Junior ujrzał nagle siebie w roli zdobywcy ojcowskiego imperium – prawowitego dziedzica tronu McGuire'ów. To on, nie Thomas, powinien stać się niekwestionowanym lordem wyszynku w Ballinacroagh. Z Lejlą u boku Tom Junior potrafiłby rzucić ojca na kolana i wreszcie zyskać suwerenność.

Donośne głosy wyrwały go z rozmarzenia. Uniósł gwałtownie głowę i krzak zaszeleścił. Tom Junior wstrzymał oddech i zamarł w bezruchu, wpatrzony w otwarte drzwi kościoła. Wyszła stamtąd fryzjerka, Fiona Athey, z wielkim różowym transparentem i przezroczystą szaszetką, pełną kolorowych flamastrów. Zarzucając warkoczami na prawo i lewo, trajkotała z ożywieniem. Przez chwilę Tom Junior myślał, że postrzelona fryzjerka gada sama do siebie, ale oto w ślad za nią wyłonił się

ojciec Mahoney, z ożywieniem kiwający głową. Tom Junior wyteżył słuch, by pochwycić choćby strzępy ich rozmowy.

– ...dwa lata temu na Festyn Puka. I wypożyczą nam je chętnie na cały weekend – perorował rozpromieniony ojciec Mahoney.

– Amfiteatr! Nie wierzę własnym uszom! To wprost idealnie! – Fiona aż zatańczyła z radości na chodniku.

– Dziś je odbieram z Centrum Sztuki. Wszystko ze sklejki, więc trzeba będzie trochę podreperować. Malachy już się zgłosił do pomocy.

– Chce ksiądz teraz pojechać do Castlebar?

Tom Junior skrzywił się. Ten drań Malachy wychodził właśnie z kościoła, obejmując Lejlę. Jego Lejlę!

– Zasaraniec jeden – wymamrotał pod nosem Tom Junior. Chętnie rozwaliliby bratu łeb przy najbliższej okazji.

Podbite oko raz jeszcze przypomniało o sobie przeszywającym czaszkę bólem, gdy Tom Junior wytrzeszczył je na Malachy'ego, który uściskał czule Lejlę i wsiadł do rozklekotanego czarnego cadillaca ojca Mahoneya, model Eldorado 1975. Tom Junior przeniósł wzrok na Lejlę: pomachała Fionie na do widzenia i samotnie przeszła przez skwer, po czym skręciła w boczną uliczkę, wiodącą od Main Mall do zatoki Clew. Tom Junior wygramolił się z liściastej kryjówki, powyciągał gałązki z włosów i choć serce waliło mu jak oszalałe, nonszalanckim krokiem podążył w ślad za

dziewczyną.

Wąska uliczka biegła wzgórzem, szpalerem dwupiętrowych domów z epoki króla Jerzego, o szerokich drzwiach wejściowych, malowanych za lepszych czasów w żywe odcienie błękitu, zieleni i czerwieni przez dawnych, prosperujących właścicieli. Teraz były to w większości smętne rudery o wapiennych portykach, porośniętych gęstymi kozuchami bluszczu, i wspaniałych niegdyś apartamentach, podzielonych na zagrzybione mieszkania. Tom Junior piął się wolno stromym trotuarem, utrzymując bezpieczną odległość od Lejli. Zanim dotarł do szczytu, ona już zniknęła za zakrętem, gdzie uliczka, mijając kilka rozproszonych farm mleczarskich, schodziła wprost na plażę zatoki Clew.

Burzowe chmury zbierały się pośpiesznie nad zatoką, gdy Tom Junior stanął wreszcie na piaszczystym wale. Lejla siedziała już wygodnie na swojej ulubionej wydmie, jakieś pięćdziesiąt jardów dalej, z głową wzniesioną ku niespokojnemu niebu. Łagodny prąd powietrza niósł jej upajający cynamonowo-różany aromat, drażniąc zgłodniałe serce Toma Juniora.

Lejla westchnęła z radosną ulgą. Miniony tydzień był wyjątkowo upalny, a salka katechetyczna, budowana z myślą o schronieniu przed zdradziecką zawieruchą na długie godziny zmudnych studiów nad słowami Pisma, pozbawiona była wentylacji odpowiedniej na wspaniałe lato, którego doświadczało w tym roku miasteczko. Próby teatralne w przegrzanym pomieszczeniu okazały się wprost

nieznośne, więc Lejla z chęcią wystawiała spocone ciało na chłodne pieszczoty morskiej bryzy. Raz jeszcze zerknęła na zegarek, niecierpliwie wyczekując chwili, gdy Malachy zakończy wspólną misję z ojcem Mahoneyem i odnajdzie ją na plaży. Jak by to było romantycznie, pomyślała, obejmując kolana ramionami, gdyby burza przyłapała ich we dwoje. Całkiem jak w kinie. Uśmiechnęła się szeroko i mrugnęła w górę, ku szczytowi naburmuszonego Croagh Patrick, dzieląc się swą fantazją z prastarą górą.

Gnany nagłą, niekontrolowaną tęsknotą Tom Junior właśnie w tym momencie ujawnił się Lejli. Gorączkowym sprintem pokonał wydmy, pojękując głucho z głębi rozdygotanych trzewi, i zaskoczył dziewczynę od tyłu. Gruzłowatymi paluchami rozdarł jej jedwabną bluzkę i wpił się niezdarnie w obnażony brzuch. Lejla w pierwszej chwili pomyślała, że to w Malachy'ego wstąpiła dzika bestia – ale oto ujrzała przed sobą szkliste oczy i rozdęte nozdrza Toma Juniora. Rozdziawione usta napastnika zdusiły całą jej twarz, tłumiąc krzyki. Tom Junior wgryzł się dziko w wewnętrzną część dolnej wargi Lejli, kalecząc miękką tkankę o strukturze owocu granatu. Wielkim jak befszytk łapskiem sięgał właśnie pod jej dzinsową spódniczkę, kiedy – ni stąd, ni zowąd – na jego lewą skroń spadł cios kościstej pięści.

## Fesendżun

*½ kg posiekanych orzechów włoskich  
oliwa z oliwek  
1¼ kg piersi kurczęcia bez skórki, pokrajanej w kostkę  
3 duże cebule, pokrajane w plasterki  
6 łyżek przecieru z granatów, rozpuszczonego w 2 szklankach  
gorącej wody  
½ łyżeczki soli  
½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu  
1 łyżka cukru  
2 łyżki soku z cytryny*

Orzechy mleć w mikserze przez 1 minutę, a następnie obsmażyć na oliwie przez 10 minut, nie przerywając mieszania. Odstawić. Pokrajanego kurczaka z cebulą obsmażyć w głębokim rondlu na złoty kolor. Dodać orzechy, przecier z granatów i pozostałe składniki. Doprowadzić do wrzenia. Zmniejszyć ogień i dusić pod przykryciem przez 45 minut albo dopóki sos z granatów nie zgęstnieje. Podawać z *czelou*.



Dziewczynka od druciarzy zapukała do kuchennych drzwi o wpół do trzeciej po południu. Mardżan pamiętała ją z grupki piegowatych dzieciaków, które wystawały przed witrynami kawiarni jeszcze długo po tym, jak reszta ciekawskiej dziatwy szkolnej rozchodziła się po domach, zostawiając szyby wypaćkane palcami. Ta chytra zgraja irlandzkich uliczników, pochodzących z wędrownego obozowiska, większą część dnia spędzała, zebrząc z plastikowymi kubkami w rękę przed sklepami Main Mall. Lecz chociaż bez skrpułów napastowała klientów w lokalach McGuire'a, to z niewyjaśnionych powodów Café Babilon darzyła cichym szacunkiem i nigdy nie zapuszczała się w obręb jego cynobrowych ścian.

– Cześć. Mogę ci w czymś pomóc? Chcesz wejść do środka? – Mardżan uśmiechnęła się do dziewczynki, stojącej nieśmiało w przydomowym ogródku.

Mała mogła mieć z dziewięć lat. Była blada, drobnokoścista, o szeroko rozstawionych ciemnoniebieskich oczach i długich włosach koloru marchewki, zebranych w potargany koński ogon. Pokręciła głową i na moment spuściła wzrok, zanim wyrzuciła z siebie na wpół zrozumiałą wiadomość:

– Niech lepiej idzie nad woda. Niech szybko idzie! Mamy jej siostra. Ona zbita, no!

To wystarczyło, aby Mardżan zrozumiała, że stało się

coś bardzo złego.

Pędząc przez Main Mall zieloną furgonetką, Mardżan robiła, co mogła, aby pojąć cokolwiek z zagmatwanych wskazówek dziewczynki, tłumaczącej jej drogę do obozowiska wędrowców, a zarazem utrzymać w ryzach serce, które biło jak oszalałe. Dojechały wreszcie na plażę zatoki Clew. Furgonetka stanęła na parkingu z pierwszym grzmotem, który przetoczył się nad zatoką. Plaża, poza samotnymi wydmami, gdzie przesiadywała Lejla, pełna była starszej młodzieży szkolnej, w której tłumie wyróżniali się nieliczni farmerzy w slipkach Speedo – wszyscy opaleni na różowo, w różnych odcieniach. Gdy tylko plażowicze usłyszeli pomruk burzy, pozbierali błyskawicznie niewykorzystane emulsje do opalania, pozwijali świeżutkie ręczniki kąpielowe i rzucili się biegiem do samochodów lub rowerów.

Dziewczynka od druciarzy poprowadziła Mardżan piaszczystą ścieżką, zaśmieconą trawą i okruchami butelek, na żwirowany plac, zastawiony ciasno domami na kółkach. Mardżan obrzuciła je szybkim spojrzeniem. Pięćdziesięcioletnie landary z chromowanym dachem sąsiadowały z szykownymi modelami z ubiegłego roku, wyposażonymi w najnowsze zdobycze kempingowej technologii. Wszystkie razem tworzyły ciasny krąg wokół powierzchni komunalnej, zastawionej prowizorycznymi stołami z drewnianych skrzynek i składanymi krzesłami. Na skraju jednego z białych plastikowych krzesel siedziała Lejla, potargana, z piaskiem we włosach. Podrapane

łokcie opierała na kolanach i urwanym byle jak kawałkiem gazy tamowała krew z rozciętej wargi. Obok niej przykucnął Malachy i mówił coś niezwykłym u niego, gniewnym tonem, zaciskając delikatne dłonie w pięści.

– Lejla! Co ci się stało? Co tu się dzieje? – krzyknęła ze zgrozą Mardżan, podbiegając do siostry.

Lejla podniosła się chwiejnie.

– Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. Tylko... – Urwała, nie wiedząc, od czego zacząć.

Malachy usiłował powściągnąć gniew, ale głos mu się łamał.

– Przyszedłem tuż po fakcie. Nigdy sobie nie daruję... – wyznał głuchym tonem winowajcy. – Ojciec Mahoney podrzucił mnie w okolice plaży, gdy wracaliśmy z Centrum Sztuki. Lejli nie było na naszym zwykłym miejscu, więc usiadłem na wydmie i czekałem. Myślałem, że może poszła do toalety na parkingu i zaraz wróci. Jak mogłem być taki głupi! – Pokręcił głową, kompletnie zdruzgotany. Z początku podejrzewał nawet, że któryś druciarz zaczepiał Lejlę na plaży i wystraszył ją. Wstydził się teraz tamtej myśli, wiedząc, kto rozciął wargę jego ukochanej i kto uratował ją przed poważniejszą krzywdą.

To Declan Maughan, dwukrotny mistrz bokserski wagi średniej w amatorskiej lidze Connaught i przywódca karawany druciarzy, wyrwał Lejlę z lubieżnych łap Toma Juniora. Szczęśliwym trafem Declan szukał właśnie okazji do przećwiczenia na kimś „kombinacji Maughana” – systemu ciosów, który po raz trzeci zapewniłby mu sukces

w ringu.

Gdy przegnano ich z trzeciego kolejnego obozowiska (dwukrotnie traktorami w Donegal i raz za pomocą stada rozjuszonych krów w Galway), Declan przeprowadził karawanę na plażę zatoki Clew, by tam przekoczowała sezon wiosenno-letni. Znał zalety piaszczystego terenu dla ćwiczeń wytrzymałościowych. Jednak tego dnia wyjątkowo nie odbył porannego treningu, gdyż poprzedniej nocy zapił ostro z obozową młodzieżą płci męskiej. Balowali prawie do rana, szwendając się całą bandą po Main Mall z butelkami guinnessa w uniesionych pięściach i wyśpiewując w głos rebelianckie piosenki. No a potem była jeszcze bójka w piwiarni McGuire'a z tymi dwoma idiotami – bójka, którą Declan się szczyił, gdyż wraz z kumplami wyszedł z niej zwycięsko, zanim w pośpiechu wycofali się do obozowiska. Kiedy więc Declan, wciąż lekko skacowany, dotarł po południu na plażę, ani się nie spodziewał, że ujrzy tam tego samego gnojka, który parę godzin wcześniej sprowokował go do rękoczynu.

Zauważył z daleka, jak Tom Junior tarza się na szczybie wydmy, ryjąc piach tłustymi kulasami z wdziękiem świstaka. Declan zwolnił kroku i zmrużył oczy pod słońce. Jeśli wzrok go nie mylił, to ten drań nie był sam. Jakaś nieszczęsna dziewczyna próbowała się spod niego wyrwać! Mocne nogi przeniosły Declana sprintem po piasku – frunął wprost nad miążkami kopczykami i płataninami wodorostów, aż wylądował tuż za Tomem Juniorem. Trwało to nie dłużej niż parę sekund.

– Ja go zabiję, Lejlo. Jeśli ci cholerni strażnicy na posterunku nic nie zrobią, to, słowo daję, pójdziemy z tym aż do Castlebar – odgrażał się Malachy, coraz mocniej zaciskając pięści, aż pobiełały mu knykcie.

– Gdzie jest ten człowiek, który ci pomógł, Lejlo? – spytała Mardżan, rozglądając się po obozowisku.

Ciekawość zwabiła do nich grupkę koczowników: psotna rudowłosa Aoife przyciągnęła za sobą kilkoro innych urwisów i cztery ciamkające gumę do żucia, obwieszone złotem kobiety, które przyglądały się Mardżan z wielką czujnością. Dwóch starszych, niechlujnych mężczyzn w wystrzępionych bluzach od dresu siedziało nieopodal na krzesłach, ćmiąc papierosy. Lecz Declana Maughana nigdzie nie było widać. W istocie obserwował on całą scenę ze swojego domu na kółkach – najnowszego i najelegantszego campera w obozowisku – ale ogłupiający wstyd, jaki zawsze dopadał go w obecności obcych kobiet, powstrzymywał wodza karawany przed ujawnieniem się i przyjęciem pochwały za bohaterski czyn.

– Trochu niedomaga. Pani coś chciała? – Najroślejsza z kobiet wystąpiła do przodu. Jej natapirowany, usztywniony lakierem hełm włosów skojarzył się Mardżan z przejrzałym kumkwatem. Postawę miała władcą – i nic dziwnego, była bowiem starszą siostrą Declana Maughana.

– Chciałam mu tylko podziękować. Strach pomyśleć, do czego by doszło, gdyby nie przybył na ratunek mojej siostrze – odparła Mardżan. Spróbowała się uśmiechnąć,

ale stać ją było tylko na niewyraźny grymas. Czowała, że traci opanowanie.

Weź się w garść, Mardżan, strofowała się w duchu. Najlepiej wróć do kuchni, tam postanowisz, co dalej. Może w bezpiecznym, ciepłym otoczeniu kuchennych ścian łatwiej będzie pojąć sens tego, co się stało.

Bahar zamknęła drzwi kawiarni za Marie Brennan i panią Boylan. Nalała sobie filiżankę mocnej herbaty darjeeling, usiadła przy kuchennym stole i odtworzyła w pamięci słowa starszej siostry.

– Tylko przypilnuj abgusztu, Bahar. Zamieszaj co jakiś czas, dobrze? Ja niedługo wrócę – wyszeptwała nagłoco trupio blada Mardżan, zanim wypadła z domu kuchennymi drzwiami.

Gdyby nie to, że Bahar niosła akurat zamówienie dla pani Boylan – faszerowaną paprykę w marynacie i zupę z czerwonej soczewicy – pobiegłaby za siostrą, domagając się wyjaśnienia, co też nią tak wstrząsnęło. Zanim jednak wybiegła na brukowaną uliczkę, Mardżan zdążyła już wymanewrować furgonetkę i odjechać.

Stało się coś strasznego – Bahar była tego pewna. Bo inaczej czemużby Mardżan wybiegała tak nagle z domu, polecając jej w dodatku pilnowanie perkoczącego abgusztu? Wiedziała przecież doskonale, że Bahar nienawidzi stać przy rozpalonej kuchni. To Lejla, powiedziała sobie w duchu Bahar. Coś się stało Lejli.

Za jej plecami rozległ się przeciągły brzęk. Telefon. To pewnie Mardżan, ze straszną wiadomością. Bahar

podniosła słuchawkę i powoli zbliżyła ją do ucha.

– Ha... halo? – Przełknęła z trudem, czując kluskę w gardle.

Z drugiej strony linii nikt nie odpowiedział. Martwa cisza.

– Halo? To ty, Mardzan?

Zrazu nie zwróciła uwagi na sapanie dobiegające ze słuchawki. Dotarło do niej dopiero głośne „szszszuuu”, jakby ktoś wypuścił powietrze z balonu. W tej deflacji zmysłów, w tym zwodniczo niewinnym wydechu, pobrzmiwało ledwo hamowane zagrożenie. Po paru sekundach odgłos ustał, zakończony nagłym, chrapliwym, ledwie słyszalnym pomrukiem. I cisza.

Słuchając tej ciszy, Bahar poczuła gwałtowne, bolesne ssanie w płucach. Bezwiednie otworzyła usta i zdumiewając samą siebie, spytała:

– Hossein?

Wyrzuciła to imię z drżących ust jak kulkę ołowiu. Mimo iż mąż zajmował stałe miejsce w ciemnej niszy jej jestestwa, od miesięcy nie wymawiała jego imienia. Coś w tym szumie ze słuchawki, w tym przenikliwym „szszszuuu”, kazało jej pomyśleć właśnie o nim. *Hossein*. Ciarki ją przeszły na złośliwy syk środkowych spółgłosek tego imienia. Nie panując nad drżeniem dłoni, Bahar odłożyła słuchawkę na widełki aparatu i osunęła się na najbliższe krzesło.

Na posterunku Garda sporządzono szczegółowy raport. Wstrząśnięty doniesieniem o napaści, której dopuścił się

Tom Junior, Kevin Slattery gryzmolił w zakurzonej księdze zgłoszeń zeznania Lejli i Malachy’ego, a strapiiony sierżant Grogan krążył tam i z powrotem po korytarzu, głowiąc się, jak podejść do tego nowego kryzysu. Nie ulegało wątpliwości, że sprawa wymaga wnikliwego rozpatrzenia.

– Zapewniam, że niebawem wszystko wyjaśnimy – obiecał Grogan, delikatnie sterując trojgiem interesantów w stronę wyjścia z posterunku. – W naszym mieście to nie do pomyślenia, żeby obywatel napadał na drugiego jak, nie przymierzając, zwierzę. Tu nie Dublin.

Odwiózłszy pod dom Malachy’ego, Mardżan wjechała w brukowaną uliczkę za kawiarnią i z poważną miną odwróciła się do siedzącej na fotelu pasażerskim Lejli.

– Chcę z tobą o czymś pomówić, zanim wejdziemy – rzekła słabym, rwącym się głosem, po czym zamilkła i spojrzała uważnie w oczy Lejli. – Myślę, że nie powinniśmy informować Bahar o tym, co cię spotkało.

– Dlaczego nie? Przecież mogłam zostać zgwałcona! – oburzyła się głośno Lejla, boleśnie wykrzywając twarz.

– Wiem o tym, *dzun-e man* – odparła czule Mardżan. – I wszystko jej powiemy, tylko trochę później. Nie teraz. Ona jeszcze nie doszła do siebie po twoim ostatnim zniknięciu i sama wiesz, jak strasznie nasiliły się jej migreny. Sądzę, że obie powinnyśmy ją trochę oszczędzać.

– No to jak wytłumaczyć rozciętą wargę? – nadąsała się Lejla. Ranka już nie krwawiła i była oczyszczona z piasku, lecz wokół niej powstał obrzęk i siniak, którego Bahar nie mogłaby przeoczyć.



– Nie musisz bardzo kłamać. Powiedz po prostu, że przewróciłaś się na wycieczce z Malachym albo coś w tym stylu. Rozumiesz? – nalegała błagalnie Mardżan.

Jej młodsza siostra odwróciła się nagle do okna, a w jej oczach błysnęły łzy.

– Lejla?

– Historia się powtarza – rzekła głucho Lejla, artykułując słowa, które i Mardżan miała na myśli, lecz nie ośmieliła się ich wymówić.

Tego samego dnia wieczorem Mardżan stała w kuchni przy mikserze. Z dworu dobiegał dziki szczeł zasuw, targanej wiatrem tylnej furtki. Wszystkie zioła w przydomowym ogródku – cząber, mięta, estragon – chyliły się przed nawałnicą, szalejącą od chwili powrotu Mardżan i Lejli z posterunku Garda. Patrząc teraz na niebo, pomyślała Lejla, nikt by się nie domyślił, że ranek był tak piękny i bezchmurny.

Włączyła mikser, którego okrutne stalowe ostrza błyskawicznie zmeły orzechy włoskie na brązową papkę. Dodała przecier z granatów i cynamon, pomiksowała jeszcze chwilę i wyłączyła urządzenie. Wiedziała, że nie wolno jej tracić głowy, jeśli chce właściwie przyrządzić *fesendżun* – ożywczą duszoną potrawę z granatów, kurczaka i orzechów, stanowiącą ulubione lekarstwo Lejli na wszelkie smutki.

To owoc granatu nadaje fesendżunowi uzdrawiające właściwości. Granat – jabłko grzechu pierwotnego, owoc dawno utraconego raju – chroni się w skórzanym

karminowym pancerzu, stosowanym za czasów rzymskich jako łuska ochronna. Wystarczy jednak obrać go z gorzkiej skóry, a ukaże szczęśliwemu łasuchowi soczyste purpurowogranatowe wnętrze, którego eksplozja w ustach jest jak spełnienie aktu miłosnego.

Dawno temu, gdy ziemia trwała nieruchomo, radując się płodnością wiecznej wiosny, a Demeter była matką wszystkiego, co naturalne i kwitnące, ten właśnie kusicielski owoc dał początek zmiennym porom roku. Spożywszy sześć ziaren granatu w świecie podziemnym, Persefona, niesforna córka bogini wiosny, skazana została na spędzanie sześciu miesięcy każdego roku w wiecznych lochach śmierci. Demeter, pozbawiona towarzystwa pięknej córki, chroniła się na czas żałoby w ciemne zakamarki wszechświata, zezwalając na otwarcie lodowych bram zimy. Granat, okrągły, karminowy herold mrozów, dojrzewa w październiku i listopadzie – dlatego *fesendzun* z jego koncentratu najlepiej przyrządzać we wszystkich pozostałych miesiącach roku.

*Fesendzun* bulgotał wesoło na kuchni, błogo nieświadomy szykującego się kryzysu. Nawet słodki smak granatu nie zdołał przyćmić goryczy, która zrodziła się między trzema siostrami. Bahar, zgodnie z przewidywaniem Mardżan, przejęła się bardzo rozciętą wargą Lejli. Zbeształa srogo młodszą siostrę, przypominając jej o pułapkach romansowania, po czym z bólem głowy poszła do łóżka. Zgnębiona Lejla leżała nieruchomo na kanapie, na której zwykle sypiała Mardżan,

zmieniała co chwila telewizyjne kanały, aż zasnęła z pilotem w ręce. Do jej skaleczonych ust przyłgął skrawek papierowej chusteczki.

Złowieszcze słowa Lejli dudniły echem w głowie Mardżan. *Mogłam zostać zgwałcona. Historia się powtarza.* Po raz kolejny Mardżan zdumiała się, jak wiele Lejla pamięta z przeszłości, zwłaszcza że była wtedy taka malutka.

Historia się powtarza. Czyżby historia rzeczywiście była tak okrutna? Mardżan sama już nie wiedziała, co myśleć. Uniosła pokrywkę i raz jeszcze zamieszała *fesendżun*. Przecier z granatów nadał całej potrawie kasztanową barwę. Gęsta ciecz przelewała się w garnku, poruszana własnym, grzesznym życiem. Historia się powtarza. Może i tak.

Blisko cztery miesiące po ślubie z Hosseinem i trzy dni po pamiętnej masakrze Czarne Piątku na placu Żale Bahar przywlokła się do teherańskiego mieszkania sióstr o drugiej nad ranem. Tak cichutko wśliznęła się do wąskiego łóżka, dzielonego dawniej z małą Lejlą, że Mardżan nie zauważyła jej obecności aż do świtu. Najstarsza z sióstr przebudziła się z niechęcią o szarej godzinie, aby zmobilizować siły na kolejny dzień zmywania niezliczonych brudnych talerzy w restauracji Rajski Ptak – a naprzeciwko niej leżała w łóżku zmaltretowana Bahar.

Na szyi miała purpurowe i żółte ślady palców, fioletowy wylew podskórny pod lewym okiem i drugi koło

prawego ucha, na którego rozszarpanym płątku przyschły, niczym bezcenne klejnoty, krople krwi. Jednak najcięższe obrażenia pozostawały niewidoczne, dopóki Bahar nie wyłuskała się z czadoru, długiej szarej spódnicy, wełnianych pończoch i przesiąkniętego krwią podkoszulka. Dopiero wówczas zobaczyła Mardżan głębokie ślady po ciosach pałąką na udach siostry, przypominające kostropatą drabinę, wiodącą w głąb jej ciała nieopisanie bolesnymi ranami.

Spakowały manatki jeszcze tego samego ranka.

Wyciągnęły z lamusa dwie kraciaste walizki, zakupione przez rodziców w londyńskim sklepie Burberry podczas ich jedynej wyprawy do Europy w wesołych latach pięćdziesiątych, a więc przed narodzinami dziewczynek, w czasach gdy pałace szacha lśniły jeszcze tysiącami rubinów. Walizki pachniały niepewnością, kulkami na mole i kredową łupiną zeschniętych orzeszków pistacjowych. Mała Lejla wciąż spała w swoim łóżku, gdy Mardżan i Bahar przystąpiły energicznie do pracy, zawijając wszystkie pamiątki, które żał byłoby zostawić, w obszerne swetry i długie skarpety. Spakowały samowar babki, stare fotografie, mosiężną szkatułkę z biżuterią, ubrania, torebki suszonych owoców, słoiki *torszi* i świeżych konfitur z pigwy oraz płatków róży (bogatych w cukier, który miał im dostarczać energii w nadchodzących dniach). Ostatnią rzeczą, którą dołączyła do bagażu Mardżan, był plik liniowanych kartek z przepisami kulinarnymi, po części odziedziczonymi po

matce, po części zaś zapożyczonymi przez lata pracy z restauracji Rajski Ptak. Wśród notatek sporządzonych pedantycznym pismem Mardżan znalazły się takie skarby jak receptura na bakławę pistacjową, uwaga o tym, że drylowane wiśnie należy dodać do *albalou polou* przed zalaniem połową filiżanki syropu z wiśni, oraz gruby brulion, pełen porad dotyczących prowadzenia ogrodu zielarskiego, spisanych przez nią za czasów studiów uniwersyteckich.

Dzień później, tuż przed gromkim wezwaniem do porannej modlitwy z pobliskiego meczetu, Mardżan wyszła z domu, zabierając kopertę z metrykami urodzenia wszystkich trzech sióstr i innymi cennymi dokumentami, ukrytą pod czadorem, który pożyczyła od Bahar. Przemykając się arkadami i ciemnymi uliczkami, dotarła do centrum, na Roosevelta, gdzie mieściła się ambasada amerykańska. Obwarowana murem niczym forteca i gęsto obstawiona przez marines, ambasada stanowiła oczywisty obiekt nienawiści wielu rewolucjonistów. Jej wysoka zielononiebieska brama w północno-zachodnim skrzydle betonowej bariery otwierała się ze zgrzytem tylko za pozwoleniem strażników – srogich, wąsatych policjantów irańskich, którzy dziwnie nie pasowali do ceglano-marmurowej fasady gmachu placówki. Kolejkę pełnych nadziei pretendentów do wizy tworzyli głównie młodzi, brodaci mężczyźni, koczujący na zgrzebnych kilimach i obszarpanych kocach. Porozkładali przed sobą najświeższe lewackie gazetki z dziesiątkami artykułów

głoszących rychłe nadejście rewolucji, powstania nad powstaniami, które zboczy wszystkie ulice młodą krwią.

Modląc się gorąco, aby udało się jej złożyć formularze wizowe, Mardżan stanęła w kolejce do ambasady o rześkim wrześnieowym poranku. Do zmierzchu jedyną kolejką, która drgnęła, był nieprzerwany korowód pracowitych mrówek, wędrujących po wysokim murze. Przed dziewiątą wieczorem, ogłoszoną przez szacha godziną policyjną, Mardżan opuściła posterunek i z pustymi rękami pośpieszyła do domu. Jutro stanę w kolejce o świcie, postanowiła sobie, gramoląc się na górę po zapuszczonych schodach bloku, który od dwóch lat wraz z siostrami nazywała domem. Ale wszystko było lepsze od tamtego piekła na ziemi, od Hosseina Dzaferiego. Mardżan cieszyła się, że Bahar w końcu otrzeźwiała i odeszła od męża, żałowała tylko, że za decyzję siostry przyszło im płacić tak wysoką cenę.

Na dziesiątym piętrze stanęła dla złapania tchu i poczuła się nagle bardzo słabo. Od poprzedniego dnia nic nie jadła. Ciekawe, pomyślała, czy Bahar odgrzała na kolację tę zupę z granatów, która stoi w garnku. I czy pamiętała, aby w trakcie podgrzewania dosypać szczyptę sproszkowanej anżeliki – to na szczęście. Zabieganie o pomyślność losu było aktem wielkiej wiary, niezmiernie potrzebnym w tych przeraźliwie trudnych czasach.

Na dwunastym piętrze poczuła ciężki swąd przypalonego przecieru z granatów – smętny, słodkawy, a zarazem kwaskowaty, budzący mgliste wspomnienie

bezpiecznego schronienia w łonie matki. Na czternastym swąd zmaterializował się w imponującą chmurę gorzkiego, brunatnego dymu. Mardżan zakryła piekące oczy skrajem czadoru i przyśpieszyła kroku. Zdyszana, stanęła jak wryta przed drzwiami mieszkania. Całe w drzazgach, z zerwanym mosiężnym łańcuchem, drzwi dyndały na jednym zawiasie, a drewniana framuga szczyrzyła się gęsto ostrymi jak sztylety szczapami. Zszokowana Mardżan stała jak w transie przed najeżonym kolcami wejściem – dopiero zduszone krzyki z głębi mieszkania przywróciły jej przytomność.

Najpierw spostrzegła ubłocone żołnierskie buty, dopiero potem jego ptasi profil. Hossein klęczał skulony jak na modlitwie; chude, sterczące łopatki jego pleców tarły o siebie, głowa kiwała się z fanatycznym ferworem w tył i w przód. Z dalekiego kąta kuchni dobiegł przejmujący, płaczliwy krzyk. Zupa z granatów kipiała w garnku, gęsty kożuch owocowej piany uniósł pokrywkę – i w tej samej chwili z kościstych kleszczy ciała Hosseina wyswobodziły się drobne, obleczone w skarpetki stopy Bahar. Coś wielkiego przemknęło tuż przed oczami Mardżan, aż skuliła się instynktownie w obawie przed ciosem. Natychmiast jednak uświadomiła sobie, że narzędziem zamachu była jej własna ręka, uzbrojona w drewnianą listwę wyrwaną z framugi drzwi. Jakby wiedziona jakąś zewnętrzną siłą, Mardżan zacisnęła oczy i z impetem wbiła ostrą szczapę w nogę Hosseina Dżaferiego.

Odwrócił się jak w powolnym, bezgłośnym tańcu – ten sam mężczyzna, na którego ślubie Mardżan rzucała ryż na szczęście, modląc się gorąco, by białe ziarno ochroniło jej siostrę przed wszelkimi trudami życia. Wyglądał przerażająco, z długą brodą i łysiejącą czaszką o łuszczącej się skórze; głębokie blizny na jego twarzy pulsowały krwawą wściekłością.

– Ty kurwo!

Hossein rzucił się na Mardżan z pałką, z którą nie rozstawał się w ulicznych zamieszkach. Ostra szczapa drewna wciąż tkwiła w jego nodze. Bahar zerwała się błyskawicznie z podłogi i chwyciła gar wrzącej zupy. Zbyt długo trzymana na ogniu zupa zamieniła się w kłajster oblepiający owocową masą ściany garnka. Połowa zawartości zestaliła się już w czarny monolit, ale reszta spłynęła obficie na głowę Hosseina. Padł bez czucia, uderzony w czoło rozpalonym skrajem ciężkiego gara, a wrzący syrop z granatów oblał kałużą całe jego bezwładne ciało.

Przeraźliwy krzyk z przedpokoju wyrwał Mardżan z mrocznego oszołomienia. Pobiegła do małej spiżarki i wyratowała najmłodszą siostrzyczkę spod lawiny suszonych liści kozieradki i pozlepianego sumaku. Całując buzię Lejli, sprawdzała, czy nie ma na niej obrażeń, lecz z ulgą odkryła jedynie ślady łez i ceglaste plamy po sumaku.

– Teraz szybko dokumenty! I czadory! Niedługo godzina policyjna! – wyszeptwała gorączkowo Mardżan.



Odwróciła się do Bahar, która dygotała niczym *szole zard* – pudding szafranowy, wymagający ciężkiej misy dla utrzymania w ryzach swojej migdałowej, galaretowatej materii. Twarz Bahar była trupio blada, jakby cały jej kolor skupił się u nasady zmaltretowanej szyi. Nos krwawił, a płat skóry zerwanej wraz z włosami zwisał na jednym cienkim pasemku. Hossein wciąż nie dawał znaku życia, ale Mardżan wiedziała, że czasu zostało niewiele. Z pochlipującą Lejlą na ręku wyciągnęła Bahar z kuchni do małego saloniku.

– Spójrz na mnie, Bahar! – Uniosła głowę siostry za podbródek i zajrzała w jej nieprzytomne oczy. – Musimy stąd iść, rozumiesz? Musimy iść!

Bahar, nie mrugając oczami, wpatrywała się w okolice piersi Mardżan, gdzie podłużne rozdarcie czadoru odsłaniało bluzkę z białym kołnierzykiem.

Idąc za jej wzrokiem, Mardżan spostrzegła krew. Plama krwi rozrastała się błyskawicznie od pachy na całą pierś, jak rozkwitający mak. Tam gdzie ramię łączy się z barkiem, sterczała dziesięciocentymetrowej długości drzazga, wbita głęboko w ciało, gdy Mardżan wbiegała do mieszkania przez poharataną framugę drzwi na ratunek siostrze.

## Lekarstwo na migrenę

*1 łyżeczka mielonej gałki muszkatołowej*

*1 łyżeczka mielonego kardamonu*

*1 łyżeczka mielonych goździków*

*1 szklanka ciepłej wody*

Przyprawy wymieszać starannie w czystym słoiczku lub szklance aż do uzyskania jednolitego brązowego proszku. Zażyć 1 łyżkę stołową i szybko połknąć. Popić ciepłą wodą. W razie potrzeby zażywać co 4 godziny.

Przed Dannym Faddenem leżał nienagannie sporządzony akt własności. Obok dokumentu umowy spoczywała pękata koperta, wypchana banknotami o łącznej sumie dwudziestu tysięcy pięciuset funtów – o pięćset więcej niż to przewidywała wstępna oferta Thomasa McGuire’a. Naczelnny patrycjusz Ballinacroagh miał nadzieję, że tą nieoczekiwaną premią zachęci sklepikarza-odludka do jak najszybszego przekazania mu dzieła swojego życia.

– Podpisz tylko ten papierek, Danny, i pójdziemy do Paddy’ego na kufelek. Trzeba oblać transakcję – namawiał z uśmiechem Thomas, wciskając masywne wieczne pióro w bladą dłoń kontrahenta.

Danny wpatrywał się tępo w kosztowne pióro marki Waterman, z gatunku tych, które mężczyźni na stanowiskach noszą w kieszonkach marynarki wykwinnych włoskich garniturów. Może dzięki podpisaniu tego kontraktu i on stanie się kimś ważnym? Zainwestuje, powiedzmy, część pieniędzy w operacje giełdowe, a z reszty będzie sobie spokojnie żył i kończył swoją encyklopedię czarodziejskich stworzeń. Na razie doszedł do połowy litery K i opracował właśnie hasło „kobold”, oznaczające skrzata-szewczyka, który płata ludziom figle.

Tak, odstąpienie minimarketu Thomasowi McGuire’owi mogło okazać się korzystnym posunięciem,

myślał Danny, gdyby nie to, że tego właśnie popołudnia odwiedził go jego własny kobold, Finnegan. Otworzywszy sklep po półgodzinnej przerwie na herbatę, Danny stwierdził brak dwóch flaszek piwa Beamish na półce. Na ich miejsce ten mały urwis Finnegan podrzucił skrawek turkusowego filcu i liścik: „Mam nadzieję, że nie stęskniłeś się za bardzo. Byłem na wakacjach. Za dwa porterki zwrócę po wypłacie. Na kredyt. Finnegan”.

– No i jak, Danny? Pora chwycić byka za rogi – ponaglał Thomas, szczerząc zęby w wymuszonym uśmiechu.

Danny sięgnął pod ladę, na półeczkę, gdzie trzymał wszystkie liściki od Finnegana. Potarł palcami skrawek filcu – dla kurażu.

– Tylko że widzisz, Thomas, ja nie mogę...

W tej samej chwili do sklepu wpadł przemoczony do nitki Padraig Carey.

– Tom! Tom! – bełkotał zasapany. – Zabieraj się szybko na komisariat! Chodzi o Toma Juniora!

Twarz radnego była purpurowa i obrzękła, wiatr zarzucił mu koniec krawata na ramię.

Thomas rzucił Padraigowi mordercze spojrzenie.

– Chyba ten idiota nie wjechał znowu autem w słup telegraficzny? Co za chłopaczysko... Powiadam ci, Danny, lepiej mieć same córki.

– Sklep n-nie jest... – wyjąkał Fadden.

– Nie ruszaj się stąd, Danny. Zaraz wszystko podpiszemy i zamkniemy sprawę – zarządził Thomas,

zanim tupiąc wściekle, opuścił sklep. – Lepiej, Padraig, żeby to rzeczywiście było coś ważnego. Dobiłbym interesu, gdybyś nie rozdziawił tej swojej głupiej jadaczki. – Znow zmroził radnego wzrokiem.

– Kiedy właśnie próbuję ci powiedzieć, o co chodzi. Z Tomem jest kiepska sprawa – odparł Padraig.

Wgramolili się obaj do małego fiata Padraiga i pełnym gazem ruszyli przez chłostaną deszczem Main Mall. Po drodze na posterunek Garda Padraig przekazał Thomasowi wszystko, co zdołał podsłuchać przez okno komisariatu.

– Te dwie zaparkowały swoją zieloną bagażówkę i weszły do środka. A Malachy za nimi! Zanim zdążyłem przejść przez plac, Sean Grogan zaryglował drzwi. Powiedział mi tylko, że to „sprawa poufna”, niecierpiąca zwłoki, i żebym może zajrzał później. Pies go trącał, Tom! – uniósł się Padraig. – Musiałem podkraść się pod okno, żeby załapać z grubsza, o co chodzi!

Thomas słuchał dalszego ciągu relacji i twarz tężała mu stopniowo w kamienną maskę. Rozwścieczony, nie miał cierpliwości czekać, aż radny zaparkuje, i wyskoczył z fiata, ledwo auto zwolniło, wjeżdżając na plac. Wpadł jak burza na posterunek, ku zaskoczeniu młodego funkcjonariusza Kevina Slattery’ego, który właśnie nalewał sobie słabej herbaty.

– Kevin, co to za heca z moim Tomem? Gdzie Grogan? Kto tu jest szefem, kurwa mać?

Sean Grogan, siedzący w przyległym pokoju, szybko schował raport ze skargą Lejli. Wyszedł na korytarz

i stanął w otwartych drzwiach za plecami Thomasa, zagradzając je wyciągniętym ramieniem. Odchrząknął.

– Na pewno wszystko da się wyjaśnić, Tom. Będę tylko musiał zadać twojemu synowi parę pytań, nic poza tym. Gdybyś tak zechciał powiedzieć mi, gdzie przebywa obecnie Tom Junior...

– Czy mnie słuch nie myli? Pozwalacie jakimś zafajdanym czarnuchom wygadywać, co im ślina na język przyniesie o mnie i mojej rodzinie? Czy ja dobrze słyszałem, he?

– Thomas... – Grogan mógł powiedzieć coś więcej, mógł, zgodnie z zasadami pełnionej funkcji, starać się uspokoić awanturnika, ale za dobrze bawił się furią Thomasa, aby kłaść jej kres. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten świntuch Tom McGuire Junior napastował Lejlę. Chętnie zamknąłby drania nawet na cały rok w aresztanckiej celce komisariatu. Nie oglądając się na to, kto jest ojcem przestępcy.

– A ty, Seanie Grogan, ty chcesz tutaj ciągać mojego Toma? – Oczy wyłaziły Thomasowi z orbit. Nie wierzył własnym uszom. Resztkami sił hamował się, żeby nie dać funkcjonariuszowi w pyzată twarz. A ten Slattery, myślał, drugi mądry: sterczy tu z tą swoją herbatką jak jakaś ciota, którą zresztą jest, i całe miasto o tym wie.

– Jest pewien szkopuł, Tom. Mamy świadka. Ja tu nic nie mogę poradzić.

– Świadka? Jakiego świadka, co to za świadek?

– Niestety, nie mogę zdradzić. To informacja ściśle

tajna.

– W dupie mam twoje ściśle tajne! – ryknął Thomas. Odwrócił się na pięcie i wymaszerował wściekły, popychając po drodze Padraiga na ścianę korytarza. W drzwiach wyjściowych przystanął, wskazał palcem obu funkcjonariuszy i zagroził: – Jeszcze tego pożałujecie, Seanie Grogan! – Po czym oddalił się jak gradowa chmura.

Padraig bez słowa wzruszył ramionami, popatrując na policjantów, i podreptał za Thomasem do samochodu. Krępy radny wiedział doskonale, z której strony ma chleb posmarowany.

Za deszczowymi chmurami, nad niewzruszonym szczytem, do którego Malachy czuł rosnącą niechęć, znajdowała się konstelacja Herkulesa. Jej naczelna gwiazda była chłopcu pociechą w burzach życia, których sam doświadczał.

W alkowie swojej sypialni Malachy pakował ubrania do brezentowego szkolnego plecaka. Matka i trzy siostry obserwowały go zaniepokojone z podestu na piętrze. Przywykły do niesnasek między Malachym a Tomem Juniorem, lecz jeszcze nigdy nieporozumienia między braćmi nie doprowadziły do tego, by jeden z nich chciał wynieść się z domu. Joanne, najmłodsza, rozplakała się głośno, gdy Malachy zaczął rozkręcać swój teleskop.

– Nie płacz, Joanne. Będę was odwiedzał – obiecał Malachy, po czym zwrócił się do matki: – Na pewno nie widziałaś dzisiaj Toma, mamó? Nie oszukujesz mnie?

– Nie widziałam go od rana, Malachy. Może uprowadziła go któraś z tych cudzoziemek? Słyszałam to i owo o tych trzech z kawiarni. Mam nadzieję, że pilnujesz się, jak tamtędy przechodzisz. Kto wie, co by jedna z drugą zrobiła, jakby zobaczyła takiego ładnego chłopaka.

Podeszła, aby pogłaskać go po głowie, ale Malachy odtrącił jej rękę. Po raz pierwszy sprzeciwił się matce i sam ten fakt obudził w nim niespodziewaną furję. Cieszył się, że nigdy nie wspomniał w domu o swojej zażyłości z Lejlą, chociaż kusiło go nieraz przez minione cztery miesiące.

– Cokolwiek się stało, na pewno nie jest tak źle. Wszystko się jakoś ułoży – mamrotała jednostajnym głosem matka, oparta o framugę drzwi sypialni. Ubrana była jak zwykle we czwartki: w czarny, naszywany cekinami sweter i obcisłe elastyczne spodnie, uwydatniające grejpfrutową fakturę jej porytych cellulitem ud. Włosy miała nawinięte na grube gąbkowe wałki, w których spała, podkładając pod głowę cztery poduszki, aby nazajutrz zrobić się na bóstwo. Cecilia McGuire nie wyszłaby z domu, nie ułożywszy sobie fryzury *à la pudel*.

Patrząc teraz na Malachy'ego, nie potrafiła oprzeć się wspomnieniom o dawnym romansie z Juanem Carlosem Escobarem Drugim. Jako córka świętej pamięci burmistrza hrabstwa Cecilia Devereux mogła przebierać w najlepszych kawalerach Mayo, wybrała jednak Thomasa McGuire'a, bo był ambitny i miał piękne, muskularne uda. Ambicje Thomasa – o czym przekonała się wkrótce jako



jego często osamotniona małżonka – miały swoje minusy, toteż Cecilia z radością powitała w porcie statek Juana Carlosa Escobara Drugiego. Przeżyli razem upojne lato sześćdziesiątego siódmego roku. Hiszpański marynarz nauczył Cecilie takich słów jak *amor mío*, *cariño* i *pasión*, grał na najczulszych strunach jej duszy, i chociaż zniknął przed końcem lata, to pozostawił jej po sobie żywą pamiątkę w postaci Malachy’ego.

Chłopiec upchnął w plecaku ostatnią sztukę odzieży – swój ulubiony sweter piłkarski – po czym zarzucił na ramię futerał z teleskopem i wyszedł z sypialni. Pogłaskał po głowie zapłakaną Joanne, pozostałym siostrą, Delii i Helen, skinął w milczeniu na pożegnanie, i poprzysiął sobie w duchu, że już nigdy nie wróci do tej wilgotnej, klaustrofobicznej nory. U stóp schodów zatrzymał się i podniósł wzrok na cztery ogłupiałe twarze, obserwujące go z podestu. Coraz głośniejszy płacz Joanne sprawił, że złość zaczęła go opuszczać. Już otwierał usta, żeby powiedzieć matce i siostrą coś na pocieszenie, gdy przed dom zajechał land roverem Thomas McGuire, trąbiąc rozgłośnie.

Zanim Thomas wpadł do domu, żądając wyjaśnień, Malachy zdążył wymknąć się kuchennymi drzwiami. Po raz ostatni obejrzał się na dom swojego samotnego dzieciństwa, zanim zniknął wśród cieni pobliskiego lasu.

O milę dalej, w klitce na pięterku, służącej jej i Lejli za wspólną sypialnię, Bahar leżała w łóżku nieruchoma jak kłoda. Z koszmarne snu – jedyne, jaki miewała –

zbudził ją zapach gotowanych granatów i błyski piorunów. Usłyszała z dołu trzask zamykanych drzwi od kuchni. To pewnie Mardżan, przemknęło jej przez myśl, wybiegła do sklepu po brakujący składnik do fesendżunu.

Strumyki bólu wytrysnęły za uszami i spłynęły prawą stroną jej głowy, gromadząc się w skroniach. Bahar przekręciła się na drugi bok i półprzytomna sięgnęła po słoiczek z brunatnym proszkiem, stojący w zasięgu ręki na chwiejnym nocnym stoliku. Proszek ten – mieszanka gałki muszkatolowej, kardamonu i goździków, sporządzona według receptury plemienia Baluczi – był silnie działającym środkiem, uśmierzającym łagodne migreny w parę minut po zażyciu. Ostatnio jednak Bahar musiała zażyć co najmniej sześć łyżek, aby ból zelżał, a nawet i w tej ilości lek nie skutkował tak dobrze, jak za pierwszym razem, gdy go zastosowała, na pustyni Daszt-e Lut.

Bahar zbliżyła do ust łyżkę medykamentu i skrzywiła się. Wziąwszy głęboki oddech, przełknęła całą porcję naraz – czuła, jak proszek zsuwa się powoli po tylnej ścianie przełyku niczym piekący żwir. Nigdy nie przywykła do jego ostrego smaku i bezlitośnie chropawej faktury. Dziwne, pomyślała, że lek nie smakował tak paskudnie, gdy podawały go jej na pustyni kobiety z plemienia Baluczi. Nawet teraz, otumaniona przenikliwym bólem głowy, pamiętała doskonale ich serdeczność.

Ogorzałe, odziane w patchworkowe spódnice kobiety

z plemienia Baluczi podarowały Bahar dwa słoiki medykamentu na ból głowy rankiem w dniu ucieczki sióstr z Iranu. Spędziwszy z nimi na pustyni dwie noce, Mardżan, Bahar i Lejla przekroczyły granicę pakistańską, korzystając z pomocy niepiśmiennego hodowcy kóz z pobliskiej miejscowości Zahedan. Za trzy funty człowiek ten przetransportował je cuchnącym gnojem wozem do obozu Czerwonego Krzyża pod pakistańskim miastem Kwetta. Tam, w tłumie innych przerażonych irańskich uciekinierów, przeżyły pięć miesięcy, zanim w końcu wydano im wizy do Zjednoczonego Królestwa.

Ledwie wysiadły na lotnisku Heathrow, wzięły je w obroty oficerowie imigracyjni o byczych karkach. Posypały się wnikliwe pytania, a paszporty sprawdzano aż dwa razy, zanim wbito do nich upragnione stemple zezwolenia na pobyt. Dziewczęta wyszły z szarej, gigantycznej hali dworca lotniczego i udały się wprost do betonowego bloku w południowym Londynie, wskazanego im przez Czerwony Krzyż. Dom ten, zwany Brixton Bay View, zamieszkały był przez zbieraninę lokatorów: uchodźców z Kuby, maniaków dyskotekowych, wyzywających się pod zardzewiałymi schodami, transwestytów dorabiających sobie w roli sprzedawczyń kosmetyków marki Avon, i półnagich dzieciaków z kluczami na szyi, trenujących break dance na parkingu. Mardżan wkrótce znalazła sobie pracę przy faszzerowaniu chleba *pita* w barze Tysiąc i Jeden Kebabów niedaleko Trafalgar Square, oferującym *szisz kabab* i *falafel* na

wynos. Bahar i Lejla włączyły się w codzienny kierat szkolnego życia. Wszystko szło dobrze, chociaż trzeba było się zadowolić skromną dietą, złożoną głównie z podlanego oliwą kuskusu i tłustych skrawków wątpliwej jakości mięsa. Po czterech latach Bahar została przyjęta do Szkoły Pielęgniarskiej Świętego Bartłomieja, a Mardżan awansowała w świecie kulinarnym na stanowisko zastępcy szefa kuchni jamajskiej restauracji Pod Platanem w modnej dzielnicy Notting Hill. Nareszcie przeprowadziły się z bloku do przyjemnego trzypokojowego mieszkanca w Lewisham, gdzie Lejla mogła bawić się w zaułku za domem, nie natrafiając na zużyte igły ze strzykawkę, a Mardżan zdołała wyhodować kilka bezcennych ziół. Bahar natomiast miała tam szanse do końca wylizać się z ran. Lecz mimo wywalzonego z takim trudem spokoju nie umiały pozostać obojętne na to, co działo się w ich ojczyźnie.

Iran wczesnych lat osiemdziesiątych cierpiał na zgałę stanowczo zbyt długotrwałej orgii rewolucji. Rozpętała się wojna domowa, w której wojowniczy mułowie walczyli o władzę z islamskimi socjalistami, lecz żadna ze stron nie potrafiła doprowadzić do ostatecznego rozstrzygnięcia. Echa rewolucji przetoczyły się przez pustynne obszary szejkanatów Kataru, Arabii Saudyjskiej i Kuwejtu, których miodem karmieni władcy odpowiedzieli na zagrożenie przykręceniem kurków z płynnym złotem. A najdotkliwiej ucierpieli w tym chaosie młodzi – trzynastoletni żołnierze, którzy

dzieciństwo poświęcili dla sprawy religijnej. Jak Iran długi i szeroki, cmentarze pełne były nagrobków upamiętniających ich krótkie życie, a spowite kirem matki oplakiwały nienaturalne odwrócenie prawa czasu.

Mardżan śledziła organizowane na całym świecie demonstracje przeciwko nasilającemu się terrorowi islamskiego reżimu w wieczornych wiadomościach BBC, doznając mieszanych uczuć zgrozy i ulgi. Bogu dzięki, że zdołały się w porę stamtąd wyrwać, powtarzała sobie. Jej siostra Bahar wcale jednak nie podzielała tego optymizmu. Nie potrafiła wysiedzieć przed telewizorem, gdy nadawano relacje ze zrujnowanych ulic, pełnych mężczyzn, z których każdy wyglądał jak Hossein. Bała się nie tego, że ujrzy go wśród martwych, lecz przeciwnie – że nie zobaczy zwłok męża wśród innych rozrzuconych ciał na telewizyjnym ekranie. Nigdy nie powinna była ufać takiej idei, takiemu mężczyźnie. Co ją podkuśiło? Bahar nie pamiętała już argumentów, którymi przekonywała siebie i Mardżan do małżeństwa z Hosseinem i wiary w rewolucję, więc teraz, ilekroć na ekranie telewizora ukazywała się blada twarz Jima Muira, przekazującego wieczorne doniesienia z krwawych zamieszek na ulicach Teheranu, wycofywała się pośpiesznie do łóżka, z bólem głowy, który stał się jej najwierniejszym przyjacielem.

I znów minęło trochę czasu. Mardżan znalazła nową pracę w Aioli, krzykliwej włoskiej knajpie w Lewisham, gdzie zaprzyjaźniła się z szefową kuchni, Glorią, do tego stopnia, że mogła jej się nawet zwierzać ze swoich

problemów. Bahar, ukończywszy z wyróżnieniem szkołę pielęgniarstwa, podjęła pracę w domu opieki Green Acres, i choć nie nawiązała tam bliższych przyjaźni, to przynajmniej zaczęła wychodzić z ciężkiej depresji, na którą cierpiała od ponad pięciu lat. Pod koniec roku osiemdziesiątego piątego miewała już, jak dawniej, kilkudniowe przerwy w bólach głowy, a nawet zdarzały jej się ataki śmiechu, gdy razem z Mardżan obserwowała nieporadność Lejli w okresie dojrzewania. I oto nagle, przed czterema miesiącami, w marcowy wieczór, w ich mieszkaniu zadzwonił telefon.

Bahar pierwsza dopadła aparatu.

– Halo?

Czy to prąd elektryczny raził ją przez słuchawkę, czy rozdzwoniły się dzwony Hadesu?

– Myślałaś może, że Bóg jest po twojej stronie, Bahar? Że ja dam się wystrychnąć na dudka tobie i twoim zafajdanym siostrom? – Chrypliwy głos drażnił jej ucho jak papier ścierny. – Nie mogę się już nawet pokazywać na zebraniach, wiesz o tym? Moja matka przestała wychodzić z domu ze wstydu, jaki ściągnęłaś na naszą rodzinę, ty kurwo. Na twoim miejscu zaraz zacząłbym się modlić. Módl się o litość, żono, bo następną osobą, która zapuka do twoich drzwi, będę ja.

Telefon rozłączył się z dziarskim, służbistym brzękiem, wobec którego echo głosu Hosseina zabrzmiało jeszcze bardziej złowieszczo. Bahar przez dobrą chwilę wpatrywała się z niedowierzaniem w słuchawkę, czując

wzbierające mdłości. W wiadomościach BBC nastąpiła akurat przerwa na reklamy, więc Mardżan zwróciła się do siostry:

– Kto to dzwonił, Bahar?

Bahar przewróciła nieprzytomnie oczami. Ogarnęła ją ciemność.

Czyżby to się miało powtórzyć? – myślała teraz z lękiem, mnąc w zaciśniętych pięściach skraj pościeli. Czyżby Hossein wytropił ją nawet w Ballinacroagh? Czy ten niesamowity, syczący odgłos w słuchawce był kolejnym ostrzeżeniem?

I czemu Lejla tak wykrętnie tłumaczyła się z rozciętej wargi? Upadła na wycieczce z Malachym? Kto wie, czy to prawda? Może siostry nie chciały jej zdradzić, co się zdarzyło i co jeszcze się święci, ale Bahar wyczytała to wyraźnie z ich oczu. Próbowwały ją osłonić – niech im Bóg wynagrodzi dobre serca, ale Bahar już знаła prawdę, już odgadła przyczynę krwawiącej wargi Lejli i drżenia podbródka Mardżan. Wszystkie znaki wskazywały na jedno: ten milczący telefon przeznaczony był dla niej.

Zerwała się do pozycji siedzącej. Ludowy środek na migrenę dokonał cudu, w znacznej mierze uśmierzając ból głowy, ale Bahar wiedziała, że ulga nie potrwa długo. Nie ma czasu do stracenia, ponagliła się w duchu.

Lejla wciąż spała na kanapie w salonie. Bahar wyjęła pilota z jej dłoni, zgasiała telewizor, otuliła Lejle kocem po szyję i przez chwilę podziwiała jej piękną twarz. Powinna była być miłsza dla młodszej siostrzyczki, bardziej

wyrozumiała, wyrzucała sobie teraz. Lejla miała przecież dopiero piętnaście lat. Bahar schyliła się, delikatnie pocałowała śpiącą w czoło i podeszła na palcach do skrzypiących schodów. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy stanęła na dole. Kuchnia wyziębiała się błyskawicznie. Bahar spojrzała na stojący na piecyku garnek. Miała rację, to był *fesendzun*.

Woń granatów wzywała ją z powrotem. Kazała wracać, dotrzymać dawno danej i złamanej obietnicy. Tym razem nie będzie ucieczki. Hossein w końcu trafił na jej ślad.

O północy światło w kuchni bezlitośnie raziło oczy. Bez dziennego blasku, sączącego się do środka przez witrażowe okienko, całe pomieszczenie zdawało się ponure i anonimowo funkcjonalne.

Mardżan i Lejla siedziały przy okrągłym stole w grobowej ciszy. Na blacie widniały resztki brązowego proszku – ślad, że Bahar tuż przed wyjściem mieszała w pośpiechu swój lek na bóle głowy. Mardżan machinalnie wodziła palcem po brunatnych ziarnkach.

– Musiała zabrać medykament z sobą. Nigdzie nie widzę słoika – oznajmiła posepnie.

– Nie możemy tak siedzieć, Mardżan! – Lejla zerwała się na nogi, gotowa do podjęcia jakiegokolwiek akcji.

Po gorączkowym przeszukaniu zalanych deszczem pobliskich ulic wróciły do kawiarni i czekały tak już od dwóch godzin, łudząc się nadzieją, że list na stole to jedna wielka pomyłka. Modliły się, aby Bahar zrozumiała



własną głupotę i wróciła. Zabrała swoje rzeczy i osobiste drobiazgi w jednej z kraciastych walizek, a zostawiła tylko karteczkę z pośpiesznie nagryzmołą wiadomością, opartą o żółty emaliowany dzbanek z bukietem niebieskich dzwonek.

*Tak nie może być. Wciąż uciekamy z mojego powodu. Nie zniosę tego dłużej.*

*Bahar*

*Niedługo zadzwonię. Obiecuję.*

– Dlaczego ona to zrobiła? Tyle razy jej powtarzałam, że tu jesteśmy bezpieczne. Nie ma mowy, aby Hossein nas odnalazł. – Mardżan z niedowierzaniem kręciła głową.

– Zadzwonź jeszcze raz na policję!

– Już dzwoniłam. Dwa razy. Każą czekać i koniec. Za zaginioną uznają ją oficjalnie dopiero za dziewiętnaście godzin. – Mardżan zakryła twarz rękami. W ustach czuła natarczywy smak chropawej, korzennej mieszanki. – Wysłałam do rzeźnika na dziesięć minut, najwyżej piętnaście.

– Tak, ale kartkę zauważyłaś dopiero o dziesiątej – przypomniała Lejla.

Mardżan uniosła powoli wzrok i spojrzała siostrze w oczy. Na twarzy Lejli malowało się rozczarowanie. Ma rację, oczywiście, pomyślała Mardżan. Złożoną i opartą o dzbanek kartkę spostrzegła, dopiero kiedy skończyła gotować fesendżun i szykowała się do snu. Już wtedy nie wiadomo było, gdzie szukać Bahar. Co się stało tej dziewczynie?

– Pewna jesteś, że nic nie mówiła, zanim zasnęłaś? – spytała młodsza siostrę.

– Nic, absolutnie. Przez cały czas była w sypialni. Dokąd ona mogła pójść? Przecież nie da się wytrzymać długo na dworze w tej ulewie. – Burza szalała z nieposkromioną wściekłością, niebo nad ulicą rozświetlały drapieżne zygzyki błyskawic. – Daj mi kluczyki od auta. Sama ją znajdę! – krzyknęła Lejla, tupiąc ze zniecierpliwienia.

– Nie, ty zostaniesz w domu – zarządziła kategorycznie Mardżan, wstając od stołu. – Tylko nikogo nie wpuszczaj, dobrze?

Lejla kiwnęła głową, uspokojona powrotem siostry do akcji. Jej ulga nie trwała jednak długo, gdyż od kuchennych drzwi dobiegło nagle donośne pukanie.

– Mardżan? – szepnęła przerażona Lejla.

– Ćśśś... – Mardżan powoli podkrađła się do drzwi. Zbyt ciemno było, aby wiele dojrzeć przez szybę. Tylko cień wysokiej postaci odsunął się, a potem przybliżył na nowo, i znów zabrzmiało natarczywe pukanie. Mardżan dotknęła palcami zimnej klamki, zawahała się chwilę, po czym gwałtownym ruchem otworzyła drzwi. W progu stał Malachy, przemoczony do suchej nitki, z teleskopem i plecakiem, które włókł po ziemi.

## Zupa z granatów

*2 duże posiekane cebule*  
*2 łyżki oliwy z oliwek*  
*½ szklanki żółtego łuskanego grochu, dwukrotnie opłukanego*  
*6 szklanek wody*  
*1 łyżeczka soli*  
*½ łyżeczki mielonego czarnego pieprzu*  
*1 łyżeczka kurkumy*  
*2 szklanki posiekanej natki pietruszki*  
*2 szklanki posiekanej świeżej kolendry*  
*¼ szklanki posiekanej świeżej mięty*  
*1 szklanka posiekanych szalotek*  
*½ kg mielonej jagnięciny*  
*¾ szklanki ryżu, dwukrotnie opłukanego*  
*2 szklanki soku z granatów*  
*1 łyżka cukru*  
*2 łyżki soku z cytryny*  
*2 łyżki sproszkowanej anżeliki*

W wysokim garnku obsmażyć cebulę na złoty kolor. Dodać łupany groch, ryż, wodę, sól, pieprz i kurkumę, doprowadzić do wrzenia. Dusić na wolnym ogniu przez 30 minut. Wsypać nać pietruszki, kolendrę, mięte i szalotki. Dusić następnie 15 minut. Z mięsa ulepić średniej wielkości klopsy, włożyć do garnka wraz z resztą składników. Dusić pod przykryciem 45 minut.

– Podobno ta średnia zniknęła równocześnie z chłopakiem Thomasa. Wcale bym się nie zdziwiła, jakby się zakręciła koło Toma Juniora – perorowała nazajutrz Dervla w gronie pań, krzywiąc się ze zgorzeniem nad filizanką herbaty. – To wszystko dziwki, powiadam wam, dziwki, które słusznie dostają za swoje. Na twoim miejscu, Joan, trzymałabym synów pod kluczem – dodała ostrzegawczo.

Grupka skwaszonych kobiet – w większości regularnych bywalczyń sklepu z dewocjonaliami Antonii Nolan – pokiwała zgodnie głowami. Uszczęśliwiona tym, że tak szybko zyskała posłuch, Dervla dalej mąciła plotkarską breję. Członkinie Kółka Biblijnego Ballinacroagh, które zbierały się w piątkowe popołudnia w sklepie z dewocjonaliami, stanowiły całkowite przeciwieństwo sympatycznych pań tworzących Komitet Obchodów Dnia Tańca Świętego Patryka. Owo bogobojne grono, w typowym składzie starych panien i leciwych matron, wzbogaciło ostatnio swe szeregi o młodsze członkinie, w osobach Joan Donnelly i Assumpty Corcoran.

– Ona miała oko na mojego Benny’ego – poinformowała towarzyszkę Assumptę Corcoran.

– A moje chłopaki to już w ogóle nie wracają do domu, odkąd ta latawica zaczęła obnosić po mieście swoje

wdzięki. A mogli pójść na księży, obydwaj. Na księży! – użaliła się Joan.

Stare dewotki pokiwały zgodnie głowami, jak w geriatrycznej pantomimie. Dervla uciszyła towarzystwo i orzekła surowo:

– Powinnaś, Joan, powiedzieć swojej siostrze, żeby się trzymała z dala od tej kawiarni. Widziałam ją, jak tam wchodziła, nie dalej jak dziś rano. Zapukały do drzwi razem z Evie Watson. A mnie się zdawało, że kawiarnia jest dzisiaj nieczynna.

– Fiona nigdy nie była rozsądna – odparła Joan, czując presję oskarżycielskich spojrzeń. – Nawet tych druciarzy wpuszcza do nas na strzyżenie. I odstrasza tym porządnymi klientami, a o mnie nawet nie pomyśli. W ogóle nie słucha, co się do niej mówi. W ogóle nie słucha.

Wszystkie głowy zwróciły się ku otwartym nagle po przeciwnej stronie ulicy drzwiom kawiarni. Wyszła stamtąd pani Boylan i dwie pocziwe niewiasty z Komitetu – bez dużych naczyń żaroodpornych, które wniosły do środka raptem pół godziny wcześniej. Dokuczliwa mżawka znów się nasiliła, więc trzy starsze panie wzięły się pod ręce i pobiegły ulicą jak beztroskie uczennice.

– Widziałyście to? Geraldine Boylan zanoszą im swoje najlepsze smakołyki. Co za marnotrawstwo! – Dervla aż zaplawała się z oburzenia.

Panie z Kółka Biblijnego znów pokiwały głowami, chociaż większość z nich musiała dołożyć wielkich starań,

by nie myśleć z apetytem o pysznych daniach, znoszonych do Café Babilon.

W kawiarnianej kuchni istotnie pełno już było smakołyków. Pani Boylan upiekła dwie brytfanny dobrze omaszczonej zapiekanki z ziemniaków, a Maura Kinley przyniosła trzy okazałe sztaby barmbraku – marmolady z suszonymi owocami. Był też gęsty gulasz z zająca, wilgotny czarny chleb, purée z jarzyn, no i *minestrone*, którą gotowała właśnie Estelle Delmonico.

Nie ma to jak solidny talerz dymiącej *minestrone* na przywrócenie rzeczom właściwej perspektywy, uznała Estelle. Wdowa siedziała przy kuchennym stole i siekała marchew w cieniutkie plasterki. Gotowała tę zupę dla Mardżan, leżącej na górze z grypą, której nabawiła się podczas całonocnych poszukiwań Bahar. Mardżan manewrowała dzielnie zieloną hipisowską furgonetką w strugach ulewnego deszczu, objeżdżając wszystkie główne drogi, wychodzące z miasta, w nadziei, że na którejś z nich dostrzeże siostrę. Niestety, w końcu musiała się poddać i wrócić samotnie do domu, przemarznięta do szpiku kości i dygocząca w gorączce.

Gdy tylko zupa się ugotowała, Estelle nalała porcję i powędrowała z nią na górę, niosąc ostrożnie miskę w artretycznych palcach. Weszła do maleńkiej części mieszkalnej lokalu, dziwiąc się niepomiarnie zmianom, które zaszły na pięterku, od czasu gdy Luigi miał tu swoje biuro. Dawniej człowiek potykał się o pożółkłe książeczki kwitów i pudła szybko rosnących drożdży – a teraz na

porysowanej podłodze leżał wełniany dywanik, wersalkę okrywała ładna kapa, tłoczona w motywy roślinne, a na przyniesionym z dołu krześle stał używany telewizor, który Mardżan kupiła okazjnie w Castlebar.

Mardżan leżała na kozetce i wciąż miała straszny katar, o czym świadczyło mnóstwo zużytych jednorazowych chusteczek. Cerę miała poszarzałą i lepłą od potu, ale w sumie wyglądała znacznie lepiej niż poprzedniego wieczoru.

– Proszę bardzo. Teraz odrobina *minestrone*, tak? Nie wstawaj. – Estelle pochyliła się i z czułością wlewała zupę łyżką po łyżce w otwarte usta Mardżan.

– Gdzie jest Lejla? Na dole? – spytała Mardżan, po czym rozkaszała się w zmiętą chusteczkę, którą zaciskała w dłoni.

– Óóó... O Lejlę się nie martw. Jest z Malachym i Emer. Pojechali dzisiaj do Castlebar, szukać Bahar. Znajdą ją, zobaczysz – uspokajała Estelle, odgarniając z oczu Mardżan pasemka włosów. Pomyślała, że gdyby miała córkę, to na pewno podobną do Mardżan: taki rzymski nos, taka włoska cera... – Cicho, cicho. Teraz już zaśnij z powrotem, dobrze?

Mardżan wtuliła się w pościel i łzy zakręciły się w jej zaczerwienionych oczach.

– A jeśli jej nie znajdą? Jeśli odeszła i już nigdy... – Mardżan urwała i na moment odwróciła wzrok. Nie mówiła Estelle prawdy o zniknięciu Bahar, poprzestając na wersji, którą powtarzała wszystkim przychodzącym

w odwiedzin: że Bahar przejęła się bardzo napaścią Toma Juniora na Lejlę i postanowiła na jakiś czas wyjechać z miasteczka. Mardżan wiedziała, że to mało wiarygodne wyjaśnienie, ale alternatywą było rozdrapanie zbyt wielu ran.

– Przepraszam. Po prostu nie wiem, czy ją znajdziemy. A... Boże... – Mardżan rozplakała się na dobre, wstrząsana kaszlem.

Estelle uciszała ją, jak mogła, ocierając czoło chorej pomarszczonymi palcami.

Dotyk dłoni staruszki przypomniał Mardżan pieszczoty matki. Szirin Aminpur często usypiała córeczki fantastycznymi historiami o Szeherezadzie, która tak dzielnie snuła swoje opowieści. W ciepłe wieczory, jak dyktował irański zwyczaj, cała rodzina zbierała się na płaskim dachu domu. Na osłoniętym gzymsem, oczyszczonym z kamieni i śmieci dachu rozpościerało się dywany i ozdobne poduszki, na których przesypiali wszyscy razem parną noc, śniąc o złocistych łukach i skrzydlatych koniach arabskich. Ktoś zawsze przynosił instrument muzyczny, zazwyczaj *dombak* – bębenek poetów – który wtórował jednostajnym pam, pam, pam krążącym w koło opowieściom.

Mardżan aż skuliła się na to bolesne wspomnienie. Ona i siostry były wtedy takie małe. Niczego nie musiały żałować. Przed niczym nie musiały uciekać.

Estelle usiadła cicho obok, gładząc czule dłoni szlochającej dziewczyny.



– Leż tu sobie i nie wstawaj – powiedziała w końcu, podkładając Mardżan pod plecy kilka poduszek.

Mardżan nie mogła się nadziwić odmianie sytuacji: jeszcze parę miesięcy temu to ona układała w łóżku osłabioną po utracie przytomności Estelle.

– Musisz wypocząć. Dość tych smutków, dobrze?

Mardżan ze znużeniem pokiwała głową. Policzki pały jej w gorączce.

– A teraz otwórz buzię. Zaraz lepiej się poczujesz, zobaczysz – przekonywała łagodnie Estelle. Zaczerpnęła z miski kopiałą łyżkę rozgotowanej cukinii z marchwią i z kojącym uśmiechem podała ją do ust chorej. Nareszcie mam się kim opiekować, pomyślała. Od tej chwili zamierzała się troszczyć o wszystkie trzy siostry, całkiem jak matka.

Wszyscy odczuli nieobecność zapachu, wchodząc do kawiarni w niedzielny poranek. Złocisty samowar, pozbawiony obłoku gęstej pary, przypominał bezpłodną kobietę. Oprócz kilku zleżałych zulbii i zajmujących pół talerza ciasteczek migdałowych na ladzie z wypiekami widniały jedynie okruchy dawnych słodkości, a pustka ta podkreślała dodatkowo wagę misji przybyłych osób.

Ojciec Mahoney stał na czele ekipy poszukiwawczej, która zebrała się w sali nieczynnej kawiarni. Przedstawił plan działania niczym doświadczony generał, ruszający do zwycięskiego boju.

– Ja starym cadillakiem objadę wschód: Westport, Ballintubber, Claremorris – obwieścił, rozwijając starą,

wytartą mapę zachodniej części hrabstwa Mayo. – Kto bierze drogę wzdłuż wybrzeża?

– Evie i ja – zgłosiła się Fiona.

– Świetnie. Malachy z Lejlą i Emer mogą sprawdzić Castlebar. Zajmie wam to cały dzień, jak przypuszczam.

– Wczoraj dotarliśmy zaledwie do Bridge Street – przyznał ze skruchą Malachy.

– A więc wszystko ustalone. Jesteśmy gotowi. Pora ruszać. Pamiętajcie tylko, że spotykamy się tutaj z powrotem o... osiemnastej. Czyli o szóstej wieczór. Powodzenia!

Ojczulek omal nie zasalutował, lecz zmitygował się w porę, przypominając sobie, że to nie manewry z Bobem Hope'em, a oddział nie jest w nastroju do żartów. Mimo to ekipa poszukiwawcza wymaszerowała z Babilonu w przykładowym ordynku. Nikt nie zauważył bladej twarzy Mardżan, śledzącej ich przez okrągłe okienka kuchennych drzwi.

Minęła zaledwie doba, odkąd Mardżan po raz pierwszy zażyła leczniczą *minestrone* Estelle Delmonico, ale po pięciu solidnych porcjach wreszcie dała radę wstać i zejść po schodach bez drżenia nóg. Estelle nie kładła się przez całą noc, tylko siedziała przy chorej, a Lejli poleciła przygotować gorącą wodę z solą i octem do moczenia stóp – taką samą, jaką i Mardżan szykowała dla sióstr, ilekroć chwycyła je przeziębienie. Dopiero gdy nabrała pewności, że Mardżan wychodzi z grypy, Estelle pozwoliła pani Boylan odwieźć się z powrotem do białego domku nad

morzem. Po raz pierwszy od czterech miesięcy spędzonych w Ballinacroagh Mardżan została sama w pustej kawiarni.

Cztery miesiące. Oparła się o balustradę schodów, jakby pchnięta nagłym podmuchem wiatru, a nadmiar skłębionych emocji na chwilę zapał jej dech w piersiach. Wezbrał w niej zadawniony żal, echo poczucia winy – ale i najzwyklejsza wdzięczność. Widząc, ile starań dokładają ci dobrzy ludzie, by okazać im pomoc, nie mogła nie czuć wdzięczności. Po latach ucieczki w osamotnieniu, gdy zdawało się, że nikomu już nie mogą ufać, Mardżan i jej siostry nareszcie znalazły dom. Prawdziwy dom. Tylko dlaczego Bahar tego nie widziała? Dlaczego załamała się i odeszła – dokąd?

Mardżan osunęła się na najbliższe krzesło. Kuchnia wyglądała jak w okresie wielkiego postu, opustoszała, pełna bezużytecznych sprzętów. Mardżan zmusiła Estelle i panią Boylan, aby zabrały do domu resztę jedzenia – wszystkie te smakowite zapiekanki i gulasze, przygotowane przez uczynne panie z Komitetu. Postępująca lodówka stała prawie pusta – zostało w niej tylko trochę jagnięciny, trzy jajka i resztką fesendżunu. Trzeba to już wyrzucić, pomyślała Mardżan. Ugotować coś świeżego, może jakąś duszoną potrawę albo zupę z granatów. Bardzo dawno już nie gotowała zupy z granatów.

Po raz pierwszy od grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku, gdy kupił *Christmas Album* Boney M., Thomas McGuire odwiedził sklep z nagraniami Kenny'ego. Przeglądał najnowsze single z muzyką

taneczną, a na jego nalanej twarzy malowała się konsternacja.

Hi-NRG, Snap!, Industrial, Renegade Soundwave, Techno, House. Nie do wiary, ale zdaniem jego nastoletniej córki Helen, właśnie takiej muzyki słuchało się w dzisiejszych czasach. Zdaniem Toma, te nowe kawałki w ogóle nie zasługiwały na miano muzyki tanecznej. Ich natarczywe basy i bełkotliwe teksty brzmiały jak poronione twory zdezelowanego komputera. Nie było w nich ani śladu jego ukochanych dyskotekowych melodii z dystyngowanym rytmem syntezatorów. Ale, zmitygował się Thomas, sądząc po tym, jak ochoczo Ballinacroagh przyjęło Café Babilon, trzeba będzie dokonać śmielszego wyboru.

Zerknął na zewnątrz przez witrynę sklepu. Chociaż nie było stąd widać drzwi kawiarni z wywieszką „Zamknięte”, Thomas wiedział o zniknięciu Bahar. To już trzy dni. Tyle samo trwała nieobecność jego syna, ale Thomas, wbrew powszechnej opinii, był przekonany, że te dwie sprawy nie mają ze sobą żadnego związku.

Prawdę mówiąc, był dumny z Juniora. Może niekoniecznie z jego metod, ale z idealnego wyczucia czasu. Jednym zamachem swojej neandertalskiej łapy Tom Junior osiągnął to, czego ojciec nie zdołał wskórać od miesięcy mimo swych wielkich wpływów w miasteczku. Ta śmierdząca kawiarnia nareszcie jest zamknięta. No i dobrze, pomyślał z satysfakcją.

Co do Malachy'ego, ten cholerny bękart nie był już

jego synem. Thomas ekskomunikował go na dobre – zadzwonił nawet do swojego adwokata z wiadomością, że zmienia testament. Nikt i nic – ani błagania żony, ani płacz najmłodszej córki, Joanne, ani nawet brutalne perswazje rodzonej siostry, Margaret – nie mogło go już zmusić do zmiany postanowienia. Dla niego ten chłopak był jak martwy.

Aby zadośćuczynić przebiegającym rytmicznie palcom, które uparcie ciągnęły go do działu z muzyką disco, Thomas sięgnął po pierwszy z brzegu album – *Gorączkę sobotniej nocy* Bee Gees. Zapłacił za stertę kaset z muzyką taneczną, którymi zdumiony sprzedawca napełnił dwie plastikowe torby z napisem „Kenny’s Knows Kool Music”, i oddalił się Main Mall do pubu U Paddy’ego McGuire’a.

Z satysfakcją minął zamknięte wejście do Café Babilon. Wszelkie życie wewnątrz zamarło, zniknął nawet złocisty błysk, który Thomas ujrzał przez szparę pierwszego dnia. Za niedociągniętymi storami panowała ciemność. Potentat barowy splunął gęstą flegmą między dwie doniczki fiołków afrykańskich, ustawione na zewnątrz witryny. Jednocześnie ogarnął go spokój, jakiego nie zaznał od czasów poprzedzających erę techno. Wtedy wszystko szło jak w zegarku i nie miał konkurencji, którą warto się przejmować – jedynie swoje prywatne dylematy. Sam się teraz dziwił, że zwątpił w to, co było nieuchronne. Naturalnie, że kawiarnia nie miała szans. Przedziwny urok, który w ostatnich miesiącach padł na całe Ballinacroagh,

musiał w końcu prysnąć, tak czy inaczej. Uspokojony, z wewnętrznym poczuciem błogiego ciepła, Thomas położył już rękę na klamce drzwi pubu, gdy nagle usłyszał głos swojego starszego syna:

– Tato?

Tom Junior stał przed minimarketem Faddena, walcząc usilnie z dygotem rachitycznych kolan przy każdym podmuchu sztormowego wichru w tunelu Main Mall. Minęła dłuższa chwila, zanim Thomas rozpoznał syna, bo chociaż chłopaka nie było w domu zaledwie trzy dni, najwyraźniej przeszedł gruntowną metamorfozę. Schudł niesamowicie. W miejscu przedwcześnie zaokrąglonego brzuszka – rezultatu zbyt wielu wychylonych kuflów chmielowego trunku – ziała wklęsłość eksponująca żebra obciążone obwisłą skórą. Pызate policzki zapadły się pod sterczącymi kośćmi, a głęboko osadzone, okrągłe jak spodki oczy wyzbyły się dawnego błysku chojractwa i okrucieństwa.

– Tom? To ty? – Thomas podszedł do syna, mrużąc oczy, jakby chciał dopatrzeć się ciała w stojącym naprzeciwko szkielecie. – Właż no zaraz do pubu. Chcesz, żeby całe miasto cię tu zobaczyło? – ponaglał, popychając syna ku drzwiom lokalu. – Myślałem, że masz więcej oleju w głowie. Co cię podkusiło, żeby tak szybko wracać?

Samotna postać siedziała przy dębowym barze, zgarbiona nad butelką szkockiej. Thomas natychmiast rozpoznał w niej wiecznego pijanicę, zwanego Kotem. Kiedy indziej wywaliłby nieszczęśnika na zbity łeb, ale

chwilowo miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Co się stało, synu? Myślałem, że siedzisz w Galway i zaśmiewasz się w kułak na intencję ojca. Co to jest? – Wyjął wymiętą kartkę z zeszywniałych palców Toma Juniora i przypatrzył jej się uważnie. W barowym półmroku zdołał odczytać tylko niektóre słowa, ale gdy ujrzał u dołu podpis syna, jego mięsiste łapska zadygotały z wściekłości.

– To list z przeprosinami. Chciałem go dać Seanowi Groganowi, żeby przekazał tej Ara... tej dziewczynie. Żałuję tego, co zrobiłem, tato – bąknął Tom Junior, gapiąc się na swoje brudne tenisówki.

Jego żal – niewątpliwie szczery – był zwieńczeniem najdłuższych trzech dni w życiu Toma Juniora. Zaczął on swą podróż od opróżnienia butelki tequili, zakupionej w gospodzie Kropla Rosy w Westport, a zakończył w kącie zapuszczonej, jednoizbowej nory, znanej w okolicy jako zagrzybiona chatka Kota. A przez cały ten czas – o czym nie wiedział – w jego wnętrzościach grasował żarłoczny tasiemiec.

Pasożyt ten przyczaił się na dnie pustej już teraz butelki tequili marki José Cuervo i czekał cierpliwie, aż trafi na niego zdrowy wiejski chłopak. W końcu wdarł się nawet w otepiałą duszę Toma Juniora, ryjąc w niej głębokie dziury, którymi wysączyła się ignorancja i ukryta frustracja. Wraz z nadmiarem tłuszczu opuściła Toma wiecznie tłąca się w nim złość na wszystkich, którzy mu się przeciwstawiali – a zwłaszcza na despotycznego ojca.

Tom Junior zrozumiał nagle, że Thomas cierpi tak jak on z powodu niespełnionych marzeń i kompensuje sobie własne porażki, pomiatając i manipulując wszystkimi ludźmi na swej drodze.

Podsumowując, były to dla Toma Juniora trzy dni duchowej głodówki, z której wyszedł wychudły, lecz cały, i pozbawiony wszelkiej chęci przejęcia po ojcu rządów w Ballinacroagh.

Thomas nie odplacił mu jednak zrozumieniem.

– Co ty wygadujesz? Na mózg ci padło czy co, Tom? Zostaw to mnie! – zarządził, mnąc drżącą ręką list z przeprosinami. – A teraz leć do domu, do matki. Szau już dostaję od jej szlochów. No, ruszaj się. I, na litość boską, zjedz coś – dodał po chwili.

– Ta...

– Czego? No, czego, Tom? – Thomas spiorunował wzrokiem mizerny cień swego krzepkiego niegdyś syna. Czy to on stracił rozum, czy może całe miasto oszalało?

– Ja nie wracam do domu, tato – oświadczył Tom kategorycznie. – Dzisiaj wyjeżdżam. Do Ameryki. Muszę się pozbierać. Odnaleźć siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że Tom Junior jest człowiekiem gruntownie odmienionym. Dwa dni przesiadywania z Kotem ukształtowały jego umysł i duszę w większym stopniu niż dwadzieścia lat przeżytych pod wspólnym dachem z rodzicami.

Tom Junior poznał swego obszarpanego dobrodzieja w podmytym wodą rowie, gdzie spędził pierwszą noc



ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Nikt w miasteczku nie wiedział o tym, co Tom miał odkryć niebawem: że stary pijaczyna był swego czasu znanym filozofem w ojczyściej Bułgarii. Dorastał w cichej osadzie na bałkańskim pogórzcu, uniknął skutków niezliczonych, kierowanych przez Rosjan zamachów, jakie u schyłku dziewiętnastego wieku wstrząsały tym słowiańskim państwem. Spokojny żywot pozwolił Kotu skupić się na pracy naukowej (w ramach kursu korespondencyjnego Kolegium Trójcy Świętej w Dublinie) o Kierkegaardzie i brakującym czwartym ogniwie jego metody egzystencjalnej. Pod koniec drugiej dekady dwudziestego wieku Kot wciąż tkwił po uszy w pracy nad swoją dysertacją, gdy Bułgaria ni stąd, ni zowąd wplątała się w grę wojenną, popierając w dodatku niewłaściwą stronę. Kot uciekł przed frontem w objęcia swej irlandzkiej Alma Mater, a po kilku nieszczęśliwych romansach w stolicy trafił wkrótce nie gdzie indziej, jak właśnie do Ballinacroagh, i tam już utknął na dobre.

Gdy Tom Junior, wymizerowany już solidnie przez tequilowego tasiemca, przestąpił po raz pierwszy próg jednoizbowej, krytej strzechą chatki Kota, stanął jak wryty na widok zgromadzonego tam księgozbioru. Setki książek zapełniały wszystkie kąty ciasnej klitki i chwiejnymi kolumnami piętrzyły się na podłodze. Książki leżały wszędzie. Okien nie było widać zza barykad sczytanych romansów wydawnictwa Mills & Boon (co do których Kot zarzekał się, że to nie jego), a ludwikowska sofa podparta

była stertą ezoterycznych tekstów egipskich, zakupionych w Bułgarii od pewnego Berbera, trudniącego się handlem ulicznym. Na podłodze chaty tradycja przegrywała z nowatorstwem: zwyczajowe klepisko wybrukowane zostało encyklopediami, tezaurusami i słownikami wszystkich możliwych języków, z przewagą dialektów afro-azjatyckich, które Kot szczególnie sobie upodobał.

Tom Junior nie miał nigdy zamiłowania do nauki, toteż poczuł się tak, jakby umarł i trafił do swojego osobistego piekła. Padłszy na zasłaną książkami podłogę, przespał bite cztery godziny, po których zbudził się jak po czterech długich latach, z plikiem miękkich paper-backów pod głową. Tuż przed sobą, na czyściutkim białym talerzu, zobaczył szklanekę mleka i dwa herbatniki przekładane masą pomarańczową. A w przeciwległym kącie pokoju, na jednym z dwóch bujanych foteli, siedział Kot, z *Czekając na Godota* Becketta w upstrzonej plamami wątrobianymi dłoni. Stary włóczęga nawet nie podniósł oczu znad książki, gdy Tom Junior człapał do drugiego fotela na biegunach. Bujał się rytmicznie, pochłonięty lekturą jałowego sporu swych ulubionych bohaterów, i chichotał cicho nad gęsto pozakreślanymi fragmentami.

Minęło trzydzieści osiem godzin, zanim Kot przestał się bujać i zauważył, że został obleżony w swoim kąciku czytelnym. Od reszty kłitki, która była mu sypialnią, salonem i kuchnią zarazem, odcinała go ściana. Ponadmetrowej wysokości i ponaddwumetrowej długości mur zbudowany był z książek, wśród których Kot

rozpoznał wiele swoich ulubionych lektur, począwszy od kompletu dzieł zebranych Nietzschego, z wysłużonym egzemplarzem *Tako rzecze Zaratustra* włącznie, poprzez Camusa i mistrzów teatru absurdu (Ionesco, Becketta i Geneta – owego więźnia życia), po misterne jak sieć pajęcza strofy Chalila Dżubrana – libańskiego poety o złotym sercu.

Ścianę wybudował Tom Junior, gdy Kot siedział pogrążony w wewnętrznym monologu o sensie sensu. Przekonany, że zbłąkana młoda dusza dała nogę, stary myśliciel poczuł wielki przypływ smutku. Lecz gdy kościstym palcem wypchnął jeden tom z chwiejnej barykady, ujrzał Toma Juniora odmienionego – wychudłego na szczapę, ale obecnego i żywego jak jeszcze nigdy. Z oczu Toma, obwiedzionych sinoczarnymi kręgami wycieńczenia, biło poczucie nowego sensu istnienia. Na jego kolanach leżał otwarty egzemplarz *Proroka*, a ze spękanych ust płynęły słowa, które Tom Junior odczytywał w kółko raz po raz:

*Wtenczas, gdy duch twój błąka się na wietrze, Ty sam, niepilnowany,*

*Wyrządzasz krzywdę innym, a zatem i sobie...*

Duch Toma Juniora nareszcie powrócił do domu. Tom zrozumiał, że jego napaść na Lejlę jest symptomem głębszej choroby. Choroby, której od dziś zacznie się pozbywać, począwszy od szczerych przeprosin.

– Jeszcze tamtej nocy, kiedy to się stało, dzwoniłem do kawiarni. Odebrała jakaś kobieta, ale nie wiedziałem, co

powiedzieć. Całkiem dosłownie, nagle mnie zatkało. No i... no i odłożyłem słuchawkę. Uznałem, że najlepiej będzie napisać list.

– Wydzwaniałeś do tych czarniawych? Na łeb upadłeś? – rozsierdził się Thomas McGuire. – Ty wiesz, ile ja się musiałem nagimnastykować, żeby Sean Grogan dał mi spokój? Ty mnie, synu, do tego nie mieszaj, słyszałeś? Żadne mi tam „odnaleźć siebie”! Już ja cię sam znajdę. – Thomas cisnął zmięty list z przeprosinami pod stopy Toma. – Leć mi zaraz do matki, a potem zbieraj dupę w troki i szoruj do naszej piwiarni, będę tam na ciebie czekał. Niech ci się nawet nie śni urywać dzisiaj z pracy!

Wzburzony wybiegł z pubu w tej samej chwili, gdy Kot ocknął się z pijackiej drzemki z donośnym beknięciem, które w żadnej mierze nie zdradzało głębi nowatorskich teorii, kłujących się w jego otumanionym, lecz wciąż błyskotliwym umyśle. Barman Jimmy skrzywił się na kwaśnawy odór, bijący od siedzącego w ciemnym kącie moczymordy.

Tom Junior podniósł kartkę i wygładził ją, przywracając słowom czytelność. Nie spodziewał się, że ojciec przekaże list funkcjonariuszom, a tym bardziej że pojmie sens objawienia, które już na zawsze nazaczyło życie syna.

Dźwignąwszy na ramię ciężki plecak, wypchany książkami (prezent pożegnalny od Kota), Tom Junior przysunął się do starego pijaczyny.

– Jimmy, uważaj tu na mojego kumpla – powiedział do

barmana i klepnął Kota po przygarbionych plecach, aż rachityczny alkoholik zgiął się wpół, wstrząsany atakiem kaszlu. – Dawaj mu wypić, co będzie chciał, na mój rachunek. Trzymaj się, Kot.

Tom Junior pożegnał Kota znakiem uniesionego kciuka i wsunął stufuntowy banknot w kieszeń jego wyświechtanego palta. Następnie przeszedł do ponurej, wyłożonej chodnikiem sali na zapleczu, pełnej byle jakich stolików i krzeseł zwróconych ku rozpadającej się tarczy do rzutków. Pchnął drzwi wyjścia ewakuacyjnego i stanął na mokrym bruku ciasnej uliczki. Rozejrzył się na obie strony, sprawdzając, czy na horyzoncie nie ma ojca, po czym podkraść się dyskretnie do skrzypiącej furtki na zapleczu kawiarni. Wstrzymując oddech, wsunął poskładany na nowo liścik między deski ogrodzenia, po czym odwrócił się i raz na zawsze opuścił Ballinacroagh.

Parę chwil później, ledwie Tom Junior zniknął za węglem zaułku, na podwórko za domem wyszła Mardżan. Przykucnęła nad grządką zroszonej deszczem, ciemnozielonej kolendry i ująwszy łodyżkę kciukiem i palcem wskazującym, zdecydowanym ruchem zerwała roślinkę, przytrzymując ją u podstawy drugą ręką, aby zachować w ziemi korzenie. Szalejąca przez ponad cztery dni burza zdziesiątkowała ogród, wyrywając z rabatek rozkwitłe w czerwcu delikatne dzwonki i aksamitne purpurowe fiołki. Podwórko zasłane było zwiędłymi kwiatami, których płatki, jeszcze tak niedawno tętniące życiem, zmieniły się w brunatne, gnijące strzępy. Mardżan

zauważyła jednak z radością, że jędrna kolendra, pietruszka i mięta zniosły burzę całkiem nieźle. Zrywając ostatnią łądzykę wybijającej kolendry, wyszeptła prośbę o szybki powrót Bahar do domu. Bo to był ich dom – teraz była tego pewna bardziej niż kiedykolwiek.

Ledwie wróciła do kuchni z naręczem ziół, zadzwonił telefon. W słuchawce zabrzmiał radosny głos Fiony:

– Porozlepialiśmy ulotki o zaginionej na wszystkich drzewach i latarniach. Nie martw się, Mardżan. Znajdziemy ją. Niewiele kręci się po okolicy drobnych brunetek o oliwkowej cerze. Ktoś musiał ją widzieć.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, Fiono – odparła Mardżan, starając się nie myśleć o mnogości kryjówek na terenie Irlandii. Bo przecież te rozległe szachownice pól, poprzedzielane schludnie usypanymi z kamieni murkami, stanowiły idealne schronienie dla uciekiniera.

Po kilku minutach krzepiącej rozmowy z Fioną Mardżan odłożyła słuchawkę i zabrała się do siekania pietruszki, kolendry i mięty. Wymieszała zioła w garnku z mieloną jagnięciną, cebulą i przyprawami – mięso w jej dłoniach miało konsystencję ciepłego błota, wciskającego się między palce bosych stóp w upalny letni dzień. Rutynowy rytym tej czynności uspokajał ją stopniowo. Przekładając klopsy do wrzącego rosółu, znów była pełna nadziei.

W odróżnieniu od fesendżunu, w którym smak granatów równoważony jest wyrazistym dodatkiem orzechów włoskich, zupa z granatów bazuje wyłącznie na

podstawowym owocem. Sok z granatów nadaje jej amarantową barwę i słodko-kwaśny smak, z racji którego spożywana jest raczej na przystawkę niż jako danie główne. Zdaniem Mardżan, nie istniało żadne inne danie o tak idealnych proporcjach *sard* i *garm*: czynnik *sard*, zawarty w granatach i kolendrze, idealnie równoważył czynnik *garm*, pochodzący z jagnięciny i łuskanego grochu.

Mieszając zawiesisty wywar z granatów, Mardżan myślała o swojej nadwrażliwej siostrze. Zastanawiała się, czy zrobiła wszystko, aby pomóc Bahar. Owszem, starała się być wyrozumiała i opiekuńcza, ale czy nie za mało poświęciła troski, aby uwolnić Bahar od bolesnych wspomnień, od bólów głowy nękających ją dzień w dzień? Wiedziała, jak trudno jest Bahar nabrać zaufania do otoczenia, lecz czy okazywała jej w związku z tym dostateczne współczucie? A może Estelle Delmonico miała rację – może ona, Mardżan, wciąż odgrywa wobec sióstr rolę matki?

Może stara Włoszka słusznie doradzała jej, aby pogodziła się z tym, że są rzeczy, na które nawet ona nie ma wpływu. Sprawy, które muszą rozegrać się same, wypalić do końca, bez jej interwencji, bez jej pomocy. Bo może jednak nie wszystko od niej zależy.

Mardżan pokiwała w milczeniu głową, z uczuciem pełnej ulgi kapitulacji. Tak trzeba. Bahar i Lejla będą musiały znaleźć własną drogę, bez jej wstawiennictwa. Jej rola już się zakończyła. Musi nauczyć się pokładać ufność w czymś większym od nich wszystkich; musi po prostu

uwierzyć, że każdy problem ostatecznie jakoś się rozwiąże.

Umieściła pokrywkę z powrotem na gorącym garnku, odwróciła się od kuchenki i odetchnęła głęboko.

Z Bahar wszystko będzie dobrze.

Z Lejlą wszystko będzie dobrze.

Z nią samą wszystko będzie dobrze.

Błoga fala ulgi wyniosła Mardżan schodami na górę, wprost do łóżka, w jakże upragniony popołudniowy sen. Po raz pierwszy zdarzyło się, że zupa z granatów bulgotała na ogniu bez nadzoru.

Podobnie jak jej starsza siostra, Bahar też miała wkrótce wznieść się wyżej. Chwilowo jednak, rozglądając się po pokoiku schroniska, nie odczuwała najmniejszej nadziei.

Naszywka w rogu kraciastej kołdry głosiła wprawdzie: „Własność zamku Castlebar”, jednak splekany tynk na suficie przeczył wszelkim wielkopańskim pretensjom. Ta nora z pewnością nie ma w sobie nic królewskiego, skonstatowała w duchu Bahar. Minęły dwa długie dni, a wciąż nie mogła przywyknąć do sprężynowego materaca i szokującej, zielonkawożółtej barwy ścian dusznej klitki. Wytarty dywan z psychodelicznym deseniem pomarańczowych kół na brązowym tle podśmierdywał zgniłymi jajkami, a spłowiałe żaluzje, którym brakowało części listewek, zbyt wcześnie sączyły do środka ponure, szare światło dnia. Jedyne szlachetny obiekt w tym wnętrzu – biały



żeliwny wiktoriański kominek z rzeźbionymi cherubinami po obu stronach – został skutecznie zeszpecony przez wielki, spłowiwały portret uśmiechniętego JFK, wiszący w złotych ramach nad okapem paleniska. Szklany wzrok nieboszczyka prezydenta śledził Bahar od progu, gdy pierwszej nocy weszła ledwo żywa do pokoju i natychmiast zwała się w mokrym ubraniu na zalatujące stęchlizną wąskie łóżko.

Obudziła się nazajutrz z nieznośną migreną. Zażywszy osiem łyżek przywiezionego z domu środka na ból głowy, wyciągnęła z bocznej kieszeni kraciastej walizki wymiętą kartkę i odczytała wypisany perskimi cyframi numer telefonu. Kartkę wydarła ubiegłego wieczoru ze starej książki adresowej, którą przewertowała tuż przed opuszczeniem przytulnego ciepła kawiarni. Numer figurował pod literą J, niewinnie wciśnięty między imiona i adresy dwóch dawnych koleżanek szkolnych Mardżan.

Plan Bahar był prosty, przynajmniej w teorii: usunąć niebezpieczny element (czyli siebie) z kawiarni, wynająć pokój w schronisku młodzieżowym w Castlebar – ten sam, w którym mieszkała z siostrami tuż po przybyciu do hrabstwa Mayo, i zatelefonować do domu Chanum Dżaferi w Teheranie. A potem tylko czekać, aż Hossein ją znajdzie. Była pewna, że dotarcie do schroniska nie zajmie mu wiele czasu, zwłaszcza jeśli już jest w Irlandii. A potem niech z nią robi, co chce, niech ją nawet wywiezie z powrotem do Iranu, byleby zostawił w spokoju Mardżan i Lejlę. Tak, uznała Bahar, to całkiem sensowne

rozwiązanie. I sprawdziliby się zapewne, gdyby zdobyła się na odwagę i zadzwoniła. Tymczasem już dwie doby spędziła zamknięta w tym pokoju, spacerując wzdłuż i wszerz po wyświechtanym dywanie i licząc mokre plamy na suficie.

Wyrzucała sobie, że jest śmierdzącym tchórzem. Że nie umie nawet uciec jak należy. Nie stać mnie choćby na to, żeby zejść do holu i wykręcić numer telefonu, pomyślała ze wstrętem, dźwigając z łóżka obolałe ciało. Spuściła wzrok, chcąc uniknąć krępującego spojrzenia Johna F. Kennedy'ego, i powoli podeszła do kominka. Obutą stopą rozgarnęła kupkę popiołu w palenisku, gotowa odskoczyć w popłochu, gdyby tylko coś poruszyło się w kredowobiałym pyłe. Mogłabym tu umrzeć, i nawet nikt by tego nie zauważył, uzaliła się nad sobą. Z westchnieniem oparła się rozpostartymi ramionami o lodowatą żeliwną półkę nad kominkiem i zwiesiła głowę.

Gwałtownie zaburczało jej w brzuchu. Prędzej czy później trzeba będzie wyjść z pokoju, choćby po coś do jedzenia; prowiant, który przywiozła z sobą do zamku Castlebar, był już na wyczerpaniu. Zostało jedno zielone jabłko i pół paczki maślanych herbatników Knorra, odłożonych na pusty stół przy łóżku. Osłabła nagle na samą myśl o tak mizernych zapasach, Bahar uniosła głowę i odsunęła się od kominka. Już miała się odwrócić i w rozpaczy rzucić z powrotem na obleczone w kraciatą pościel łóżko, kiedy wzrok jej padł na kilka broszur,

rozrzuconych po półce kominka. Zapomniała o tych lśniących folderach, które recepcjonista wręczył jej pierwszego wieczoru razem z kluczem do pokoju. Broszury zachwalały główne miejscowe atrakcje, wabiące amerykańskich turystów: Knock, Leenane, wyspy Aran. I Croagh Patrick.

Bahar chwyciła pierwszą z brzegu: wyprawa na Croagh Patrick z firmą Hibernian Holiday Tours. Na okładce, w nienaturalnych zielonych i żółtych barwach, widniało zdjęcie góry, wewnątrz zaś, z jednej strony krótka biografia świętego Patryka, a z drugiej – informacje archeologiczne. Godziny otwarcia sklepu z pamiątkami. Godziny odprawiania mszy. Daty sezonu pielgrzymkowego. „Zdobądź szczyt z Hibernian Holiday Tours!” – zachęcał slogan reklamowy.

Hibernian Holiday Tours. Autokar tej właśnie firmy zatrzymał się, by zabrać ją z szosy na obrzeżach Ballinacroagh w ową burzliwą noc. Kierowca, krzepki, nieco pryszczaty Irlandczyk, zgodził się uprzejmie wysadzić ją przed zgrzebnym schroniskiem w Castlebar, zanim pojechał dalej, do wykwintych hoteli w rodzaju Mountain Manor na Bridge Street.

– Z Manor zabieram grupę Amerykanów. Oni mówią o sobie „amerykańscy Irlandczycy”. Przyjechali obejrzeć Reek. Na mój rozum, lepiej by się ubawili na Bahamach – zaartował kierowca i puścił oko do Bahar w lusterku wstecznym.

Serce Bahar zabiło jak szalone. Reek. Oczywiście. To

jest to.

Tyle czasu zmarnowała na uniki, na ucieczkę – ale zawsze w niewłaściwym kierunku. Nie przez łądy i pomniejsze morza, nie przez doliny i ruchome piaski pustyni – ale w górę! W górę! Zew ten miał tajemne źródło, Bahar nie wiedziała, skąd wziął się cichy głos w jej głowie, ale głos ten wyraźnie kazał jej zmierzać w górę. Nie było innej drogi, jak tylko w górę.

Sympatyczny kierowca mrugnął do niej, gdy wspinała się do autobusu po obitych gumą stopniach.

– Wracamy, jak widzę. Nie mam nic przeciwko temu, bynajmniej. Zawsze miło zobaczyć ładną buzię – zagadnął z flirciarskim uśmiechem.

Chcąc uniknąć dalszych przejawów zainteresowania z jego strony, Bahar wcisnęła się głęboko w fotel. Całe szczęście, że nikt z pasażerów autokaru – amerykańskich emerytów irlandzkiego pochodzenia, odwiedzających ziemie swoich przodków – nie usiłował nawiązać z nią rozmowy. Weseli staruszkowie wymieniali adresy i pokazywali sobie nawzajem powyjmowane z portfeli zdjęcia roześmianych wnucząt, nie zwracając najmniejszej uwagi na młodą ciemnowłosą kobietę, która usiadła z przodu. Gdy autokar skręcił w drogę wiodącą ku górze, Bahar skupiła uwagę na krajobrazie za oknem. Zmyte deszczem wrzosowiska i dębowe lasy z kępami ciemnozielonych olch zachwyciły ją nagle swym niezwykłym pięknem. Irlandia to cudowny kraj, pomyślała.

Autokar Hibernian Holiday Tours dołączył do

piętnastu innych na parkingu pod wschodnim zboczem góry. Pielgrzymi – w większości dobrze odżywieni Amerykanie w nowiutkich strojach firmy Nike i z wypchanymi saszetkami u pasa – wysypywali się z autobusów wycieczkowych. Niektórzy pogwizdywali zawadiacko na melodię *Danny Boy*, kierując się ku niedużej, mosiężno-marmurowej płycie u stóp góry.

– Święty Patryk – obwieściła donośnym głosem przewodniczka. – Patron Irlandii. Męczennik i wizjoner. Ofiarny misjonarz. Zbawca irlandzkich pogan. – Urwała na moment, częstując tłum turystów ironicznym uśmiechem. – Podczas wspinaczki na tę górę – ciągnęła po chwili – napastowany był przez złe duchy. Diabły objawiły mu się w postaci chmary kosów, które czarnymi skrzydłami przesłoniły niebo. Patryk jednak modlił się żarliwie, nie ustając ani na chwilę, aż niebo znów się rozjaśniło. – To mówiąc, przewodniczka rozdawała zebrany laminowane kartoniki z czterolistną koniczynką na pamiątkę. – Dzisiejszej soboty nie zostanie odprawiona msza święta, lecz to nie powinno przeszkodzić państwu w razie potrzeby uciec się do modlitwy. Ja sama zmówię modlitwę dziękczynną za uciszenie burzy.

Następnie poprowadziła grupę ku wąskiej ścieżce, pnącej się zygzakiem na zbocze. Pomimo zwiewnej mgły, osłaniającej wyższe partie góry i ostrych kamieni w bladej trawie na poboczach, kilkoro najzagorzalszych pielgrzymów maszerowało boso, promieniejąc radością ducha. Bahar wspinała się na samym końcu grupy,

przystając co jakiś czas dla zaczerpnięcia rozrzedzonego górskiego powietrza.

Przewodniczka zalecała modlitwę. Ale jaka modlitwa mogłaby teraz pomóc Bahar? Za co Bahar miałyby składać dzięki? Nie była przecież w stanie cofnąć tego, co uczyniła, odwrócić nieszczęścia, jakie ściągnęła na siostry, poślubiając Hosseina. A teraz znów wyrządzała im krzywdę. Z każdą minutą wspinaczki na tę górę. Wiedziała, jak strasznie muszą się o nią martwić, wyobrażając sobie najgorsze – a mimo to nie zadzwoniła nawet, żeby je uspokoić, że nic jej nie jest. Po prostu znów uciekła.

Bahar pokręciła głową i skrzywiła się boleśnie. Stale uciekała. Nigdy, ani razu, nie przyjęła odpowiedzialności za własne czyny, nie przeprosiła starszej siostry za to, że nie chciała słuchać jej ostrzeżeń dotyczących Chanum Dżaferi i jej obrzydliwego, ospowatego syna. Zasłaniała się tylko bólami głowy, przez tyle lat milczenia zmuszając Mardżan i Lejlę, aby chodziły koło niej na palcach, jak koło bezradnej inwalidki. Modlitwa. Tak, potrzeba mi dużo modlitwy, pomyślała Bahar, dźwigając się na granitowy występ.

Gdy podjęła ostatni etap wspinaczki, zdobywając najbardziej stromy i skalisty odcinek zbocza, zaczęło dziać się z nią coś przedziwnego. Im wyżej się pięła, tym jaśniejsze stawały się jej myśli. Nie wiadomo kiedy wyprzedziła znaczną część amerykańskich turystów i zrównała się już prawie z dziarską przewodniczką, której sprężyste mięśnie łydek i kijek wspinaczkowy dawały

przewagę nad resztą. Pokonując stromą kamienistą ścieżkę, Bahar poczuła nagle, że rozpiera ją energia, a poranna migrena ulotniła się bez śladu.

Czemu, dziwiła się w duchu, uznała od razu, że dziwny telefon był sprawką Hosseina? To, że Hossein odnalazł je w Londynie, jakkolwiek samo w sobie przerażające, nie oznaczało jeszcze, że musiał je tropić aż do Ballinacroagh. Doprawdy, gdy się nad tym rozsądnie zastanowić, telefon w kawiarni mógł równie dobrze być pomyłką albo głupim żartem jakiegoś dzieciaka z okolicy. Dlaczego więc przyjęła najgorsze możliwe wyjaśnienie, pozwalając aby ból głowy i histeria przesłoniły jej trzeźwy osąd sytuacji? Jeśli chce żyć dalej, posuwać się do przodu, to musi przestać oczekiwać najgorszego od losu – i, co ważniejsze, od ludzi.

Tak, powiedziała sobie Bahar, trzeba odpokutować za własne grzechy. Lejla ma swą młodzieńczą cynamonowo-różaną obietnicę, Mardżan ma dar przyrządzania nadzwyczajnych potraw – ale to są ich drogi życiowe, niewłaściwe dla niej. Bahar nie znała jeszcze swoich mocnych stron, ale wiedziała już teraz, gdzie ich szukać.

Przystanąła na szczycie Croagh Patrick i odwróciła się ku migotliwie błękitnym wodom zatoki Clew. Szare chmury umykały pośpiesznie z horyzontu, muskając lustro wody cieniami swych skrzydeł. Wspinaczka na prastarą górę natchnęła Bahar jasnym postanowieniem odnowy zbołałego ducha. Każdy krok po skalistym podłożu dodawał jej sił, tak jakby całkiem dosłownie zrzucała

z siebie lęk i osamotnienie – potwory, które nazbyt długo dźwigała na grzbiecie. Tak samo jak święty Patryk przed wiekami, pomyślała. Cuda, których dokonał stary biskup wśród tych gęstych chmur, objęły ją swym magicznym działaniem. Nawet Hossein nie zdołałby osiągnąć jej na tych wysokościach.

Rozpostarła ramiona i przymknawszy oczy, odetchnęła głęboko i tak głośno, że nawet najśmielsi z amerykańskich turystów cofnęli się o krok. Dziecięca niewinność ich spojrzeń wywołała lekki uśmiech na twarzy Bahar.

W dole, na Main Mall, rozsierdzony Thomas McGuire też doznawał spóźnionego objawienia – pierwszego z wielu. Na początek zaalarmował go zmysł węchu.

Gburowaty despota poczuł zapach zupy, idąc do minimarketu Faddena. Nie przeczuwał jeszcze bliskiego końca. Prawdę mówiąc, gdy rozpamiętywał później cały incydent podczas licznych bezsennych nocy, które prześladowały go aż po dzień śmierci, gotów był przysiąc, że to nie ów zapach sprowadził go do kuchni kawiarni, lecz poczucie obowiązku troskliwego rodzica i obywatela, który uznał, że przebrała się miarka. Innymi słowy, snuł altruistyczne mrzonki, właściwe wielu zdeprawowanym, zbrodniczym umysłom.

Thomas nigdy już nie doszedł do minimarketu, aby po raz kolejny nękać nieszczęsnego Danny'ego Faddena. Ledwie przemknął z wściekłym impetem obok Café Babilon, woń gotowanych granatów kazała mu zawrócić i – w poczuciu nowej misji – skręcić w boczną uliczkę,



gdzie lawirując między poprzewracanymi pojemnikami na śmieci i zapchlonymi kotami, dotarł na tyły kawiarni.

Baron piwny Ballinacroagh ani myślał kołatać do furtki. Chciał otworzyć ją jednym kopniakiem. Już uniósł nogę, by zamachem karateki utorować sobie wejście, gdy wtem dojrzał wciśniętą między deski kartkę. Rozpoznał liniowany papier, zapisany ckliwymi przeprosinami, który zmiął w garści niespełna dwie godziny temu. Słowa Juniora żyły dalej, szydząc z gniewu ojca. Thomas poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Pchnął furtkę i wdarł się do ogródka Mardzan, z furią depcząc buciorami resztki ziół. Niezaryglowane drzwi od kuchni łatwo uległy sile jego pięści. Wparował do środka, do pomieszczenia, o którym marzył skrycie jeszcze jako chłopiec, gdy państwo Delmonico prowadzili tu swoją małą ciastkarnię.

Spodziewał się ujrzeć Mardzan, siekającą wątpliwej świeżości mięso i podroby, toteż z niejakim rozczarowaniem przyjął widok przeczący jego wyobrażeniom. Zamiast porozrzucanych zwierzęcych bebeczków i wytrzeszczonych rybich oczu, łypiących z zalanych krwią pieńków rzeźnickich, zobaczył przed sobą okrągły stół, zasłany świeżo wykrochmalonym obrusem w wisienki, obrzeżonym frędzlami. Nieco dalej, pośrodku kuchni, stał nienagannie czysty drewniany stół do pracy, a na nim tylko misa rumianych moreli. A na kuchence bulgotała w srebrzystym garnku zupa z granatów, unosząc pokrywkę i wyciekając spod niej drobnymi strużkami.

Macki aromatu dosięgły zadartego podbródka Thomasa i łaskotały jego szczęki jak żywe kusicielki. Sapnął gniewnie i ze zgrozą cofnął się pod ścianę. Rzygać się chce od tego, co niektórzy ludzie biorą do ust, pomyślał, czując się nagle słabo jak nigdy w życiu. Oddychał szybko, spazmatycznie, kręciło mu się w głowie. Doszedłszy nieco do siebie, raz jeszcze potoczył wzrokiem po kuchni.

Przez całe pomieszczenie, od wyjścia do ogródka po wahadłowe drzwi wiodące do sali, ciągnął się ręcznie tkany chodnik, który Bahar kupiła za dwadzieścia funtów na londyńskim targu Portobello. Nad ciemną framugą drzwi wisiał prostokątny turkusowy kafelek, inkrustowany okruchami szkła w kolorze indygo. Mozaikowy deseń tworzył napis w języku perskim – *Nusz-e dżan* – który w wolnym przekładzie znaczy tyle, co „Smacznego!”. Rozwścieczony Thomas nie pojął, naturalnie, tego przejawu serdeczności.

We łbie się nie mieści, co te krowy zrobiły z porządnym lokalem, zżymał się w duchu. A to przecież jego miejsce, zawsze było jego, i zawsze będzie. Dokładnie tu, gdzie on w tej chwili stoi, tutaj, pod jego ubłoconymi butami, powstanie parkiet dyskoteki Paddy Poliester. Gibkie ciała będą szaleć w rytmie fantastycznych przebojów, pod seksownie wirującą dyskotekową kulą, siejącą w krąg konfetti tęczyowych błysków. A tamtymi drzwiami, za którymi teraz zieje przekłeta pustka, tamtymi drzwiami, tak mu dopomóż Bóg, będzie tu wchodził z przyległego pubu U Paddy’ego on,

Thomas McGuire, zatrzymując się po drodze i gawędząc z parkami rozwalonymi na obitych pluszem kanapach i fotelach. Na stolikach z czarnego marmuru stać będą gęsto koktajle i napoje, które Thomas od dawna próbował lansować, ale te łapserdaki z pubu nie chciały nigdy nic innego, tylko piwo i piwo. Tu ziści wszystkie swoje marzenia. Może nawet wynajmie którąś panienkę od O'Reilly'ego, tę z dużymi cyckami, żeby jeździła na wrotkach w kusych szortach i rozwoziła tacę z drinkami po sali. A czemu nie, do cholery? To jego lokal. To Paddy Poliester, gdzie wszystko może się zdarzyć!

Porwany swym dyskotekowym marzeniem, Thomas zaczął wirować na obcasach pośrodku kuchni, w rytm muzyki funky, która huczała mu w głowie, w oślepiających błyskach świateł. Jak opętany, zatoczył się nagle na kuchenkę i wrzący gar zupy z granatów. Gdyby nie czerwona ściereczka, zawieszona na uchwycie piecyka, runąłby prosto w ogień. Ale lniana ściereczka opóźniła upadek tylko o sekundę – Thomas wypuścił ją z ręki, lądując na zimnej podłodze.

Plastikowa torba z nagraniami tanecznymi ze sklepu płytowego Kenny'ego wyleciała w górę nad jego głową. Kasety, razem z szybującą w powietrzu ścierką, zawirowały wokół niego w tak idealnej symetrii, że przez moment – owo chwilowe zatrzymanie czasu, zanim rąbnął czaszką w linoleum posadzki i oczy uciekły mu w tył głowy – Thomas naprawdę znalazł się w swojej dyskotece, w bajkowym świecie fajerwerków, falsetów

i synkopujących syntezatorów. Niestety, jak cała jej epoka, i ta muzyka dyskotekowa skończyła się zbyt wcześnie – dokładnie w chwili, gdy tętnice Thomasa, nadwerżone tłustymi śniadankami z krwistą kaszanką, nadmiarem masła i bekonu, zablokowały się na amen.

Serce Thomasa McGuire'a stanęło w tym samym momencie, gdy fruujące kasety wylądowały wokół niego na ziemi, z hałasem, który zabrzmiał jak aplauz setek plastikowych rąk. Nagranie *Gorączki sobotniej nocy* spadło prosto w jego rozwartą dłoń – niczym przepustka do białego poliestrowego nieba. Ścierka sfrunęła na płonący palnik kuchenki i natychmiast wystrzeliła w postaci ognistej kuli, obijając się o najbliższą ścianę.

I tak wszystko zamarło w bezruchu dla Thomasa McGuire'a – wszystko oprócz rytmu, który wciąż tętnił ponad jego wielkim cielskiem, ponad nienasyconymi ambicjami, które wiodły go zawsze do niewłaściwych drzwi i niewłaściwych piosenek. Ponieważ ten wieczny rytm, ta nieskończona melodia, nie ustaje nigdy dla nikogo – nawet dla niego.

## Poobiednia herbata lawendowo-miętowa

*2 łyżki miodu*

*3 łyżeczki świeżych kwiatostanów lawendy*

*1 szklanka posiekanych liści świeżej mięty*

*½ cytryny pokrojonej w cienkie plasterki*

Zagotować 2 litry wody. Połową wrzątku ogrzać imbryk, wodę odlać. Do gorącego imbryka włożyć miód, lawendę i mięte. Zalać wrzątkiem. Zaparzać pod przykryciem 10 minut. Podawać z plasterkiem cytryny.

## EPILOG

Wczesnym rankiem następnego dnia, gdy co pobożniejsi pielgrzymi gromadzili się w białym kościółku na Croagh Patrick, by podziwiać wschód słońca, do miasteczka zjechał cyrk. Całkiem dosłownie.

Karawana czterech drewnianych barakowozów, zaprzężonych w konie, przetoczyła się z hurgotem przez całą Main Mall. Pstrokate brezentowe budy wozów nosiły żółto-różowy napis, wymalowany odblaskowymi farbami: CYRK RODZINNY MCGUIRE'ÓW.

Szefem Cyrku Rodzinnego McGuire'ów był brat Thomasa, Kieran, aktor z zawodu, a jego trupę stanowili opowiadacze niezwykłych historii, posługujący się językiem ciała. Wędrowni artyści zaparkowali karawanę na dalekim skraju rozległej łąki, w pobliżu rozstawionych już namiotów i składanych stołów, przygotowanych na Dzień Świętego Patryka. I zaraz dali pokaz swych umiejętności – wyśmienitej żonglerki, lewitacji oraz przekomicznego skeczu klaunów. Cyrk okazał się nie tylko uroczą niespodzianką dla pielgrzymów i turystów, którzy zeszli się na łące po męczącej wspinaczce, ale też znakomitym wstępem do sztuki ojca Mahoneya *Owoce pracy*.

Mimo iż Fiona Athey opuściła kilka ostatnich prób z racji nieprzewidzianych dramatów minionego tygodnia, jej debiut reżyserski okazał się zawrotnym sukcesem. Losy

Gina Pepino, młodego zbieracza jabłek, który budzi się z popołudniowej sjęsty i stwierdza, że jest jedynym mężczyzną pozostałym we wsi pośród stu zgłodniałych kobiet, budziły salwy śmiechu wśród wielkiej widowni. Lejla i Malachy spisali się wyśmienicie jako główna para romantycznych bohaterów – dzięki nim ucieszna farsa ojca Mahoneya nagrodzona została owacją na stojąco.

Mardżan obserwowała z boku uszczęśliwionego księdza, który chrupał marynowaną marchewkę z bogatego słoika *torszi*, zakupionego przy stole organizacji charytatywnej. Wszystkie *torszi* przygotowane na ten cel przez Bahar zostały już sprzedane, ale dzięki uprzejmości Benny’ego Corcorana, który pozwolił Mardżan skorzystać z piekarni (za co Assumpta przestała się do niego odzywać), na bufetach piętrzył się obfity wybór darmowych wypieków. Sagany abgusztu oraz półmiski sera feta w liściach mięty, *dolme* i słoniowych uszu opróżniane były szybciej niż baryłki piwa, płynącego za darmo z hojnych kurków w tym jedynym dniu dobroczynności pubów Thomasa McGuire’a.

Ten ostatni fakt wystarczyłby do przywrócenia Thomasa na scenę publiczną, gdyby był on obecny na miejscu zdarzeń. Niestety, Thomas nie mógł nawet kiwnąć palcem, choćby chciał. Leżał podłączony do rurek i urządzeń, które podtrzymywały w nim resztki życia. Prawdę mówiąc, odkąd dowiedział się, co mu się przydarzyło w Café Babilon, chwilami czuł, że wolałby być martwy.

Był już praktycznie nieżywy przez ponad minutę, gdy do kuchni wpadła Bahar, podwieszona pod dom autokarem po pamiętnej wspinaczce na Croagh Patrick. Jej uniesienie momentalnie przemieniło się w panikę. Przedzierając się przez wypełniającą kuchnię różowoczną chmurę spalonej zupy z granatów, której gryzący dym drażnił jej oczy i gardło, dostrzegła języki ognia liżące drewniany blat kuchenny i pnące się coraz wyżej po ścianie. Drżąc o los sióstr, Bahar rzuciła się ku schodom – i wtedy właśnie potknęła się o bezwładne ciało Thomasa McGuire’a.

Wtłaczając swój gorący oddech w płuca Thomasa, energicznie masowała mu serce, aż zaczęło bić na nowo. Thomas zakaszłał, uchylił powieki i natychmiast znów zemdlął: widok Bahar aplikującej mu zabiegi reanimacyjne był ponad wątłe siły upadłego barona Ballinacroagh.

Mardżan, wyrwana ze snu krzykami Bahar, zbiegła na dół, gdzie zastała siostrę uciekinierkę pochyloną nad zwalistym mężczyzną i kuchnię w płomieniach. Dzięki małej gaśnicy, którą Luigi Delmonico trzymał w spizarce, powstrzymała ogień, zanim dosięgnął lodówki w drugim końcu pomieszczenia. Pożar został udaremiony w tej samej chwili, gdy Thomas McGuire, krztusząc się, wdychał pierwszy haust powietrza po powrocie do życia. Zanim Mardżan uklękła przy nim ze szklanką wody, dym zaczął się rozwiewać.

Dervla Quigley omal nie wypadła z otwartego okna na



widok zielonej hipisowskiej furgonetki, która z piskiem opon wyjechała z bocznej uliczki i kopiąc dymem z rury wydechowej, skierowała się ku Westport Road. Za kierownicą siedziała Mardżan. Stara plotkarka niechybnie wyłudowała by na bruku, gdyby wiedziała, co za ładunek wiezie Mardżan owego dnia.

Bahar jechała z tyłu, nadzorując urywany oddech Thomasa, a Mardżan pędziła na pełnym gazie do Szpitala Ogólnego Mayo. Sflaczała twarz grubianina odzyskała dawną barwę, lecz wciąż był nieprzytomny, a jego serce biło nieregularnie i bardzo słabo. Po co on przyszedł do kawiarni? – głowiła się Bahar, sprawdzając po raz kolejny puls Thomasa.

Mardżan miała własną teorię co do jego intencji, ale tylko do czasu, aż spostrzegła porozrzucane po kuchennej podłodze kasety z muzyką taneczną. Co za dziwny człowiek, pomyślała.

Thomas McGuire nigdy nie doszedł do siebie po zawale, który na chwilę przeniósł go do superklubu nocnego, zwanego niebem. Wszelkimi sposobami starał się zapomnieć o zdarzeniu w kawiarni, jednak spokój odzyskał dopiero po ofiarowaniu Estelle solidnej sumy na koszty renowacji lokalu. Mimo iż nikt nie złożył na niego formalnego doniesienia, czuło się, że długoletnia tyrania Thomasa McGuire'a dobiegła końca. Resztę swych dni spędził na słuchaniu zakurzonej kolekcji singlowych płyt i pokornym spełnianiu lubieżnych zachcianek małżonki (gdyż Cecilia po wyprowadzce synów z domu zaczęła

okazywać w sypialni jeszcze więcej entuzjazmu), dokładając wszelkich starań, by nie umrzeć w trakcie małżeńskiej posługi. Począwszy od Dnia Świętego Patryka, ster rządów nad interesami Thomasa objęła jego siostra Margaret, pełniąc funkcję oczu i uszu brata, a przede wszystkim łatając reputację rodziny, którą ten tak znacznie nadszarpnął jednym nieopatrzny posunięciem.

Mardżan podeszła do samowara i naląła sobie filiżankę dymiącej lawendowo-miętowej herbaty. Razem z Malachym wytaszczyli z kawiarni ciężką maszynę specjalnie na dzisiejszą okazję i podłączyli ją przedłużaczem do zewnętrznego gniazdka elektrycznego minimarketu. Miętę i lawendę przyniosła ze swojego ogródka Estelle. We trójkę porozstawiali na stole rozmaite filiżanki i porozkładali łyżeczki – zastawa do drugiego w kolejności ulubionego napoju miasteczka była gotowa. Pogoda nie groziła już gwałtowną burzą, lecz daleko jej było do upałów minionego tygodnia, toteż herbata zdawała się wymarżonym napojem na niedzielne popołudnie.

Mardżan upiła pierwszy łyk i usiadła na plastikowym krześle pod namiotem w różowo-turkusowe pasy. Wśród otaczających ją ludzi było kilka osób szczególnie bliskich jej sercu, a także takie, które w przyszłości zaliczyć miała do rodziny. Estelle, rozparta na plastikowym krześle, też popijała lawendowo-miętową herbatę, rozprawiając zawzięcie z panią Boylan o nieocenionych zaletach stosowania tłoczonej na zimno oliwy z oliwek. Po prawej ręce włoskiej wdowy siedziała Lejla z chudym podlotkiem

o zmierzwionych włosach barwy marchewki. Mardżan rozpoznała dziewczynkę: to ta sama mała szelma, która przybiegła po nią z obozu koczowników w pamiętny burzliwy czwartek, zaledwie cztery dni temu. Tym razem zjawiała się w mieście z grupą mieszkańców obozu – dumnych włóczęgów, którzy świetnie się bawili na popołudniowym festynie.

Bohaterski Declan Maughan zrazu zaparkował swoją kempingówkę w pobliżu sceny, ale już niebawem zawitał do różowo-turkusowego namiotu w towarzystwie rudej Aoife, najmłodszej ze swych trzynastu sióstr. Wychyliwszy dla kurażu kufelek (a może dwa) guinnessa, mistrz bokserski rozsiadł się na składanym krześle i wdał w ożywioną rozmowę o kondycji boksu amatorskiego w Irlandii, za partnerkę dyskursu obierając nie kogo innego, jak spłonioną Bahar. Mardżan zauważyła, że nieokrzesany, urodziwy Cygan przypadł do gustu jej siostrze, mimo że rozmowa tych dwojga była w zasadzie monologiem Declana. Uśmiech Bahar, jakkolwiek wstydlivy, nie różnił się zbytnio od promiennego uśmiechu Lejli, pełnego nadziei i jawnej dumy, jaką daje poczucie wyłączności wobec drugiej osoby.

Miłość Lejli i Malachy’ego to najlepsza forma własności, pomyślała Mardżan, gdyż jedynym jej przedmiotem jest stały przepływ uczuć. Młodzi zjawili się w kawiarni długo po ugaszeniu pożaru. Zobaczyli tylko poczerńiałe ściany kuchni i wysłuchali relacji, która – zwłaszcza Malachy’emu – wydała się doprawdy niepojęta.

Całe szczęście, że uniknęli zamieszania – ucieszyła się w duchu Mardżan. Przeznaczeni są do większych przygód, nieskażonych zbędnymi dramatami. Przyglądała się, jak Malachy okręca wokół swoich długich palców pasmo prostych włosów Lejli, pieszcząc je delikatnie i rozmyślając o pochodzeniu gwiazd. Młody astronom wiedział, że za czasów Arystotelesa słowo „kometą” oznaczało „długie pasmo lśniących włosów”, z czasem jednak zmieniło znaczenie, stając się nazwą orbitującego snopu światła, który niekiedy przelatuje zbyt blisko słońca.

Mardżan miała jednak pewność, że tym dwojgu powiedzie się w życiu. Co więcej, czuła że im wszystkim powiedzie się w życiu. Naturalnie, dużo jeszcze zostało do omówienia, zbyt wiele nazbierało się rzeczy przemilczanych od owej ciemnej nocy, gdy na zawsze opuściły Teheran, uchodząc przed rewolucją i człowiekiem, którego oby już nigdy więcej nie spotkały na swej drodze. Ale to mogło poczekać do jutra. Na razie, powiedziała sobie Mardżan, na razie wystarczy, że Bahar i Lejla są tuż przy niej, w tym małym miasteczku, zwanym Ballinacroagh, a ich piękne twarze jaśnieją słodkim uśmiechem.

Słońce zaczęło już zachodzić nad zatoką Clew, gdy Mardżan, popijając herbatę, skierowała uwagę na popisy cyrkowej trupy akrobatycznej: poubierani w zielone i złote trykoty artyści kręcili salta na deskach skromnego amfiteatru. Zaimprovizowany pokaz miał charakter tańca, nawiązującego do święta Lughnasa – dożynkowego

ceremoniału starożytnych Celtów, otwierającego ich nowy rok. Mardżan zdumiała się podobieństwami między tym pradawnym rytuałem a znaną sobie wersją mitu o owocu granatu.

W odróżnieniu od Greków epoki klasycznej, dla których owoc ten symbolizował nieuchronny cykl gorzkiej śmierci, wyznaczany powrotami skruszonej Persefony do świata podziemnego na sześć miesięcy zimy, Mardżan wolała wierzyć w stare podania perskich bazarzy, którzy zgoła inaczej postrzegali rolę tego cierpkiego owocu w ludzkim życiu. W tej wersji granat – pomimo niefortunnych skojarzeń ze śmiercią i zimą – był i pozostanie przede wszystkim owocem nadziei.

To symbol płodności, nowych rzeczy, które mają przyjść, i minionych czasów, zachowanych w czułej pamięci.

Owoc granatu pokazał nawet jej, że najlepsze receptury to te niespisane – te, które ujawniają się, kiedy z kieliszkiem wina Sziraz w dłoni nastawiamy kojące nagranie Billie Holiday i poddajemy się działaniu ich bogatych składników. Bo życie – czy tego chcemy, czy nie – potoczy się dalej, z nami lub bez nas, i zawsze będzie kwitło w czyimś ogródku, nadając smak kolejnej zupie z granatów.

Tak, właśnie tak chciała myśleć o szczególnej słodczy tego owocu. O miriadach ziaren stanowiących w istocie zawiązki nowych początków.

## PODZIĘKOWANIA

Jestem niezmiernie wdzięczna następującym osobom: mojemu agentowi, Adamowi Chromy'emu, za intuicję i niezłomność; mojej redaktorce, niezmordowanej Robin Rolewicz, której stałe doradztwo i uroczy uśmiech były mi nieocenioną pomocą; wszystkim pracownikom wydawnictwa Random House, którzy od początku gorąco popierali tę książkę – Ginie Centrello, Danielowi Menakierowi, Jonowi Karpowi, Davidowi Ebershoffowi, Claire Tisne, Nicole Bond – dziękuję Wam za trud i duchowe wsparcie; uzdolnionej ekipie graficzno-produkcyjnej w osobach Barbary Bachman, Robbina Schiffsa, Susan M.S. Brown i Vincenta La Scali; pierwszym moim czytelniczkom, Marelle Piche i Eli-Berit Lilleseater, za życzliwe uwagi; mojej irlandzkiej rodzinie, wszystkim Collinsom z Mayo i Long Island, którzy dostarczali mi niewyczerpanych okazji do radości; mojemu bratu, Samowi, oraz Rodzicom, którzy wraz ze mną po raz pierwszy zakosztowali smaku granatu. A nade wszystko dziękuję CRC, mojej kotwicy i wiernemu towarzyszowi. Dzięki.